CURZON ZMARTWYCHWSTAŁY
Jak powstała linia, która po II wojnie stała się polską granicą

UCIECZKA MIESZKA II
Syn Chrobrego zapłacił straszną cenę za sukcesy ojca

AMERYKAŃSKI SEN ŚWIATŁY
Słynny ubek zdrajca został w USA szanowanym działaczem żydowskim

NR 2(144)/2025 LUTY 2025

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Zmowa jałtańska

POLSKA ROZSZARPANA

DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031
ISSN 2299-9515
02

eprasa.pl/a6e80cf2

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA"

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych", a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych".

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)



159 zł

oszczędność 43 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl afa6e80cf2

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Lwów, czerwiec 1935 r.

Mecz siatkarski drużyn AZS Lwów i Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego Sokół Macierz Lwów



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Prawdziwy zdrajca

Osiemdziesiąt lat temu, w lutym 1945 r., doszło w Jałcie do konferencji, która przypieczętowała los Polski. Nasz kraj był wtedy głównym tematem rozmów „wielkiej trójki" i nie jest to żadna przesada, lecz stwierdzenie faktu. Niestety, na Krymie Stalin zyskał właściwie wszystko, na czym mu zależało. Mocarstwa koalicji antyniemieckiej przypieczętowały wówczas odrąbanie wschodniej połowy Polski, a Kreml postawił na swoim w kwestii organizacji polskiej sceny politycznej.

„W postanowieniach konferencji była mowa o wolnych i demokratycznych wyborach. Tyle tylko, że nie zapisano ich terminu – mówi w wywiadzie z »Historią Do Rzeczy« prof. Andrzej Nowak. – Nie zapisano też, jak ma być sprawdzany demokratyczny i wolny charakter tych wyborów. Roosevelt przyjął logikę Stalina i Mołotowa, że to sami Polacy – czyli ludzie Osóbki-Morawskiego i Bieruta – najlepiej dopilnują uczciwości wyborów".

Gdy przywódcy Wielkiej Brytanii, USA i ZSRS rozmawiali w Jałcie, Armia Czerwona z impetem przewalała się przez Europę Środkowo-Wschodnią, prąc w kierunku Berlina. Stalin miał więc w ręku bardzo mocne karty. Czy jednak alianci zachodni zrobili wszystko, co w ich mocy, by zminimalizować straty dla Polski?

Spojrzenie Winstona Churchilla i Franklina Delano Roosevelta na sprawę polską było diametralnie inne, co staraliśmy się pokazać na okładce tego numeru. Zazwyczaj to Churchill oskarżany jest przez Polaków o „sprzedanie" Polski Stalinowi, natomiast amerykański prezydent pozostaje w tych rozważaniach gdzieś w tle. Dokumenty nie pozostawiają jednak wątpliwości w kwestii tego, kto naprawdę „sprzedał" w Jałcie nasz kraj Moskwie, w gruncie rzeczy kompletnie marginalizując znaczenie Europy Środkowo-Wschodniej. Bardzo niedaleka przyszłość pokazać miała, jak fatalna – również dla samej Ameryki – była Rooseveltowska polityka obłaskawiania Stalina. ©℗

eprasa.pl afa6e80cf2

/ TEMAT NUMERU

.6 ANDRZEJ NOWAK
Kulisy jałtańskiego wyroku

.12 TOMASZ STAŃCZYK
Curzon wstał z grobu



/ CZASY I LUDZIE

.16 ANNA SZCZEPAŃSKA
Vlakplaas – farma śmierci

.20 WERONIKA KOSTYRKO
Czerwona Róża

.24 LESZEK LUBICKI
Ucieczka Mieszka II

.28 PIOTR SEMKA
Kozacki bat na Lenina

.32 MAREK GAŁĘZOWSKI
Mackiewicz: Zacięta niezgoda

.36 JAROSŁAW STENCEL, MAREK TELER
Amerykański sen Światły

.40 SŁAWOMIR KOPER
Saga rodu Baczewskich

.44 JAKUB WOZINSKI
Plajty, które zmieniły świat

.48 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Finowie przeciw Finom

.52 MIKOŁAJ IWANOW
Zabić Titę!



.56 SEBASTIAN REŃCA
Hańba Temidy III RP

.60 JAKUB OSTROMĘCKI
Sok z człowieka

eprasa.pl afa6e80cf2

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Lec: słodycz i trucizna

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Dwa kłamstwa Września

.71 PIOTR SEMKA
„Emigrancka swołocz”

/ BATALIE I WODZOWIE



.72 PIOTR WŁOCZYK
Dwie flagi z Iwo Jimy

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Zawody dinozaury

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Klęska „Wachlarza”

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Szczęście Gołasa

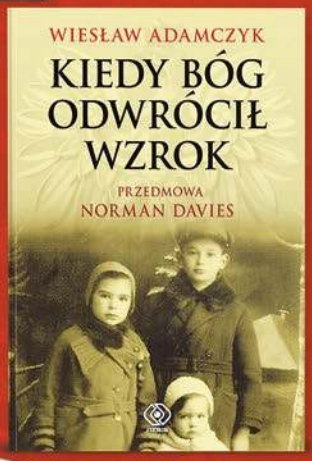
REKLAMA

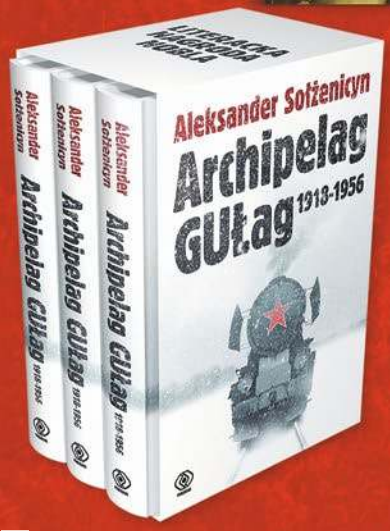
REBIS



Z Syberii do Afganistanu – prawdziwa historia ucieczki polskiego więźnia Gułagu

Opowieść o wojennym dzieciństwie spędzonym na Syberii i naznaczonym sowieckim barbarzyństwem





Podróż w głąb radzieckiego piekła

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
FB/DWREBIS www.rebis.com.pl

eprasa.pl afa6e80cf2



Winston Churchill, Franklin Delano Roosevet i Józef Stalin w Jałcie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, UK NATIONAL ARCHIVES

Wywiad / Z prof. Andrzejem Nowakiem, historykiem i sowietologiem z UJ



rozmawia Piotr Włoczyk

Kulisy jałtańskiego wyroku

– USA chciały całkowicie obezwładnić mniejsze państwa i podporządkować je niemal oficjalnie czterem mocarstwom. Ten sposób postrzegania świata przez Roosevelta dawał znać o sobie w trakcie konferencji jałtańskiej i Stalin doskonale potrafił to zdyskontować – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Czy w Jałcie cokolwiek mogło jeszcze uratować Polskę?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Kluczowe decyzje na temat przyszłości naszej części Europy, w tym oczywiście Polski, zapadły wcześniej – na konferencji sztabowej w Quebecu w sierpniu 1943 r. Amery-

eprasa.pl afa6e80cf2

kańscy i brytyjscy sztabowcy zdecydowali wówczas, że drugi front otwarty zostanie w Europie Północno-Zachodniej. Porzucono tym samym projekt Churchilla zakładający desant na Bałkanach, czyli dużo bliżej naszego regionu Europy.

W trakcie konferencji w Quebecu przeważyło zdanie Amerykanów, choć wiadomo było, że armia, która zajmie Europę Środkowo-Wschodnią, będzie wprowadzała tam swoje porządki. Tak patrzył na to Stalin, rozumiał to mniej więcej Winston Churchill, natomiast częściowo nie rozumiał, a częściowo udawał, że nie rozumie, najbardziej zakłamany w gronie uczestników konferencji jałtańskiej – Franklin Delano Roosevelt. I to on najbardziej zaszkodził Polsce swoją postawą.

Na razie zostawiamy na boku Stalina – głównego przeciwnika Polski.

Tak, ponieważ wobec sowieckiego dyktatora nie mamy wątpliwości – celem Stalina było zniewolenie Polski. Natomiast Roosevelt na ustach miał obronę demokracji i suwerenności państw. Gdyby prezydent USA inaczej podchodził do Związku Sowieckiego i wizji porządku światowego po drugiej wojnie światowej, z mniejszymi złudzeniami wobec Stalina i z większą determinacją, by współpracować z Churchillem w ratowaniu tego, co się da uratować, być może udałoby się zminimalizować straty dla sprawy polskiej.

Czy można było postawić Stalinowi twardsze warunki? Otóż myślę, że istniały pewne możliwości ku temu, ale zostały one zmarnowane na kolejnych konferencjach, zaczynając od Teheranu. Akurat wtedy dość zgodnie i Churchill, i Roosevelt skapitulowali w sprawie żądań terytorialnych Stalina. Jeżeli już handlowano terytorium Polski, to zgadzano się na zabór jej wschodnich ziem i przypieczętowanie, przynajmniej pod kątem terytorialnym, paktu Ribbentrop-Mołotow, to w listopadzie 1943 r., gdy ZSRS osiągnął pewną przewagę operacyjną na froncie antyniemieckim, ale nie można było jeszcze przewidywać jego zdecydowanej wygranej, zachodni alianci mieli szansę postawić twardsze warunki. Można było wówczas całkowicie odrzucić rozmowy z marionetkami Stalina, które już wtedy były przygotowywane przez Kreml do zainstalowania w Warszawie – tzw. KRN i stworzony później na tej podstawie PKWN.



Mackenzie King, Winston Churchill, Franklin Delano Roosevelt, Alexander Cambrigde podczas konferencji w Quebecu, sierpień 1943 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IMPERIAL WAR MUSEUMS

Alianci zachodni zgodziliby się na niekorzystną dla Polski korektę granic, bo takie były realia wojny, ale mogli stanowczo ogłosić, że ograniczą pomoc dla ZSRS, jeżeli nie zostaną przywrócone stosunki dyplomatyczne między rządem sowieckim a rządem polskim w Londynie. Zwłaszcza w sytuacji, gdy na czele rządu polskiego w Londynie stał Stanisław Mikołajczyk, czyli polityk gotów do ustępstw terytorialnych, na których zależało Stalinowi. Jak sądzę, da się racjonalnie argumentować, że alianci zachodni nie zrobili w Teheranie w 1943 r. wszystkiego, by pokazać swoją determinację: nie pozwolimy skomunizować Polski.

Jednak – jak wskazał pan na początku naszej rozmowy – kluczowa była decyzja, by kolejny front w wojnie z Niemcami otworzyć nie na Bałkanach, lecz w północnej Francji.

Argumentacja prezentowana przez gen. Dwighta Eisenhowera była prosta i nie jest łatwo ją odrzucić, mając na uwadze punkt widzenia władz w Waszyngtonie, które musiały się liczyć z własną opinią publiczną. Obiektywnie rzecz biorąc, operacja bałkańska byłaby bardzo trudna w realizacji. Ląduje się tam od razu w górach, inaczej niż w Normandii. Oznaczało to, że koszt krwi wśród alianckich żołnierzy byłby bardzo wysoki, co na pewno nie spodobałoby się amerykańskim wyborcom. W tle był jednak jeszcze drugi argument. Wciąż pamiętano, że Churchill w czasie pierwszej wojny światowej odpowiadał za podobnie zakrojoną operację desantową w Dardanelach. Zakończyła się ona straszliwym fiaskiem, co oznaczało również dymisję Churchilla ze stanowiska ministerialnego. Inna sprawa, że pamięć o tamtej tragedii mogła też osłabiać determinację samego Churchilla w forsowaniu tej kwestii.

Ale to nie jest niestety całość opowieści o przyczynach takiego, a nie innego postępowania Amerykanów. Podstawową sprawą był sposób rozumowania Roosevelta umacniany przez potężnie rozbudowaną agenturę sowiecką w jego najbliższym otoczeniu. Zostało to ujawnione w całej pełni dopiero w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Alger Hiss, Harry Dexter White czy Whittaker Chambers – bliscy współpracownicy Roosevelta – byli agentami Stalina. Wspierali taki kierunek rozumowania amerykańskiego prezydenta, który odpowiadał Kremlowi.

Sugestie wytrawnych oficerów prowadzących z GRU, przekazywane

eprasa.pl afa6e80cf2



Alger Hiss, sowiecki szpieg w otoczeniu prezydenta Roosevelta

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

przez wysoko ulokowanych agentów przywódcy amerykańskiemu, trafiały u niego na bardzo podatny grunt. Roosevelt pod koniec wojny patrzył na świat z perspektywy, która może się nam dziś wydawać szalona. Mianowicie traktował on Wielką Brytanię jako zagrożenie równe Związkowi Sowieckiemu. Tymczasem Wielka Brytania była walącym się kolosem, który jako imperium resztkami sił dociągnął do drugiej wojny światowej, i nie było mowy, by po wojnie kraj ten tworzył jakąś alternatywę dla Pax Americana. Roosevelt patrzył jednak na to tak, jakby nic się nie zmieniło od połowy XIX w., Londyn stał u szczytu swojej potęgi i zagrażał demokracji, którą jako jedyne reprezentują Stany Zjednoczone. W pewnym sensie Roosevelt ustawiał się więc jako mediator między Churchillem a Stalinem, co było fatalnym pomysłem.

Świetnie było to widać, gdy w drodze na Krym, podczas krótkiego postoju na Malcie, Roosevelt obawiał się spotkać na osobności z Churchillem. Brytyjskiemu premierowi zależało na omówieniu z prezydentem USA „planu gry" na konferencję, ale Roosevelt nie chciał, by Stalin sobie pomyślał, że oto alianci zachodni knują przeciw niemu...

Widać było to nie tylko w takich manifestacyjnych gestach dystansowania się od Churchilla, by „Uncle Joe" nie poczuł się urażony, lecz także w wewnętrznych dokumentach, które wyrażały światopogląd Roosevelta. Ustawiał on Amerykę w roli rozjemcy między jednym imperializmem – brytyjskim – a drugim – sowieckim – który uważał może nawet za mniej niebezpieczny i bardziej sympatyczny, bo reprezentujący jakiś postęp. Tę skazę na sposobie myślenia liberalnych środowisk zachodnich przedstawiłem dość obszernie w książce „Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement". Dawała ona o sobie znać także w sposobie myślenia Roosevelta. Wizja światowego porządku po wojnie, która była mu najbliższa, opierała się na czterech światowych „policjantach" – ZSRS, USA, Wielkiej Brytanii i Chinach. Roosevelt uważał, że potrzebne są równowaga i współpraca między mocarstwami, przy których mniejsze kraje nie będą miały nic do powiedzenia.

Paradoks polegał na tym, że jeżeli Roosevelt zarzucał Churchillowi imperializm, to sama Ameryka prowadziła politykę imperialną do sześcianu. USA chciały całkowicie obezwładnić mniejsze państwa i podporządkować je niemal oficjalnie czterem mocarstwom, z których jedno – Chiny – miało być satelitą Waszyngtonu. Ten sposób postrzegania świata przez Roosevelta dawał znać o sobie w trakcie konferencji jałtańskiej i Stalin doskonale potrafił to zdyskontować. Sowiecki dyktator nie myślał oczywiście o żadnej współpracy po wojnie, lecz zależało mu na wykorzystaniu zaślepienia Roosevelta i pogłębiających się szczelin w sojuszu między dwoma mocarstwami anglosaskimi, by stworzyć dla siebie jak największą strefę wpływów – zarówno w Europie, jak i w Azji. Tylko o to mu chodziło i pod tym kątem rozgrywał imperialistyczne w gruncie rzeczy mrzonki prezydenta USA.

Churchill nalegał na zorganizowanie konferencji „wielkiej trójki" już jesienią 1944 r., ale Stalin przekładał konferencję, aż doszło do niej dopiero w lutym 1945 r. To oczywiście nie był przypadek...

Z każdym tygodniem poszerzała się strefa panowania Armii Czerwonej nad Europą Środkowo-Wschodnią. W sierpniu 1944 r. impet sowieckiej nawały przygasł, ale na styczeń 1945 r. przygotowywana była kolejna gigantyczna ofensywa sowiecka, od Bałtyku do Adriatyku, która zagarnęła dla Stalina już prawie całą Europę Środkowo-Wschodnią. I o to mu chodziło – negocjować, kiedy i tak wszystko będzie miał w garści. Churchill zdawał sobie z tego sprawę i dlatego naciskał, by spotkanie przywódców Wielkiej Brytanii, USA i ZSRS odbyło się jak najszybciej. Natomiast Roosevelt, nie rozumiejąc tego i będąc skoncentrowany przede wszystkim na własnej kampanii wyborczej, nie naciskał na wcześniejszą datę.

Wobec tego Churchill w pojedynkę starał się ustalić ze Stalinem pewne warunki w kwestii kontroli nad poszczególnymi państwami Europy Środkowo-Wschodniej. Efektem tego była konferencja o kryptonimie Tołstoj z października 1944 r. Churchill udał się do Moskwy i próbował rozmawiać na Kremlu o rozgraniczeniu stref wpływów. Brytyjski premier chciał ograniczyć Stalina w jego apetytach i stąd wzięła się słynna „umowa serwetkowa" z procentowym podziałem wpływów w Jugosławii, Grecji, Rumunii, Bułgarii i na Węgrzech. Natomiast Polski i Czechosłowacji ta umowa nie dotyczyła. To w Jałcie Polska miała się stać głównym tematem.

Jałta stała się w Polsce bardzo czytelnym symbolem zdrady. Czy jednak pojęcie to pasuje do wszystkich uczestników konferencji jałtańskiej?

W polskiej pamięci historycznej doszło do zdecydowanie niesprawiedliwego przesunięcia ciężaru oskarżenia o zdradę jałtańską na Churchilla. Można to zrozumieć o tyle, że rząd polski funkcjonował w oparciu o Wielką Brytanię i powoływanie się na umowy wojskowe

eprasa.pl afa6e80cf2

i sojusznicze z Londynem sprawiało, że oskarżanie Churchilla o zdradę wydawało się naturalne. Jeżeli jednak spojrzymy na dokumenty dyplomatyczne, to zrozumiemy, że takie stawianie sprawy jest niesprawiedliwe.

Churchill skrupulatnie obliczył, że na konferencji jałtańskiej w rozmowach między nim, Rooseveltem i Stalinem wypowiedziano 18 tys. słów na temat Polski. Nasz kraj był tematem numer jeden w trakcie tamtych rozmów i to nie jest podbijanie polskiego bębenka, lecz stwierdzenie faktu. Polska była traktowana przez Churchilla i Stalina jako kluczowy punkt dla przyszłości Europy Środkowo-Wschodniej. Jak już wspomniałem, Roosevelt tego nie rozumiał i nie chciał zrozumieć.

Churchill przyjął tu następującą taktykę: należy ustąpić Stalinowi w sprawie granic Rzeczypospolitej, ponieważ temat ten jest już z góry przegrany, natomiast trzeba zrobić wszystko, by nie dać skomunizować reszty Polski.

W sprawie granic Churchill już od niemal półtora roku stał na stanowisku, że Kresy przypadną po wojnie ZSRS.

I był tu konsekwentny. Uznał, że nie da się obronić Polaków przed obcięciem wschodnich ziem, a poza tym twierdził, że nie umawiał się z Warszawą na obronę jej wschodniej granicy. Istotnie, można było przyjąć taką interpretację umów polsko-brytyjskich, choć była ona naciągana. Brytyjski premier uważał też, że oddanie Polski w ręce marionetek Stalina będzie po prostu bardzo niesprawiedliwe. Jego emocje mogły tu grać pewną rolę. Przypomnijmy, że Anthony Eden, szef Foreign Office, podkreślał w swoich pamiętnikach, jak bardzo emocjonalny był jego szef. Dla Churchilla Polska nie była kwestią obojętną. Brytyjski premier znał polskich polityków – spotykał się z Raczyńskim, Sikorskim i Mikołajczykiem.

I wiedział, ilu Polaków walczy na frontach wojny z Niemcami.

Tak, spotykał się z polskimi żołnierzami, pamiętał o lotnikach broniących nieba nad Anglią. Polska była dla niego konkretem. Natomiast dla Roosevelta Polacy byli kompletną abstrakcją. Powtarzał wprawdzie, że w USA jest 7 mln wyborców polskiego pochodzenia, ale skoro było już po wyborach, to przecież nie musiał się nimi przejmować. Według mnie Churchill robił, co było w jego mocy, by utrudnić Stalinowi sowietyzację okrojonej Polski. Niestety, nie uzyskał w tej sprawie najmniejszego wsparcia ze strony Roosevelta, który kompletnie lekceważył tę sprawę, licząc na współpracę sowiecko-amerykańską w utrzymywaniu światowego porządku po wojnie.

> Gdyby amerykański prezydent patrzył na rzeczywistość w sposób trzeźwy, to rozumiałby, że samemu **Stalinowi będzie zależało, by Armia Czerwona wkroczyła na Daleki Wschód**

Na ile Rooseveltowi zależało wtedy na udziale Armii Czerwonej w wojnie z Japonią?

Chęć zmniejszenia strat wśród amerykańskich żołnierzy była jak najbardziej zrozumiała. Stalin negocjował tu twardo, mówiąc, że – gdybyśmy to mieli przedstawić bardzo skrótowo – nie wyklucza wysłania żołnierzy do walki z Japończykami, jeżeli Amerykanie dadzą mu wolną rękę w Europie Środkowo-Wschodniej.

Czyli Roosevelt używał „karty polskiej", starając się wciągnąć Sowietów do wojny na Dalekim Wschodzie?

Nie mogę się zgodzić z pańską sugestią, ponieważ moim zdaniem Roosevelt nie wykorzystywał tu żadnej karty. Gdyby amerykański prezydent patrzył na rzeczywistość w sposób trzeźwy, to rozumiałby, że samemu Stalinowi będzie zależało, by Armia Czerwona wkroczyła na Daleki Wschód. Stalin cały czas posługiwał się przecież tą samą logiką: tam, gdzie są moi żołnierze, tam będzie sowiecka strefa wpływów. Aby poszerzyć ją na Dalekim Wschodzie, konieczne było wejście Armii Czerwonej do wojny z Japonią. Stalin tak czy inaczej musiał uderzyć na Japończyków.

Naiwność, patos i cynizm połączone razem świetnie widać w postawie Roosevelta w dwóch dialogach z Jałty. W pierwszym amerykański prezydent zupełnie

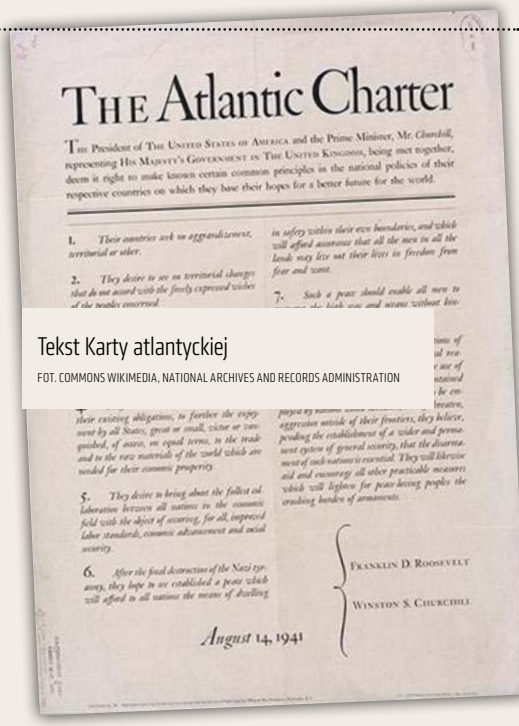


Franklin Delano Roosevelt i Winston Churchill na Malcie w drodze do Jałty FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

eprasa.pl afa6e80cf2



Sowieckie czołgi w Częstochowie podczas ofensywy styczniowej w 1945 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAX ALPERT



THE Atlantic Charter

THE PRESIDENT OF THE UNITED STATES OF AMERICA and the Prime Minister, Mr. Churchill, representing HIS MAJESTY'S GOVERNMENT IN THE UNITED KINGDOM, being met together, deem it right to make known certain common principles in the national policies of their respective countries on which they base their hopes for a better future for the world.

1. Their countries seek no aggrandizement, territorial or other.

2. They desire to see no territorial changes that do not accord with the freely expressed wishes of the peoples concerned.

in safety within their own boundaries, and which will afford assurance that all the men in all the lands may live out their lives in freedom from fear and want.

7. Such a peace should enable all men to

their existing obligations, to further the enjoyment by all States, great or small, victor or vanquished, of access, on equal terms, to the trade and to the raw materials of the world which are needed for their economic prosperity.

5. They desire to bring about the fullest collaboration between all nations in the economic field with the object of securing, for all, improved labor standards, economic advancement and social security.

6. After the final destruction of the Nazi tyranny, they hope to see established a peace which will afford to all nations the means of dwelling

aggression outside of their frontiers, they believe, pending the establishment of a wider and permanent system of general security, that the disarmament of such nations is essential. They will likewise aid and encourage all other practicable measures which will lighten for peace-loving peoples the crushing burden of armaments.

FRANKLIN D. ROOSEVELT
WINSTON S. CHURCHILL

August 14, 1941

Tekst Karty atlantyckiej
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

oddaje pole Stalinowi, mówiąc w czasie posiedzenia plenarnego, że Polska jest „dla nas" kłopotem od 500 lat... Brzmiało to tak, jakby Roosevelt chciał się w końcu pozbyć tego „kłopotu". To stwierdzenie jest szczytem arogancji i ignorancji. Przypomnę, że 500 lat przed rokiem 1945 był rok 1445, czyli rok po bitwie pod Warną, gdy Polska krwawiła w obronie chrześcijańskiego pogranicza Europy. Polsko-litewsko-węgierskie państwo było potęgą, a w Ameryce w tym czasie Indianie polowali na bizony hasające po prerii. Anglia, choć była ważnym krajem, była jednak mniejsza i słabsza od Polski, natomiast Moskwa była maleńkim księstwem. Tak wyglądały intelektualne podstawy światopoglądu Roosevelta.

A jak wyglądał drugi charakterystyczny dialog?

Pokazał on ogromną wyższość intelektualną Stalina nad Rooseveltem. Uważam Stalina za – w pewnym sensie – diabła wcielonego historii, ale jednak trudno mu odmówić wyjątkowo błyskotliwej inteligencji. Gdy trzeba było, potrafił ośmieszać swoich rozmówców. Taka sytuacja miała miejsce, gdy podczas konferencji jałtańskiej stanęła sprawa kontroli wyborów w naszym kraju. Jeżeli w Polsce powstać miałby prawdziwy rząd, a nie stalinowski tzw. Rząd Tymczasowy, to należałoby takie władze wyłonić na podstawie wolnych wyborów. Tylko jak je skontrolować? Churchill ze wszystkich sił próbował przeforsować swoje zdanie – konieczna będzie kontrola zewnętrzna. Wtedy z właściwym sobie patosem do rozmowy włączył się Roosevelt, mówiąc, że w Polsce muszą być przeprowadzone pierwsze w Europie Środkowo-Wschodniej wolne wybory i muszą one być tak czyste i wolne od podejrzeń, jak czysta była cześć żony Cezara. Stalin odpowiedział mu: „Nie znałem jej osobiście, ale słyszałem, że miała swoje grzeszki na sumieniu"...

Rozmowa kończy się konkluzją ministrów spraw zagranicznych. Mołotow stwierdził, że oburzające jest dyskutowanie na temat kontroli wyborów w Polsce – przecież w tej sprawie muszą się wypowiedzieć sami Polacy, czyli Osóbka-Morawski, Bierut... No jakże można kontrolować takich wspaniałych polskich patriotów? Było to odwołanie do „suwerenizmu" polskiego, jakże cyniczne w ustach Mołotowa...

Czy Roosevelt uważał, że Stalin pozwoli przeprowadzić Polakom wolne wybory, czy może



Rząd Stanisława Mikołajczyka (na pierwszym planie siedzi z lewej strony) i prezydent Władysław Raczkiewicz (obok) FOT. NAC

eprasa.pl afa6e80cf2



Naszą rozmowę zaczęliśmy od pytania, czy dało się zastopować Związek Sowiecki w triumfalnym marszu po całą Polskę. Otóż nie, w lutym 1945 r. było to już całkowicie niemożliwe.

jednak w ogóle go to nie obchodziło?

Obawiam się, że nic go to nie obchodziło. Natomiast wolne wybory na pewno obchodziły Churchilla. To właśnie on próbował zatrzymać najgorsze skutki dla Polski. Doskonale podsumował to Anthony Eden, który lecąc do Jałty, napisał, że boi się o wynik konferencji, ponieważ Stalin jest jedynym, który wie, czego chce, i ma wszystkie karty w ręku, jego szef – czyli właśnie Churchill – jest człowiekiem bardzo emocjonalnym i może mieć problem z osiągnięciem swoich celów, a Roosevelt jest naiwny i w ogóle nie zależy mu na sprawach zasadniczych dla przyszłości Europy.

Wróćmy do kwestii jałtańskiej zdrady. Jeżeli chodzi o Stalina, to o żadnej zdradzie mowy być nie mogło, ponieważ był to po prostu nasz śmiertelny wróg. Skoro Churchill starał się minimalizować zagrożenie dla Polski, to łatki zdrajcy raczej nie sposób mu przypiąć?

Jako historyk, spoglądając na akta z Jałty, nie odczuwam antypatii do Winstona Churchilla. Robił tam tyle, ile mógł. Na pierwszym miejscu stawiał oczywiście interesy własnego państwa, natomiast nie lekceważył swoich zobowiązań wobec Polski. Nie nazwałbym zachowania Churchilla zdradą, choć dla nas najboleśniejsze jest to, co brytyjski premier zrobił wcześniej – w Teheranie. Chodzi oczywiście o zgodę na oddanie wschodniej połowy Polski. Tylko czy dało się tego uniknąć? W pojedynkę Londyn na pewno nie był w stanie nic zrobić, natomiast delegacja amerykańska zrobiła wiele, by Polskę spotkał jak najgorszy los. I nie przez przypadek mówię tu o „delegacji amerykańskiej”, ponieważ musimy pamiętać o działających w otoczeniu Roosevelta agentach Kremla.

A jak ocenić Roosevelta pod kątem zdrady?

USA nie zawarły z Polską sojuszu gwarantującego granice naszego państwa, więc z takiego punktu widzenia nie może być mowy o zdradzie. Natomiast myślę, że możemy powiedzieć jedno: Roosevelt zdradził w sposób zupełnie otwarty i łajdacki zasady, które sam wprowadził do obiegu międzynarodowego pod nazwą Karty atlantyckiej. Przypomnę, że podpisanie tego dokumentu było wstępem do udziału Ameryki w wielkiej koalicji antyhitlerowskiej. W karcie podkreślono, że nie będą dokonywane żadne zmiany terytorialne bez zgody zainteresowanych stron, a także gwarantowano suwerenny głos narodów. To wszystko zostało z wyjątkowym cynizmem i łajdactwem podeptane przez Roosevelta. W Jałcie amerykański prezydent zdradził ideały Karty atlantyckiej.

Zdrada jałtańska kojarzy się Polakom przede wszystkim z postawą mocarstw anglosaskich, ale mam wrażenie, że w tym wszystkim trochę gubi się nam... Stalin.

Tak, warto podkreślić, że skupianie się na zdradzie jałtańskiej, tak czy inaczej rozumianej, kieruje całą naszą niechęć w kierunku zachodnich aliantów. Tymczasem nie możemy zapominać, że największym złem dla nas była polityka Moskwy. W niczym nie usprawiedliwiając postawy Roosevelta, trzeba podkreślać, że to Stalin wyrządził Polsce największą krzywdę – on to wszystko zaplanował, dążył do tego za wszelką cenę i wyciągnął z tego największe profity.

Do czego w gruncie rzeczy sprowadzał się jałtański wyrok na Polskę?

Paradoksalnie on sprowadza się nie do tego, co w Jałcie zapisano, tylko do tego, czego tam nie zapisano. Przecież w postanowieniach konferencji była mowa o wolnych i demokratycznych wyborach. Tyle tylko, że nie zapisano terminu tych wyborów. W efekcie w Polsce odbyły się one nie najszybciej, ale najpóźniej – dopiero w 1947 r. Nie zapisano też, jak ma być sprawdzany demokratyczny i wolny charakter tych wyborów. Roosevelt przyjął logikę Stalina i Mołotowa, że to sami Polacy – czyli ludzie Osóbki-Morawskiego i Bieruta – najlepiej dopilnują uczciwości wyborów. To na tym przede wszystkim polega problem konferencji jałtańskiej. To, co mogło literalnie stać się punktem odniesienia dla interwencji mocarstw zachodnich po 1945 r., nie zostało precyzyjnie zapisane.

Jak na to wszystko patrzyli polscy politycy z Londynu?

Polski rząd uległ zasadniczej dekompozycji od momentu, gdy w listopadzie 1944 r. wystąpił z niego Stanisław Mikołajczyk, przyjmując logikę Churchilla – próbę ograniczenia sowietyzacji Polski w zamian za zgodę na granice ustalone w Teheranie. W tym sensie więc rząd Tomasza Arciszewskiego miał pozycję dużo słabszą, choć wciąż jeszcze cieszył się uznaniem międzynarodowym.

W protokołach z Jałty Roosevelt mówił, że USA uznają wprawdzie rząd polski w Londynie, ale wiadomo, że stoi on już na straconej pozycji. Podobną postawę widać było również u Churchilla, ale to zjawisko było szersze – takie podejście zaobserwować można było także u innych polityków zachodnich, którzy jasno stawiali w prasie sprawę podmiotowości polskiego rządu w Londynie. To wszystko spowodowało u naszych polityków niepodległościowych poczucie ogromnej goryczy, potęgując jeszcze zawód, który wszyscy odczuli po konferencji teherańskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Andrzej Nowak jest historykiem, sowietologiem, kierownikiem Pracowni Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także autorem wielu książek, m.in. monumentalnego cyklu „Dzieje Polski”, „Polska i Rosja. Sąsiedztwo wolności i despotyzmu X–XXI w.”, „Powrót »Imperium Zła«. Ideologie współczesnej Rosji, ich twórcy i krytycy (1913–2023)” i najnowszej – „Naród niepokonany. Przełomowe momenty polskiej historii”.

eprasa.pl afa6e80cf2



Józef Stalin, Franklin Delano Roosevelt i Winston Churchill w Teheranie, 1943 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US GOV MILITARY ARMY

1919–1945 / Walka o wschodnią granicę i polski Lwów

Curzon wstał z grobu



Tomasz Stańczyk

Ponad 100 lat temu Brytyjczycy wyrysowali linię, której przebieg jest bardzo zbliżony do obecnej wschodniej granicy Polski narzuconej nam w 1945 r. przez wielkie mocarstwa

W 1943 r. w Teheranie doszło do wymiany zdań na temat przyszłej wschodniej granicy Polski. Stalin stwierdził, że jedynym możliwym rozwiązaniem jest zaakceptowanie granicy między Niemcami i Rosją, ustalonej we wrześniu 1939 r. Mołotow dodał, że jest ona zbieżna z linią Curzona. Liczył, że skoro Brytyjczyk wykreślił tę linię, to teraz Winston Churchill zaakceptuje taką granicę między Polską i Rosją.

Anthony Eden, szef Foreign Office, zaoponował, stwierdzając, że są to dwie różne linie, i pokazał mapę, na której m.in. większa część województwa białostockiego była według linii Curzona po stronie polskiej, a granica bynajmniej nie przebiegała na Sanie. W ten oto sposób w Teheranie „zmartwychwstała" linia Curzona, przypisywana lordowi Georgowi Nathanielowi Curzonowi, szefowi Foreign Office w latach 1919–1924.

Antypolski Namier

W Foreign Office pracował do 1920 r., jako ekspert do spraw Europy Środkowej, Lewis Bernstein Namier. Urodził się w Woli Okrzejskiej – tam, gdzie przyszedł na świat Henryk Sienkiewicz – w zamożnej, spolonizowanej żydowskiej rodzinie Bernsteinów i – jak pisał prof. Andrzej Nowak – „przez ojca Józefa […] młody Ludwik wychowywany był na Polaka. Rodzice zmienili nazwisko na Niemirowski i przyjęli chrzest w Kościele rzymskokatolickim (A. Nowak, „Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement"). Ponoć drobny incydent, gdy w przedziale kolejowym ktoś wyraził się pogardliwie i lekceważąco o jego ojcu jako o „hrabim jerozolimskim", spowodował, że Niemirowskiemu przestało się chcieć być Polakiem.

Namier pracując w Foreign Office podczas pierwszej wojny światowej, na każdym kroku prezentował postawę antypolską, miażdżył memoriały Dmowskiego w sprawie polskiej, nazywając jego środowisko „czarnosecinną bandą". Jako Żyd miał prawo nie znosić Dmowskiego, lecz pozostałych polskich polityków traktował nie lepiej – dla niego była to „szowinistyczna banda". W swoich memoriałach Namier raz po raz powtarzał, że granicą wschodnią Polski na południowym odcinku powinna być rzeka San. Naturalnie taki przebieg granicy oznaczałby dla Polaków utratę Lwowa.

Na początku 1919 r. – podczas wojny polsko-ukraińskiej – misja ententy pod przewodnictwem gen. Josepha Barthéle-

eprasa.pl afa6e80cf2

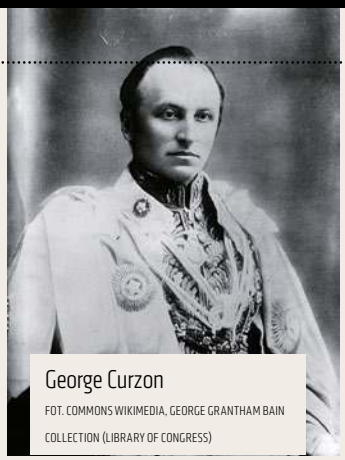
my'ego przedstawiła Polakom i Ukraińcom plan podziału Galicji Wschodniej. Lwów oraz naftowe zagłębie borysławsko-drohobyckie miały zostać po stronie polskiej. Reszta aż do Zbrucza przypadłaby Ukraińcom. Piłsudski, Naczelnik Państwa, skłonny był to zaakceptować, ale politycy ukraińscy nie zgodzili się na tę propozycję, co więcej – żądali Przemyśla i Chełma. Jeden z ukraińskich generałów powiedział, że sprawę powinny rozsądzić „krew i żelazo". Stało się według jego życzenia. Wiosną 1919 r. Wojsko Polskie uwolniło Lwów z ukraińskiego oblężenia, a latem tamtego roku wyparło siły ukraińskie za rzekę Zbrucz, która stała się fragmentem granicy wschodniej, zaakceptowanej w traktacie ryskim w 1921 r., a dwa lata później również przez Francję i Wielką Brytanię.

Linia A i linia B

Nieco wcześniej nad przebiegiem całej granicy wschodniej Rzeczypospolitej zastanawiała się aliancka komisja Cambona, która w czerwcu 1919 r. przedstawiła propozycję dwóch linii rozgraniczenia między Ukrainą a Polską. Linia A pozostawiała Lwów i zagłębie naftowe po stronie ukraińskiej. Linia B – po polskiej. Linia A odpowiada mniej więcej przebiegowi naszej obecnej granicy. Za korzystną dla Polski linią opowiadali się Francuzi, za niekorzystną – Brytyjczycy.

Rada Najwyższa Głównych Mocarstw Sprzymierzonych i Stowarzyszonych 8 grudnia 1919 r. wyznaczyła linię demarkacyjną pomiędzy Polską a Rosją bolszewicką. Nie oznaczało to jednak kwestionowania polskich roszczeń do ziem na wschód od niej. Linia demarkacyjna zaczynała się od Czarnej Hańczy i dochodziła do Niemna. Położone nad nim Grodno znalazło się po stronie wschodniej. Dalej linia biegła przez Puszczę Białowieską (prawie cała znalazła się po wschodniej stronie), potem wzdłuż Bugu i urywała się w granicach Sokala. Nie obejmowała więc terenów Galicji.

W lipcu 1920 r., gdy trwała ofensywa Armii Czerwonej i wydawało się, że los niepodległej Polski wisi na włosku, podczas konferencji w Spa premier Władysław Grabski – w zamian za obiecaną pomoc Wielkiej Brytanii i Francji



George Curzon

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GEORGE GRANTHAM BAIN COLLECTION (LIBRARY OF CONGRESS)



Lewis Bernstein Namier

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SLATE COM

w dostarczeniu materiałów wojennych – musiał się zgodzić, by Wojsko Polskie wycofało się – o ok. 150–200 km – na linię demarkacyjną z grudnia 1919 r. Natomiast ziemie Galicji poza tą linią miały stać się linią frontu w dniu zawarcia planowanego rozejmu. Przebiegała ona daleko od Lwowa. Następnego dnia po zgodzie Grabskiego, 11 lipca 1920 r., Brytyjczycy wysłali ze Spa depeszę do Moskwy. Historyk Bartłomiej Rusin wyjaśniał: „Francuzi odmówili swojego podpisu, nie wiadomo również, czy notę podpisał sam Curzon czy tylko została ona wysłana w jego imieniu. Treść tego dokumentu różniła się od warunków przedstawionych i zaakceptowanych przez Grabskiego, właśnie w opisie proponowanej linii rozejmowej. Problemem jest przede wszystkim przebieg linii na odcinku w Galicji Wschodniej, łudząco podobny do linii A z 1919 roku, ale – co ważniejsze – projekt ten nie został oficjalnie przedstawiony przez stronę brytyjską premierowi Grabskiemu przed wysłaniem noty. Grabski, podpisując ciężkie warunki narzucone przez Londyn, nie zgadzał się na odcięcie wschodniej części Galicji od Polski" (B. Rusin, „Lewis Namier a kwestia »linii Curzona« i kształtowania się polskiej granicy wschodniej po I wojnie światowej").

Tymczasem brytyjski premier Lloyd George zaoferował – Curzon był tu tylko figurantem – Rosji bolszewickiej całą Galicję Wschodnią, rzekomo za zgodą polskiego rządu, choć nigdy nie były to ziemie rosyjskie. Ale imperialistyczna Rosja, w czerwonym wcieleniu, nie uznawała Ukraińców za naród (tak jest do dzisiaj!), lecz za szczep narodu rosyjskiego. Dlatego też czuła się upoważniona do zagarnięcia wszystkich ziem, na których mieszkali Ukraińcy, nawet za rzeką San.

Bartłomiej Rusin stwierdzał, że to jednak nie Namier dokonał tej zmiany. Zaakceptował ją bowiem lub nawet może sam umieścił w tekście depeszy Lloyd George. „Tak więc to brytyjski premier Lloyd George był architektem, »koncepcyjnym autorem« projektu linii granicznej na wschodzie, nazwanej potem od nazwiska lorda Curzona". Zwycięska ofensywa Wojska Polskiego w sierpniu 1920 r. i bitwa nad Niemnem posłały jednak do kosza koncept znany jako linia Curzona. Natomiast śmiało może być ona nazwana, przynajmniej w swej części południowej, linią Namiera, gdyż to ten właśnie polski Żyd w brytyjskiej służbie, wrogi wobec Polaków, zaproponował jej przebieg.

28 września 1939 r. Niemcy i Rosja sowiecka ustaliły w traktacie o granicach i przyjaźni wspólną granicę wykreśloną na okupowanych przez oba państwa ziemiach Polski. Różniła się ona od linii Curzona, gdyż na północy prawie całe województwo białostockie znalazło się po sowieckiej stronie, a na południu biegła wzdłuż Sanu, czyli była przesunięta na zachód od linii A.

W Teheranie o Lwowie

W stolicy Iranu na widok mapy przedstawionej przez Edena, która wykazywała, że granica niemiecko-sowiecka nie jest tożsama z linią Curzona, Stalin przyznał w końcu brytyjskiemu ministrowi rację. Dyskutowano natomiast nad liniami A i B. Eden bronił linii B (Lwów dla Polski), Mołotow linii A. Spór przerwał

eprasa.pl afa6e80cf2

Churchill, który oświadczył, że nie będzie lamentował z powodu Lwowa, dając do zrozumienia, że zgadza się, by miasto, w którym Ukraińcy stanowili tylko kilkanaście procent mieszkańców, stało się sowiecko-ukraińskie. Brytyjski premier uznawał, że kwestia granicy wschodniej Polski jest znacznie mniej ważna od kwestii jej niepodległości, a o nią zamierzał walczyć. W tej sytuacji nie miało dla niego znaczenia, że Lwów przypadnie stronie sowieckiej.

W zasadzie już w Teheranie sprawa granicy i przynależności Lwowa została postanowiona. Po powrocie do Londynu Churchill naciskał, by premier Stanisław Mikołajczyk i polski rząd zgodzili się na linię Curzona, nie informując go jednak o tym, że w Teheranie praktycznie ją zaakceptowano. Powiedział tylko, że Stalin będzie obstawał przy takim rozgraniczeniu. Mikołajczyk zaproponował, by wypracować linię demarkacyjną pomiędzy linią Curzona a granicą ryską, lecz po stronie polskiej pozostałyby Lwów i Wilno. Churchill zauważył, że Stalin z pewnością się na to nie zgodzi, i tu się nie mylił. O ile Churchill w zasadzie nie owijał w bawełnę, o tyle Roosevelt wprost oszukiwał Mikołajczyka, łudząc go nadzieją, że Lwów może znaleźć się po stronie polskiej. A dla delegacji Kongresu Polonii Amerykańskiej urządził spektakl – przyjął ją, mając za sobą nad biurkiem mapę Polski w jej przedwojennych granicach.

W końcu lipca 1944 r. premier Mikołajczyk przybył do Moskwy. Stanisław Grabski tak wspominał rozmowy ze Stalinem: „Błagam go o pozostawienie przy Polsce Lwowa, najbardziej patriotycznego ze wszystkich polskich miast i w którym nie było nigdy nawet 20 proc. Ukraińców" (S. Grabski, „Pamiętniki", t. 2). Stalin odparł, że nie może krzywdzić narodu ukraińskiego. Wówczas Grabski stwierdził, że na terenach między Sanem a Zbruczem dwie trzecie stanowią Ukraińcy, a jedną trzecią Polacy. Nie będzie więc krzywdą taki podział, że Ukrainie sowieckiej przypadną województwa tarnopolskie (mieszkała tam zresztą bardzo duża mniejszość polska) i stanisławowskie, a Polsce – województwo lwowskie. Stalin odparł, że wróci do tego tematu, gdy powstanie nowy rząd na podstawie porozumienia z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego.



Granica sowiecko-niemiecka ustalona 26 września 1939 r. Mapa z podpisami Stalina i Ribbentropa, 1939 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Sprawa była już jednak przesądzona, o czym nie wiedzieli ani Grabski, ani Mikołajczyk. PKWN, marionetkowy komunistyczny twór Kremla, powstał tuż przed przylotem polskiego premiera do Moskwy. Stalin uznał PKWN za rząd polski, a 27 lipca 1944 r. ZSRS zawarł z tym pseudorządem tajną umowę o granicy przebiegającej według życzeń sowieckich. Lwów miał więc odpaść od Polski. Edward Osóbka-Morawski, ówczesny przewodniczący PKWN, przypisywał sobie w pamiętnikach to, że Polska otrzymała w tej umowie większy kawałek Puszczy Białowieskiej, niż początkowo ustalono. „Moi towarzysze – wspominał – byli mi wdzięczni, że wysunąłem w końcowej rozmowie tylko koncepcję odnośnie Puszczy Białowieskiej, gdyż – ich zdaniem – wysuwanie w tym czasie Lwowa mogło być uznane przez stronę rosyjską za prowokację, za przeciąganie struny" (E. Osóbka-Morawski, „Dziennik polityczny 1943–1948"). Nikt z polskich komunistów i im podobnych w PKWN nie miał odwagi, by upomnieć się o Lwów – ognisko polskiej kultury, nauki, ruchu niepodległościowego Józefa Piłsudskiego, polskiego skautingu i... piłki nożnej.

Premier Mikołajczyk zdawał sobie sprawę, że powrót Polski do przedwojennych granic na wschodzie jest nierealny, więc walczył już tylko o to, by choć Lwów i Wilno przypadły Polsce. Gdy raz jeszcze, w październiku 1944 r., spotkał się w Moskwie ze Stalinem, ten zażądał bezwzględnej akceptacji linii Curzona. Mikołajczyk odparł, że nie chce i nie może zrzec się połowy Polski, a Stalin w odpowiedzi nazwał go... imperialistą. Podczas rozmów Mołotow wygadał się, że sprawa granicy została przesądzona już w Teheranie. W Londynie zaś Eden powiedział Mikołajczykowi, żeby zapomniał o Lwowie. Wówczas premier zaproponował wielkie ustępstwo na rzecz Sowietów. W zamian za Lwów dla Polski zgodziłby się, by podstawą wytyczenia granicy była linia Curzona.

Ukraińcy chcą Chełmszczyzny

Apetyty Ukraińców sięgały poza linię Curzona. Mychajło Hreczucha, przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy sowieckiej, na jej posiedzeniu w styczniu 1944 r. apelował do Stalina, by przyłączył do ZSRS Chełmszczyznę, Zamość, Jarosław i Hrubieszów. Historyk Andrzej Wawryniuk tak opisywał tamten moment: „Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że wystąpienia na tego typu posiedzeniach były reżyserowane i zapewne akceptowane przez Stalina. Tak więc na ponad pół roku przed przekroczeniem Bugu przez wojska sowieckie i I Armię Wojska Polskiego w Moskwie i Kijowie rozpoczęto akcję, która w efekcie miała zakończyć się włączeniem Chełmszczyzny do ZSRR" (A. Wawryniuk, „Wschodnia granica Polski w latach 1944–1948 na przykładzie południowo-wschodniej Lubelszczyzny"). Niewiele później podjął ten temat Nikita Chruszczow, szef ukraińskich komunistów, podkreślając żądania: Chełmszczyzna, Hrubieszów, Zamość, Tomaszów, Jarosław, Włodawa, Krasnystaw.

„Wydaje się jednak bardzo prawdopodobnym – uważał Wawryniuk – że Stalin mając do wyboru proponowany do przejęcia przez Chruszczowa obszar oraz Lwów z Borysławiem, wybrał drugie rozwiązanie. Nie można też wykluczyć, że próby włączenia do USSR terenów na zachód od Bugu były celowo zaplanowane, by mieć argument przemawiający za przynależnością Lwowa i okolic do ZSRR, wykazując dobrą wolę i rezygnując z roszczeń chełmskich".

Chruszczow, proponując wcielenie Chełmszczyzny do Związku Sowieckiego, okazał się wielkoruskim, a zarazem ukra-

eprasa.pl afa6e80cf2

ińskim nacjonalistą, idącym w ślady carskiej Rosji, która w 1912 r. na terenie dawnego Królestwa Polskiego, nazwanego po powstaniu styczniowym Nadwiślańskim Krajem, utworzyła gubernię chełmską, by zrusyfikować, także przez narzucenie prawosławia, tamtejszą ludność, w większości pochodzenia rusińskiego (ukraińskiego). Warto przypomnieć dramatyczny opór unitów uznających zwierzchnictwo papieża przeciw zamienianiu ich świątyń w cerkwie prawosławne i przeciw robieniu z nich Rosjan. Polała się wówczas, w latach 70. XIX w., krew.

Nie można nie wspomnieć i tego, że w latach 1944–1945 mieszkańcy niektórych wsi na Chełmszczyźnie słali prośby do Moskwy, by włączyć je do Związku Sowieckiego. Podobne listy słali też niektórzy mieszkańcy wsi białoruskich. Nic dziwnego, że takie apele do Kremla powodowały reakcję polskiego podziemia, czasami brutalną. Nie można pominąć także tego, że UPA nie pogodziła się z linią Curzona i działała w tzw. Zakierzońskim Kraju, czyli na ziemiach przyznanych w 1945 r. Warszawie, mordując polską ludność. Do dziś pogrobowcy UPA śnią o tym, by ziemie te stały się ukraińskie.

Podczas konferencji jałtańskiej w lutym 1945 r. Roosevelt prosił Stalina, by ten dał „coś" Polakom (miał na myśli Lwów i zagłębie naftowe). Przyłączył się do niego Churchill, mówiąc, że byłoby to wspaniałomyślne. Stalin, z premedytacją przemilczając, że były linie A i B, cynicznie stwierdził, że nie może być dla swojego kraju gorszy niż lord Curzon. Ostatecznie wielkie mocarstwa zgodziły się, żeby granica biegła wzdłuż linii Curzona, z małymi odchyleniami – na niektórych odcinkach – na rzecz Polski (5–8 km). Umowa o granicy została podpisana 16 sierpnia 1945 r. przez uznawany przez wszystkie mocarstwa Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej.



RYS. MARZENA WŁODCZYK, WIKIPEDIA/WILLTRON

Delimitacja

Podczas wytyczania granicy nastąpiły duże zmiany na rzecz Związku Sowieckiego wzdłuż Niemna – tu przesunięcie względem linii Curzona na niekorzyść Polski wynosiło ok. 20 km. Polscy negocjatorzy bezskutecznie nalegali też, by stacja w Chyrowie znalazła się po stronie polskiej. W efekcie aż do rozpadu ZSRS pociągi z Przemyśla w Bieszczady jeździły pod nadzorem sowieckich pograniczników. Geografowi Stanisławowi Leszczyckiemu udało się wytargować 300 km kw. Bieszczadów z górami Tarnicą i Haliczem. Leszczycki oceniał: „ZSRR przyjął najkorzystniejszą dla siebie interpretację linii Curzona, a w swojej zachłanności przekroczył granicę przyzwoitości – tu przejawił się znów imperializm sowiecki, bezwzględność, brak wielkoduszności i bardzo silna przewaga. Właściwie granica została podyktowana bez rzeczowej dyskusji i bez uwzględniania w najmniejszej mierze potrzeb Polski" (P. Eberhardt, „Polska Granica Wschodnia 1939–1945").



FOT. WIKIPEDIA

W 1951 r. dokonała się zmiana przebiegu granicy wschodniej. ZSRS zażyczył sobie oddania przez Polskę ziem w tzw. kolanie Bugu, z miejscowościami Krystynopol, Waręż i Bełz „ustąpionych" jej sześć lat wcześniej. Na wierzchu był urodzajny czarnoziem, a pod spodem – pokłady węgla. W zamian za to Polska otrzymała tej samej wielkości terytorium w Bieszczadach z Ustrzykami Dolnymi, a polską opinię publiczną przekonywano, że są tam złoża naftowe. Rzeczywiście były, ale niemal kompletnie wyczerpane, i nie stanowiły żadnej realnej korzyści dla Polski.

Piotr Eberhardt przytoczył w swojej książce zdumiewający epizod z października 1990 r., gdy podczas rozmów w Mińsku strona białoruska wysunęła roszczenia do całej Białostocczyzny. Białorusini domagali się więc, by granica z Polską była tożsama z linią z lat 1939–1941 między Niemcami a Rosją sowiecką. Argumentowali przy tym, że gdy zawierano w 1945 r. polsko-sowiecką umowę graniczną, nie brali udziału w tym akcie jako podmiot prawa międzynarodowego. A poza tym powoływali się na „referendum" zorganizowane przez Moskwę, zgodnie z którym ludność Białostocczyzny – rzekomo – opowiedziała się w ponad 90 proc. za włączeniem jej do sowieckiej Białorusi. W kolejnych rozmowach, rok później, Białorusini uznali w końcu istniejącą granicę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2



XX w. / Krwawy koniec apartheidu

Vlakplaas – farma śmierci



Anna Szczepańska

O działalności Vlakplaas zwykli obywatele RPA nie wiedzieli nic aż do końca lat 80. Chociaż rozpoczęły się reformy, Mandela miał wyjść z więzienia i apartheid powoli upadał, to wciąż szerzyły się tajemnicze zgony i porwania

Byłem w samym środku tego burdelu" – mówił kpt. Dirk Coetzee, jeden z dowódców Vlakplaas w wywiadzie udzielonym pod koniec 1989 r. lokalnej, południowoafrykańskiej gazecie „Vrye Weekblad". Coetzee dużo ryzykował, demaskując metody działania Vlakplaas. Wielu jego kolegów z oddziału wciąż pracowało w terenie. On wolał jednak zacząć mówić, niż czekać, aż dziennikarze dotrą do niego. Bo to, że dotrą, było oczywiste, zwłaszcza że kilka miesięcy wcześniej służby wpadły na trop jego podwładnego, Alberta Nofemeli, który został właśnie skazany za przestępstwa kryminalne. W sądzie Nofemela zeznawał, że wykonywał rozkazy wydane przez przełożonych z „grupy uderzeniowej". Tak zwane media alternatywne (u nas funkcjonowało raczej pojęcie „drugiego obiegu") od razu zainteresowały się tajemniczą formacją. Coetzee chciał działać wyprzedzająco, więc opowiedział o dowodzonych przez siebie szwadronach śmierci, a przy okazji przedstawił także historię Vlakplaas – leżącej pośrodku niczego farmy, gdzie zbierali się ludzie będący tylko z pozoru zwykłymi policjantami.

Historia Vlakplaas szybko się rozniosła, choć służby południowoafrykańskie oraz media głównego nurtu oficjalnie zaprzeczyły, że jakiekolwiek szwadrony śmierci istnieją. Jak pisze Anya Schiffrin w książce pt. „African Muckraking: 75 Years of Investigative Journalism From Africa": „Kilka miesięcy wcześniej gazety [które ujawniły, co mówił Coetzee] zostałyby najprawdopodobniej skonfiskowane lub zamknięte. Tak działo się jeszcze rok wcześniej, ale pod koniec 1989 r. panowała już tak duża niepewność wśród polityków, że działania sił bezpieczeństwa były ograniczone".

eprasa.pl afa6e80cf2



Policja i demonstranci z United Democratic Front w Cape Town, 1985 r.
FOT. GIDEON MENDEL/GETTY IMAGES

Dzieje Vlakplaas ujrzały światło dzienne dzięki wyznaniom jednego z ważniejszych byłych członków tej organizacji. Jego opowieść dała początek zeznaniom następnych osób zaangażowanych w działania tej formacji. To wszystko złożyło się na szokujący obraz Republiki Południowej Afryki w „okresie przejściowym". Przejście z systemu segregacji rasowej do demokracji (czy raczej ustroju, który miał demokrację dobrze udawać) nie było tak pokojowym procesem, jak zwykło się to przedstawiać w podręcznikach.

Apartheid

W 1948 r. w Związku Południowej Afryki (nazwa RPA oficjalnie obowiązuje od 1961 r.) odbyły się wybory, w wyniku których do władzy doszła Partia Nacjonalistyczna, na której czele stał Daniel François Malan, który jako pierwszy określił znaczenie doktryny apartheidu, czyli segregacji rasowej. System ten zakładał oddzielenie i separację ras oraz utrwalenie odrębności grup, z których składa się społeczeństwo. W praktyce oznaczało to, że ludność afrykańska oraz kolorowa (Mulaci i Azjaci – z małymi wyjątkami) zostanie zupełnie wyeliminowana z życia publicznego i politycznego kraju. Apartheid obowiązywać miał na terenie ZPA oraz w Namibii, którą wojska południowoafrykańskie okupowały od trzech dekad i której obszar uznawano za jedną z prowincji. Z biegiem lat nasilały się ustawy wymierzone w czarnych mieszkańców południa Afryki. Wywłaszczano ich (z czasem czarni mieszkali tylko na terenie tzw. bantustanów), ograniczano im m.in. możliwość edukacji czy zatrudnienia, nie pozwalano na przebywanie w pewnych miejscach, takich jak plaże, parki, teatry czy komunikacja zbiorowa. Czarni mogli korzystać tylko z niektórych wejść, schodów czy okienek w urzędach. Nie zezwalano także na mieszane małżeństwa.

Zarówno w ZPA, jak i w Namibii istniały organizacje zrzeszające czarnoskórych, które domagały się – w przypadku ZPA – takich samych praw jak biali, a w przypadku Namibii – niepodległości od ZPA. Najbardziej znaczącymi organizacjami na terenie ZPA były: Afrykański Kongres Narodowy (ANC) i Kongres Panafrykański (PAC), a w Namibii – Organizacja Ludu Afryki Południowo-Zachodniej (SWAPO). Ich działalność nabierała rozmachu z każdym rokiem. Obie partie miały ponadto poparcie za granicą, w innych afrykańskich państwach, które były już niepodległe. Sympatię wobec ruchów narodowowyzwoleńczych w Afryce wykazywały także Kuba oraz Moskwa, która jednak poważniej zaangażowała się w południowej Afryce dopiero w pierwszej połowie lat 70.

W 1960 r. władze w Pretorii zdelegalizowały ANC, lecz nie były w stanie zwalczyć wszystkich członków należących do partii, której przewodził Nelson Mandela. Nawet jego aresztowanie i skazanie na dożywotnie więzienie nie osłabiło organizacji, która pod nowym kierownictwem jeszcze bardziej się zradykalizowała. Za największą liczbę ataków i aktów sabotażu odpowiadało zbrojne ramię ANC, czyli Umkhonto we Sizwe (Włócznia Narodu). Dużą rolę odgrywała w tej organizacji m.in. żona Mandeli, Winnie Mandela, która znana była z braku litości dla białych.

Marginalizowanie Afrykanów doprowadziło de facto do wojny domowej, która trwała w RPA od początku lat 60. Początkowo sporadyczne walki nasiliły się po 1966 r., kiedy przeciwko Pretorii wystąpiło SWAPO. Kilka lat później w konflikt południowoafrykański włączyły się Angola, Kuba, Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki. Oficjalnie Pretoria nie prowadziła jednak żadnej wojny. Walki toczyły się przede wszystkim na terytorium Namibii i Angoli. O tym, że RPA wysyła tam wojska, aby walczyć z kubańskimi żołnierzami, którzy wspierali m.in. ANC i SWAPO, opinia publiczna dowiedziała się dopiero w drugiej połowie lat 80. Ta wiadomość była zresztą jedną z przyczyn upadku premiera Pietra Bothy.

Zanim to jednak nastąpiło, ANC, poprzez akty terroru, regularnie dawał się we znaki południowoafrykańskim służbom. Jednym z najbardziej krwawych wydarzeń było podłożenie bomby przed siedzibą Południowoafrykańskich Sił Obrony (SADF). W wyniku zamachu zginęło 19 osób, a 200 zostało rannych. ANC działał też poza granicami kraju, atakując m.in. ambasady RPA w Lesotho i Mozambiku.

Władze RPA nie pozostawały bierne wobec nasilających się ataków ze strony ANC i Umkhonto w Sizwe i od końca lat 60. realizowały własną koncepcję walki z siłami nieregularnymi. Służby południowoafrykańskie działały nie tylko na terenie własnego państwa, lecz także poza jego granicami. RPA była zaangażowana m.in. w wojny domowe w Angoli oraz w Mozambiku, gdzie wspierała partie opozycyjne wobec władz. Ponadto południowoafrykańscy komandosi przeprowadzali liczne akcje w krajach regionu, tj. Zimbabwe, Zambii, Botswanie czy Malawi – słowem wszędzie tam, gdzie ANC czy SWAPO mogły liczyć na zagraniczne wsparcie. Wiele z tych działań zostało już dość dobrze opisanych w literaturze. Mniej znane są natomiast kulisy terroru części służb południowoafrykańskich na terenie samej RPA. Warto przy tym wspomnieć, że niewiele brakowało, a świat nigdy nie dowiedziałby się

eprasa.pl afa6e80cf2

o tym, czym był Vlakplaas i jakie metody stosowali należący do tej organizacji członkowie.

Kryptonim C1

Pod koniec 1989 r. czarnoskóry Albert Nofemela został skazany przez południowoafrykański sąd na śmierć za „przestępstwa kryminalne", w tym zabójstwa. Doszło wówczas do przedziwnej sytuacji. Obrońcy praw człowieka, który wcześniej występowali w imieniu ofiar Nofemeli, nagle wstawili się za nim, prosząc wymiar sprawiedliwości o złagodzenie kary i skazanie go na więzienie. Wiedza Nofemeli była zbyt cenna, aby dać mu umrzeć. Liczono, że ten były policjant, współpracujący wcześniej ze służbami RPA, który w trakcie rozprawy mówił o zabójstwach na zlecenie, szwadronach śmierci i enigmatycznych przełożonych, opowie znacznie więcej. Już kilka godzin później Nofemela zaczął „sypać". Opowiadał o werbowaniu askarich, zamachach, morderstwach, torturach i porwaniach. Niewielu dawało początkowo wiarę jego słowom, aż do jednej z gazet zgłosił się Dirk Coetzee. Wkrótce potwierdził on, że wszystko, o czym opowiadał Nofemela, było prawdą.

Pomysł na stworzenie tajnej jednostki wyszedł od gen. Johannesa Victora. Choć nadano jej kryptonim C1 (później C10), to i tak powszechnie nazywano ją – od miejsca stacjonowania – Vlakplaas. Głównym celem formacji miała być infiltracja środowiska ANC, PAC oraz innych partii narodowowyzwoleńczych, sabotaż ich działań, porwania i skrytobójcze mordy. Ponadto jednym z jej zadań było pośredniczenie pomiędzy władzami RPA a zuluską Partią Wolności Inkatha, która była głównym przeciwnikiem ANC. Inkatha przez kolejne lata była hojnie finansowana przez południowoafrykańskie służby. Otrzymywała również najnowszą broń, której Zulusi używali przeciwko swym czarnoskórym przeciwnikom. Władzom w Pretorii zależało na maksymalnym osłabieniu uwielbianego (także poza granicami) ANC, który utożsamiany był z więzionym Mandelą.



Dirk Coetzee na okładce „Weekblad" FOT. DOMENA PUBLICZNA

Nazwa „Vlakplaas" wzięła się od farmy położonej ok. 20 km na zachód od centrum Pretorii u brzegów rzeki Hennops. Miejsce to, niedostępne dla zwykłych mieszkańców RPA, stanowiło kryjówkę członków południowoafrykańskich służb specjalnych i wyższych rangą oficerów. W 1979 r. farmę odkupiła południowoafrykańska policja. Vlakplaas stało się „domem" dla specjalnej jednostki: białych policjantów i czarnych askarich. Dawniej askari byli miejscowymi żołnierzami służącymi w armiach kolonizatorów. W przypadku Vlakplaas mieli pełnić podobne funkcje, jednak w przeciwieństwie do lat wcześniejszych, kiedy wielu czarnoskórych dobrowolnie zgłaszało się do służby w wojsku kolonialnym jako askari, służba w Vlakplaas rzadko była dobrowolna. „Kandydatów" na askarich wybierano spośród aresztowanych wcześniej czarnych działaczy. W wyniku tortur, takich jak rażenie prądem czy miażdżenie genitaliów, zmuszano ich do pracy na rzecz południowoafrykańskiej policji. Ci, których udało się złamać, mieli wrócić na miejsce swojej dotychczasowej działalności, do bantustanu czy w szeregi ANC lub PAC, gdzie ich zadaniem było dokonywanie morderstw na własnych ludziach.

„Tlhomedi Mfalapitsa, który był askari, opowiadał niegdyś, w jaki sposób organizowano prowokacje, aby zwabić ludzi w pułapkę – czytamy w artykule »Vlakplaas and the History of Apartheid's Death Squad«. – Askari podszywali się np. pod działaczy ANC, infiltrowali ruchy wyzwoleńcze, znajdowali kandydatów na szkolenie wojskowe i zwabiali ich do miejsca, gdzie ci rzekomo mieli być szkoleni, a następnie ich zabijali. Mfalapitsa mówił, jak pewnego dnia zwabił w ten sposób niejakiego Zandisile Musiego i jego trzech przyjaciół, którzy zwrócili się do niego z prośbą o pomoc w opuszczeniu RPA i dołączeniu do znajdujących się na wygnaniu członków ANC. Mfalapitsa zaprowadził ich do budynku gospodarczego na terenie zamkniętej kopalni, gdzie podłożono wcześniej ładunki wybuchowe. Gdy Mfalapitsa opuścił budynek, bomby eksplodowały, zabijając wszystkich".

Askari otrzymywali regularne pensje, a jeżeli dobrze się spisywali, to mogli liczyć na awans i benefity. Dla niektórych było to wystarczająco kuszące, co widać choćby po tempie rozrastania się Vlakplaas, która z małej, liczącej pięciu policjantów i 15 askarich jednostki przekształciła się z czasem w formację liczącą dziewięć oddziałów.

Wersja de Klerka

Niewiele osób było wtajemniczonych w działania Vlakplaas, choć czołowi południowoafrykańscy politycy znali kulisy operacji prowadzonych przez tę formację. Oficjalnie jednak kolejni prezydenci czy ministrowie nie mieli z Vlakplaas nic wspólnego i mogli się od tej organizacji odcinać. Robił tak m.in. Frederik de Klerk, któremu Nelson Mandela, już po wyjściu z więzienia, zarzucał, że przymyka oko na polityczne mordy dokonywane przez specjalnie szkolonych policjantów. De Klerk zaprzeczał, jakoby miał coś wspólnego z działaniem tzw. trzeciej siły, twierdząc, że „była to operacja nielegalna, w którą zaangażowany był niewielki oddział policji bezpieczeństwa".

Kilka lat temu w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy" były prezydent RPA mówił, że nie czuje się odpowiedzialny za przemoc, która towarzyszyła procesowi



Plaża tylko dla białych, Durban, 1989 r.
FOT.COMMONS WIKIMEDIA, GUINNOG

www.DORZECZY.pl

eprasa.pl afa6e80cf2

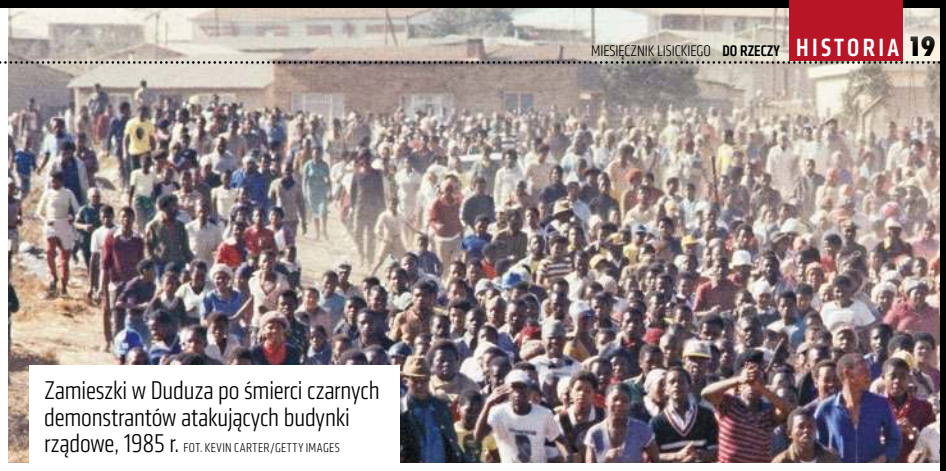
transformacji. „Zanim negocjacje w ogóle mogły się zacząć, ANC oraz inne partie musiały ściągnąć swoich przywódców z powrotem do RPA. Musieliśmy osiągnąć porozumienie w sprawie zawieszenia przez ANC walki zbrojnej, a także zająć się problemem przemocy, który cały czas podminowywał proces negocjacyjny. Poza tym mieliśmy do czynienia ze zrywaniem negocjacji i bojkotami najpierw ze strony ANC i jego partnerów, a w późniejszym okresie przez Partię Wolności Inkatha i jej stronników. Tak więc rząd Partii Narodowej nie był odpowiedzialny za opóźnienia, do których doszło" – twierdził.

Vlakplaas przez ponad dwie dekady działał w ukryciu. Członkowie formacji odpowiedzialni byli za wiele morderstw i porwań. Każda ich akcja była wcześniej dokładnie planowana – żadna bowiem nie mogła zakończyć się porażką, aby pod żadnym pozorem nie dało się powiązać sprawców przestępstwa z południowoafrykańską policją. Ataki miały wyglądać na zabójstwa na tle rabunkowym czy zbrodnię w afekcie. W ten sposób w 1981 r. zginął m.in. Griffiths Mxenge, powiązany z ANC prawnik, pracujący w Durbanie na rzecz przestrzegania praw człowieka. Został zadźgany nożami, a kilka lat później jego żonę, która także była prawnikiem, zabito siekierą. Zabójstwa te zainscenizowano tak, aby wyglądały na zbrodnie popełnione na tle rabunkowym.

Członkowie Vlakplaas organizowali też naloty na kryjówki partii narodowowyzwoleńczych oraz ich siedziby poza granicami RPA, np. w 1983 r. zaatakowali biuro ANC na terenie Suazi, używając granatów ręcznych i broni automatycznej (zginęły wówczas cztery osoby). Akcje



Eugene de Kock FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GEORGE HALLETT



Zamieszki w Duduza po śmierci czarnych demonstrantów atakujących budynki rządowe, 1985 r. FOT. KEVIN CARTER/GETTY IMAGES

Vlakplaas nasiliły się w drugiej połowie lat 80. W latach 1985–1990 te tajne oddziały dokonały przynajmniej 400 zbrodni. Do dziś nie znamy szczegółów wielu akcji Vlakplaas. Czy możliwe, że organizacja ta miała coś wspólnego np. z zabójstwem komunistycznego zbrodniarza Chrisa Haniego, którego dokonał Janusz Waluś? On sam twierdzi, że nie był z nikim powiązany, skądinąd wiadomo jednak, że do zabicia Haniego namówił go parlamentarzysta Partii Konserwatywnej Clive Derby-Lewis.



Działania Vlakplaas zostały ujawnione w 1989 r., lecz jednostkę rozwiązano oficjalnie dopiero cztery lata później. Przez ten czas działała więc właściwie legalnie, a wiele tajemniczych zgonów, a przy okazji także wypłat na jej rzecz, stanowi do dzisiaj nierozwiązaną zagadkę.

„Prime Evil"

Najsłynniejszym dowódcą Vlakplaas był urodzony w 1949 r. Eugene de Kock, zwany „Prime Evil". Służbę wojskową odbywał przy granicy Rodezji z Botswaną, gdzie walczył przeciwko bojówkom ANC. Krótko służył w południowoafrykańskim wojsku, z którego zrezygnował podobno z powodu jąkania. Następnie wstąpił do policji. Pracował m.in. w więzieniu w Pretorii, a później jako członek policji bezpieczeństwa. Tam otrzymał zadanie szkolenia nowych rekrutów. De Kock w 1978 r. mógł sprawdzić swoje umiejętności w praktyce – wysłano go bowiem do Namibii (dla RPA była to prowincja pod nazwą Afryka Południowo-Zachodnia). Działał tam w oddziale bezpieczeństwa Oshakati. Rok później z jego inicjatywy powołano do życia słynące z okrucieństwa oddziały Koevoet, siejące postrach zarówno wśród członków SWAPO, jak i namibijskich cywilów.

Z racji dużych sukcesów w 1983 r. de Kock trafił na farmę Vlakplaas, gdzie wcielono go do tajnej formacji. Dwa lata później został jej szefem. Za jego „rządów" do Vlakplaas na dobre przylgnęła nazwa „Szwadrony Śmierci". De Kock odznaczał się brutalnym usposobieniem i brakiem litości wobec czarnych, a także wobec sprzyjających im białych. Tego samego wymagał od swych podwładnych.

De Kock zyskał sławę dopiero po upadku apartheidu. W 1994 r. stanął przed Komisją Prawdy i Pojednania, składając obszerne zeznania i ujawniając sporo szczegółów na temat operacji prowadzonych przez Vlakplaas. Były szef tajnej jednostki oskarżył jednocześnie wiele postaci z południowoafrykańskiej wierchuszki o to, że dobrze wiedziały o działalności „trzeciej siły". Prezydenta de Klerka określił jednocześnie jako człowieka, którego „ręce są przesiąknięte krwią", zarzucając mu, że osobiście zlecał polityczne morderstwa. Słowa te wywołały szok, ponieważ rok wcześniej de Klerk otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla.

Prokuratura postawiła de Kockowi 89 zarzutów. W 1996 r. skazano go na dwa dożywocia i jednocześnie na 212 lat więzienia. Mimo tak ostrego wyroku nie zgnił za kratami – w 2015 r. uzyskał zwolnienie warunkowe...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2

Wywiad / Z Weroniką Kostyrko, autorką książki „Róża Luksemburg. Domem moim jest cały świat”



rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Czerwona Róża

– Przez wiele lat, praktycznie od roku 1903 do swojej śmierci, była w zasadniczym sporze z Leninem o wolność debaty politycznej i realną podmiotowość robotników – mówi autorka najnowszej biografii liderki SDKPiL

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Jakim symbolem jest dziś na Zachodzie Róża Luksemburg?

WERONIKA KOSTYRKO: Dla zachodniej lewicy symbolizuje demokratyczny socjalizm, bo uważała, że socjalizm nie jest możliwy bez wolności politycznej i bez oddolnej demokracji. Pozbawiony tych elementów ulega degeneracji. Przedstawiła to w piśmie z roku 1918 na podstawie wiadomości nadchodzących z bolszewickiej Rosji. Już wcześniej przez wiele lat, praktycznie od roku 1903 do swojej śmierci, była w zasadniczym sporze z Leninem właśnie o wolność debaty politycznej i realną podmiotowość robotników.

To wszystko jest w Polsce mało znane, ponieważ biografii Luksemburg bardzo długo u nas nie było, chociaż w PRL przygotowywał takową dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego prof. Feliks Tych. Uniemożliwiła to cenzura?

Z tego, co wiem, on po prostu nie zdążył napisać tej książki, pracował nad nią pod koniec życia. O ile się orientuję, przygotowywał monografię naukową, obudowaną rozległym aparatem przypisów i komentarzy. Profesor Tych ma ogromne zasługi w publikowaniu materiałów źródłowych dotyczących Róży, opracował jej korespondencję, był również autorem obszernego i rzetelnego hasła zamieszczonego na łamach „Polskiego Słownika Biograficznego”.

Jakie znaczenie w życiu Luksemburg odegrało kalectwo? Aż nie chce się wierzyć, że przy swych warunkach fizycznych mogła porywać tłumy...

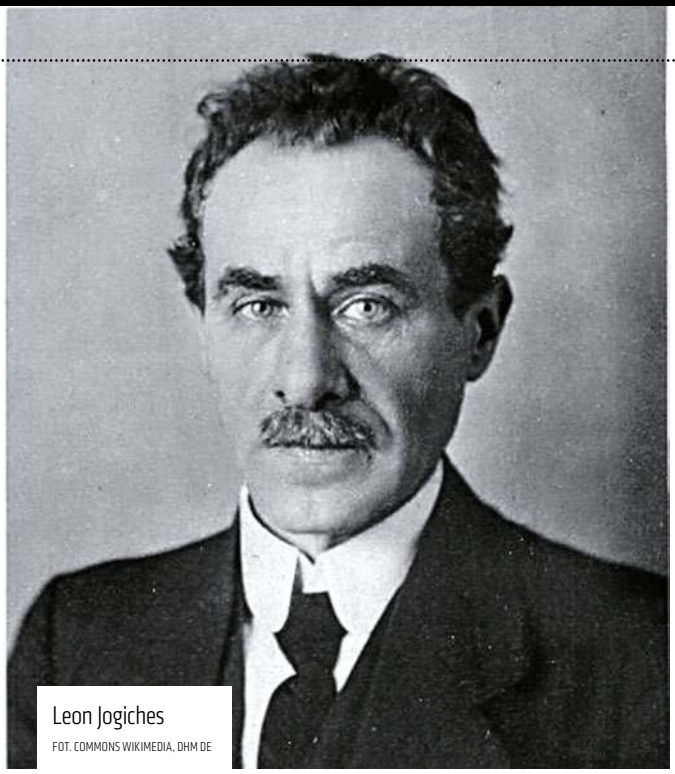
Miała talent retoryczny i rozległą wiedzę, mówiła jasno, konkretnie i obrazowo

FOT. COMMONS.WIKIMEDIA

eprasa.pl afa6e80cf2

i potrafiła tak dobierać argumenty, żeby trafić do każdego audytorium. Moja książka w założeniu była opowieścią o emancypacji kobiety pokonującej kolejne przeszkody na drodze do kariery politycznej, którą w końcu zrobiła w skali międzynarodowej. Róża Luksemburg nie tylko kulała i nie tylko wyróżniał ją bardzo niski wzrost. Była niezamożną kobietą w XIX w., Żydówką urodzoną w małym miasteczku, poddaną carską w represyjnym reżimie politycznym. To wszystko są warunki, z których szalenie trudno było się wyrwać.

W jej biografiach opublikowanych na Zachodzie powtarza się informacja, że już podczas nauki gimnazjalnej zaangażowała się w ruch socjalistyczny i że właśnie z tego powodu musiała uciekać z Warszawy. Pozwalam sobie w to powątpiewać. Nie znalazłam potwierdzenia, aby należała do II Proletariatu, choć mogła z tą organizacją sympatyzować. Chyba z racji niewielkich szans na zamążpójście – kalectwo i brak posagu – rodzina postanowiła ją wyedukować; już w szkole zauważono wybitne zdolności dziewczyny i jej pęd ku wiedzy. Wyjechała do Zurychu, bo kobiety mogły tam studiować. I raczej dopiero w Szwajcarii zetknęła się z ideami Marksa.



Leon Jogiches

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DHM DE

Choć w swoim życiu współtworzyła – używając współczesnej terminologii – związki partnerskie, a nawet, wprawdzie czysto formalnie, to wyszła za mąż, przez lata najważniejszym dla niej mężczyzną pozostawał Leon Jogiches. Macierzyństwa, jak przystało na radykalną feministkę, nie rozważała?

Wręcz przeciwnie. Ona przez całe życie zachowywała dystans do feminizmu. I pragnęła mieć dzieci, zwłaszcza z Jogichesem. Jeśli mamy używać współczesnej terminologii, to ona była seryjną monogamistką. Przeżyła kilka miłości, angażując się intensywnie i na wyłączność. Jogichesa zapewne by poślubiła i doczekała się z nim potomstwa, gdyby nie jego zamiłowanie do konspiracji. On był poszukiwany przez ochranę, używał więc fałszywych nazwisk, często zmieniał adresy, ukrywał się właściwie non stop – ciężko z kimś takim stworzyć rodzinę. A ona dość szybko zyskała rozpoznawalność. Zwłaszcza w Niemczech, gdzie osiadła po ukończeniu studiów i stała się postacią publiczną.

Po bolesnym rozstaniu z nieco od niej starszym Jogichesem wiązała się z młodymi mężczyznami, których przyciągała siłą osobowości, inteligencją, charyzmą. Była już kobietą dojrzałą, ale pełną życia, pewną swojej wartości, znakomitą rozmówczynią. Ceniła życie domowe, potrzebowała spokoju i wyciszenia, niezbędnych do pracy publicystycznej. Bardzo pragnęła mieć własny kąt i – jak akcentuje w listach do Leona – „maleńko bobo".

Na swoim życiowym szlaku spotkała także Józefa Piłsudskiego...

Na pewno zetknęli się w roku 1896, na zjeździe Drugiej Międzynarodówki w Londynie. Towarzysz „Wiktor" reprezentował tam Polską Partię Socjalistyczną, a ona Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy. Ślady tej konfrontacji zachowały się w listach obojga. Piłsudski usiłował doprowadzić do przegłosowania rezolucji zobowiązującej partie socjalistyczne Europy do walki o przywrócenie polskiej państwowości, a Luksemburg wysunęła własny projekt, wyrażający ogólne poparcie dla ruchów emancypacyjnych.

Sedno jej konfliktu z Piłsudskim stanowiła niepodległość Polski. Luksemburg za Marksem uważała, że państwa narodowe nie mają przyszłości. I tu się pomyliła, nie doceniła siły nacjonalizmów. Była przekonana, że partie robotnicze – które wyrosły na potęgę w całej Europie – uformowały już proletariat w duchu internacjonalizmu. Przekonały masy, że przyszłością jest rewolucja o charakterze międzynarodowym. Dlatego największym wstrząsem były dla niej wybuch pierwszej wojny światowej i towarzyszący temu powszechny entuzjazm.

A wracając do Piłsudskiego – podczas londyńskiego starcia oboje usiłowali jednać sobie sprzymierzeńców. W rezultacie uchwalono rezolucję kompromisową, właściwie nikogo niesatysfakcjonującą. Nawiasem mówiąc, w biografii Piłsudskiego pióra prof. Andrzeja Garlickiego Róża Luksemburg – na niemal tysiącu stron! – nie występuje wcale, co jest dla mnie jeszcze jednym dowodem wyparcia jej z naszej świadomości.

W Rosji, a później w Sowietach, piętnowano błędy „luksemburgizmu"...

Ona już nie żyła, gdy Stalin wprowadził ów termin. Powoływanie się na Różę Luksemburg w latach 30. było w Związku Sowieckim śmiertelnie groźne. Większość jej towarzyszy z SDKPiL padła wtedy ofiarą wielkiej czystki.

„Rewolucja jest wspaniała, cała reszta to bzdury" – napisała po „najszczęśliwszych miesiącach swego życia" spędzonych w ogarniętej krwawą rewoltą Warszawie A.D. 1906. Czy z tych samych względów podtrzymywała w 1919 r. w Berlinie program Związku Spartakusa, nawołując do strajku powszechnego i obalenia władzy SPD, co groziło tragicznymi konsekwencjami?

Rewolucja 1905 r. opierała się na strajku powszechnym, krwawe były dopiero carskie represje, do których czynnie włączyła się endecja. Podczas rewolucji niemieckiej w 1918 r. Róża Luksemburg też chciała wywołać strajk powszechny, który wymusi uspołecznienie fabryk.

eprasa.pl afa6e80cf2



Róża Luksemburg wśród członków prezydium II Międzynarodówki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CORNELIS GERARDUS LEENHEER

Srodze się przeliczyła, bo zmęczeni wojną robotnicy i powracający z frontu żołnierze woleli poprzeć umiarkowany program SPD.

Zamordowanie Róży Luksemburg uczyniło z niej komunistyczną męczennicę i emblematyczną postać dla różnych ruchów lewicowych czy lewackich, czego dowiodły wydarzenia roku 1968, a i przywoływane przez panią w książce całkiem współczesne manifestacje Antify. Odnieść można wrażenie, że dla tych „późnych wnuków" Róży Luksemburg ważna jest rewolucja jako taka, a to, co się za nią kryje, jest już mniej istotne.

Róża Luksemburg rewolucję pojmowała idealistycznie, jako akt wyzwolenia i powszechnego upodmiotowienia. Uważała, że ludzie wolni sami urządzą świat przyszłości i zrobią to w otwartej dyskusji, metodą prób i błędów. Ona nie zaprojektowała nowego ustroju, zajmowała się za to krytyką kapitalizmu. I tu była podobna do Marksa, który nie tworzył nowego modelu władzy, lecz krytykował system kapitalistyczny.

Zdaniem Leszka Kołakowskiego Róża Luksemburg była „marksistką doktrynalną". Jak to należy rozumieć?

Moim zdaniem prof. Kołakowski się tu mylił. Doktrynalny marksizm nie wychodzi poza to, co napisał Karol Marks, zajmuje się egzegezą jego pism albo uzgodnieniem polityki partii z literą twierdzeń Marksa. Takich marksistów nie brakowało, w PRL była ich większość. To paradoksalne, bo sam Marks propagował myślenie krytyczne. I taka była też Róża rozszerzająca teorię Marksa, w wielu miejscach wykraczająca poza jego myśl, jego dorobek. W swojej najgłośniejszej pracy naukowej „Akumulacji kapitału" z 1913 r., wskazując na pewną niekonsekwencję w teorii Marsa, próbowała określić to, czego on nie zrobił, czyli warunki niezbędne do tego, by kapitalizm się załamał. Tymczasem opisując funkcjonowanie kapitalizmu w skali globalnej, doszła do wniosku, że zapowiadana zapaść wcale nie jest nieuchronna, bo system kapitalistyczny będzie żerował na swoich peryferiach – koloniach albo na terenach słabiej rozwiniętych gospodarczo. „Akumulacja kapitału" została wtedy źle przyjęta na lewicy, gdyż podważała marksowski determinizm. Ale z tej samej przyczyny zaciekawiła po latach Hannah Arendt, która „doktrynalną marksistką" – czy w ogóle marksistką – nie była na pewno.

Skąd się wzięło oskarżanie „Czerwonej Róży" o antysemityzm? Czyżby wynikało to z okazywanej przez nią awersji wobec judaizmu oraz deprecjacji jidysz, który nazywała żargonem?

Ona nie miała awersji wobec judaizmu, choć mówiąc o politycznych rywalach z Bundu, zdarzało jej się używać antysemickich klisz, szeroko rozpowszechnionych wtedy w polskiej debacie. Awersję wobec judaizmu to miała np. Maria Konopnicka, która w tych samych latach omijała uzdrowiska, w których „aż roi się od Żydów".

Częściej niż o antysemityzm – to doprawdy karkołomne! – oskarża się Luksemburg o antypolonizm, co również z rzeczywistością nie miało nic wspólnego. Pierwszy skazujący wyrok dostała za obronę polskości. W 1901 r. skazano ją w Poznaniu na grzywnę za obrazę pruskiego ministra edukacji w artykule na temat germanizacji polskich dzieci z Wrześni.

Jeśli zaś chodzi o zarzut antysemityzmu, to nie można go podnosić wobec osoby, która przez całe życie była atakowana przez adwersarzy politycznych jako Żydówka. Ignorowała te ataki, a o kwestii żydowskiej publicznie wypowiedziała się tylko w ostrej polemice z Andrzejem Niemojewskim w 1910 r.

Pani bohaterka wielokrotnie przebywała w celach, także X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej, a także we Wronkach, Wrocławiu oraz oczywiście w Berlinie. Zasmakowała chleba więziennego, choć może to określenie nieadekwatne, zważywszy na to, że zdarzało się jej spożywać dostarczane do celi restauracyjne dania, za które zresztą – jak się zdaje – płacił Leon Jogiches. Nawiasem mówiąc, bywała od niego zależna finansowo.

Ona była więziona wyłącznie za słowa. I nie za socjalizm, ale dwukrotnie za obrazę niemieckich elit politycznych – cesarza Wilhelma II i wspomnianego ministra edukacji – oraz trzykrotnie za wystąpienia pacyfistyczne. Za ten pacyfizm w czasie pierwszej wojny światowej nie została zresztą skazana, tylko internowana bez wyroku sądu. Jako internowanej przysługiwały jej takie przywileje, jak spacery po mieście czy posiłki z restauracji.



Klara Zetkin i Róża Luksemburg

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

eprasa.pl afa6e80cf2

Co do zależności finansowej od Leona Jogichesa, to dotyczy ona okresu, kiedy Róża Luksemburg była główną autorką wydawanych przez niego socjalistycznych gazet. A że byli wtedy w związku, to nie rozliczali między sobą napisanych przez nią tekstów. Później ona zaczęła pisać do prasy niemieckiej i należała do grona pionierek, pierwszych kobiet utrzymujących się z pracy intelektualnej. Jej teksty przedrukowywano także w innych krajach, a ona mogła pomagać finansowo swemu ojcu.

Może szkoda, że mając liczne zainteresowania – pasjonowała się przyrodą, muzyką, wykazywała zdolności malarskie – podporządkowała je polityce. Mogłaby osiągnąć sukcesy w nauce.

Miała wprawdzie doktorat z ekonomii, ale jako kobieta miała znikome szanse na pracę zarobkową w tym zawodzie. Przecież nawet Maria Curie-Skłodowska nie funkcjonowała w świecie nauki samodzielnie.

Różę Luksemburg, z jej polemicznym temperamentem, polityka wciągnęła, choć musiała zdawać sobie sprawę z wysokiej ceny, którą za to płaciła. Po śmierci rodziców w liście do Leona wyrzucała sobie gorzko, że przez „tę przeklętą politykę" zaniedbywała swoją rodzinę. A jej humanistyczne, artystyczne i naukowe zainteresowania, podobnie jak nawiązywane miłości i przyjaźnie, nie ideowe, nie partyjne, a zwyczajnie ludzkie, pokazują, że była inna, niż wskazuje na to wizerunek „Krwawej Róży".

Jej życie z tragicznym finałem to, jak się zdaje, wymarzony materiał dla filmowców. Jak postrzega pani najbardziej znany film o niej z 1986 r., który nakręciła Margarethe von Trotta (z Barbarą Sukową w roli Róży i Danielem Olbrychskim jako Jogichesem)?

Z tego obrazu zapamiętałam przede wszystkim kreację Sukowej, która dostała za nią Złotą Palmę dla najlepszej aktorki na Festiwalu Filmowym w Cannes. Fantastycznie odtworzyła postać Róży, nasycając ją wewnętrzną pasją. Oglądając ten film, zrozumiałam, jak się jej udawało magnetyzować słuchaczy na wiecach. Bo von Trotta wykorzystała autentyczne przemówienia Róży.

Reżyserce udało się także dokonać znakomitych skrótów i syntez. Moja biografia Luksemburg liczy niemal 600



WERONIKA KOSTYRKO
„RÓŻA LUKSEMBURG. DOMEM MOIM JEST CAŁY ŚWIAT"
MARGINESY

stron, te biografie, które ukazują się na Zachodzie, mają od 400 do 1000, a na ekranie tak ważne dla bohaterki środowisko niemieckich socjaldemokratów pokazano w jednej długiej scenie balu sylwestrowego. I to znakomicie.

Swoją książkę rozpoczyna pani od opowieści o niedawnych próbach



Upamiętnienie Róży Luksemburg w Berlinie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MANFRED BRÜCKELS

genetycznych prof. Michaela Tsokosa, który zamierzał udowodnić, że szczątki Róży przez dziesiątki lat spoczywały w podziemiach berlińskiego szpitala, a na cmentarzu pochowano kogoś zupełnie innego. Ponadto, jak się dowiadujemy, jeszcze w NRD grób miał być rozkopany i okazał się pusty. Czy to jedynie legenda?

Nie. Z berlińskiego kanału, do którego wrzucono ciało Róży po jej zamordowaniu 15 stycznia 1919 r., po czterech miesiącach wypłynęły zwłoki, które uroczyście pochowano na cmentarzu Friedrichsfelde. W latach 30. zeszłego wieku grób został przez hitlerowców zlikwidowany. Po wojnie, gdy cmentarz znalazł się w NRD, postawiono nowy nagrobek, przy którym urządzano oficjalne uroczystości. W latach 70. stwierdzono, że grób Róży jest pusty, ale nie podano tego do publicznej wiadomości.

Już w nowej sytuacji politycznej, po upadku komunizmu i zjednoczeniu, niemiecką opinię publiczną zelektryzowała wiadomość o odkryciu w podziemiach kliniki uniwersyteckiej w Berlinie ciała, które według patomorfologów mogło należeć do Luksemburg. Było zmumifikowane, leżało w skrzyni bez jakiegokolwiek opisu. Szef kliniki długo szukał materiału do testu DNA, bo Róża nie miała potomków. W 2009 r. przeglądał zielniki Róży zachowane w warszawskim Archiwum Akt Nowych. Zapytałam go o wyniki tych poszukiwań. Profesor Tsokos odpowiedział, że żadnego materiału do badań DNA nie znalazł. I że nie udało mu się wprawdzie dowieść, że znalezione ciało to Róża Luksemburg, ale też nikt nie udowodnił, że to nie było jej ciało. Ostatecznie pochowano je, oznaczając jako NN.

Opowiadam tę historię w prologu książki, bo to jeszcze jeden przykład nieustannych manipulacji dokonywanych na biografii bohaterki mojej książki. A te miały miejsce i w Polsce, gdy jeszcze w latach PRL w Zamościu planowano urządzić jej muzeum. W trakcie przygotowań zamieniono na „lepszy" adres domu, w którym przyszła na świat. Pod tym „lepszym" adresem zawisła tablica pamiątkowa, skuta w 2017 r. Muzeum nigdy nie powstało.

Nurtuje nas jeszcze jedno: Czemu Róża nie próbowała się ratować? Po klęsce Związku Spartakusa i rewolucji ten najgorszy z możliwych koniec, który spotkał ją i Karla Liebknechta, był wielce prawdopodobny. Czemu nie salwowali się choćby ucieczką?

Róża nadto wierzyła ludziom. Choć nasilała się nagonka na spartakusowców, to nie opuszczała redakcji swego pisma. I chyba narastało w niej zmęczenie bardzo już widoczne na założycielskim zjeździe Komunistycznej Partii Niemiec w ostatnich dniach 1918 r. Nie została na tym zjeździe do końca także dlatego, że była przeciwna wpisaniu komunizmu do nazwy partii, sceptyczna wobec systemu wprowadzanego w Rosji przez Lenina. Nim nadeszła śmierć, była już wewnętrznie poraniona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Weronika Kostyrko – absolwentka germanistyki i historii sztuki Uniwersytetu Warszawskiego, dziennikarka, pisarka, autorka książek „Tancerka i zagłada. Historia Poli Nireńskiej" i najnowszej – „Róża Luksemburg. Domem moim jest cały świat".

eprasa.pl afa6e80cf2



XI w. / Wojna domowa wśród Piastów

Ucieczka Mieszka II



Leszek Lubicki

Następca Bolesława Chrobrego zapłacił straszną cenę za sukcesy swojego ojca

Gdy w 1018 r. umiera biskup merseburski Thietmar, skrupulatny kronikarz, który pisał także o dwóch pierwszych polańskich książętach, Mieszku I oraz Bolesławie Chrobrym, tracimy doskonałe źródło informacje o naszym kraju. Dopiero w połowie XI w. odezwał się kronikarz Wipon, który spisywał dzieje króla niemieckiego – później cesarza rzymskiego – Konrada II: „W tym samym roku, który to wymieniłem już wcześniej [1025], Słowianin Bolesław, książę Polaków, zdobył z krzywdą króla Konrada insygnia królewskie i tytuł królewski, lecz jego zuchwalstwo przyćmiła nagła śmierć. Jego syn Mieszko, równie niefrasobliwy jak ojciec, przepędził na Ruś swego brata Ottona, ponieważ sprzyjał on królowi".

eprasa.pl afa6e80cf2



Przed swoim upadkiem Mieszko II przyjął hołd Pomorzan. Grafika Franciszka Smuglewicza FOT. DOMENA PUBLICZNA

Po śmierci Bolesława Chrobrego w tej materii wcale nie jest lepiej. Pozostają nam tylko okruchy wiedzy porozrzucane po różnych kronikach tworzonych dużo później, mówiące o tym, co działo się na polskich ziemiach. Tak komentował to wybitny polski mediewista Benedykt Zientara: „Dzieje rządów Mieszka II zawierają wiele zagadek: historycy też niezbyt chętnie zajmują się tym mało pociągającym okresem" („Poczet", 1991). Pomimo tego spróbujemy nakreślić w tej opowieści, jak to się stało, że drugi król Polski, dziedzic wielkiego pierwszego polskiego monarchy, został wygnany z imperium zbudowanego przez Bolesława Chrobrego. Tym bardziej że w tym roku przypada rocznica 1000-lecia koronacji dwóch pierwszych królów Polski, a tym samym powstania Królestwa Polskiego.

Mieszko „Gnuśny"

Bolesław Chrobry pozostawił po sobie trzech synów: pierworodnego Bezpryma urodzonego z jego drugiej żony, prawdopodobnie księżniczki węgierskiej, nieznanej nam z imienia i szybko odprawionej do rodziców, oraz z trzeciej żony, Słowianki Emnildy – Mieszka i Ottona. Chrobry uznał, że jego następcą zostanie drugi syn noszący imię po wielkim dziadku. Jeszcze za życia Bolesława widzimy jego aktywność polityczną, kiedy wykonuje różne dyplomatyczne i wojskowe misje zlecone mu przez ojca. Obydwaj koronują się w tym samym roku – 1025. Bolesław w kwietniu, jednak zaraz potem w czerwcu umiera. Natomiast nie znamy dokładnej daty koronacji Mieszka II. Być może miała ona miejsce w okresie świąt Bożego Narodzenia, choć „historycy przyjmują nawet możliwość, że Chrobry zdecydował o nałożeniu korony synowi jeszcze za swojego życia, czym zapewniłby państwu przejście pod władzę następcy bez wstrząsów wewnętrznych" (Rosik, 2001).

Mieszko II stał się zatem pomazańcem bożym, co tym samym dawało mu władzę nadrzędną nad braćmi. Otrzymał w spadku państwo obszerne, wręcz imperium. „Po ojcu dziedziczył rozległe terytorium, składające się z głównych ziem wchodzących w skład dawnego państwa gnieźnieńskiego, powiększone o Milsko, Łużyce i Morawy. Będąc ważnym środkowoeuropejskim władcą i mając wysokie koligacje w Rzeszy [dzięki małżeństwu z Rychezą, wnuczką cesarza Ottona II i siostrzenicą Ottona III – przyp. red.], wydawał się Mieszko znakomitym i pożądanym partnerem politycznym dla skłóconych książąt niemieckich. Mógł jak ojciec wpływać na bieg wydarzeń u zachodniego sąsiada" (Szczur, 2002).

Nie podołał jednak temu, a kronikarze i historycy aż do XIX stulecia przypisywali mu przydomek Gnuśny. Wydaje się, że pierwszym, który użył tego określenia, był Wincenty z Kielczy (z Kielc), który w „Żywocie św. Stanisława" napisał: „Oddany gnuśnościom i przyjemnościom niedbale rządził państwem i zabiegał o własne, a nie o publiczne korzyści; dlatego obce narody, które były lennikami jego ojca, poczęły mu okazywać mniej lęku, szacunku i uznania oraz odmawiać mu płaconych dotąd danin". Nawet nasz największy dziejopis, Jan Długosz, także nie widział w nim nic dobrego, uważając, że był „głuchy na rady i lekkomyślny w czynach". Także późniejsi kronikarze nie byli lepsi w jego ocenie. W przetłumaczonej na język polski w 2023 r. „Kronice Polaków" Maciej Miechowita pisał: „Na samym początku panowania Mieczysław okazał się [człowiekiem] z natury gnuśnym i ospałym, o niestosownym umyśle i zachowaniu, w doradzaniu bezużytecznym, lekkomyślnym w działaniu; nie można było na nim polegać podczas wypraw [wojennych]".

Te jakże niesprawiedliwe oceny drugiego króla, krzywdzonego całe wieki przez polską tradycję, dopiero w 1876 r. zrewidował Anatol Lewicki w biografii Mieszka II. „Od chwili ukazania się jego monografii rozpoczęła się krytyczna faza badań i dociekań nad tym okresem dziejów Polski. W jej toku zarysowały się dość znaczne różnice zdań, które trwają do



Mieszko II. Rysunek Jana Matejki FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl afa6e80cf2

dziś" (Labuda, 2008). Już 20 lat później Józef Ignacy Kraszewski także zrozumiał, że króla nie należy aż tak negatywnie oceniać, pisząc: „Kronikarze dawniejsi, w naiwnym swym sądzie o człowieku, potępili Mieszka II, nie uwzględniając jego położenia ani mężnej walki z przemagającemi siłami – bacząc tylko na to z żalem, że za jego panowania zdobyta wielka jedność rozpadła się i chwilowo zagrożoną została […]. Z dosyć szczupłych źródeł, lecz i na podstawie faktów sądząc, wnosić należy, iż rzeczy inaczej się miały" (1888).

Uczeni starają się zatem znaleźć jak najbardziej trafną odpowiedź, dlaczego w latach 30. XI w. rozpadło się państwo stworzone przez dwóch pierwszych Piastów. Możemy tutaj zarysować tylko dwie, ale za to jakże ważne przyczyny. „Realnie zatem rzecz biorąc: polityczne i wojskowe dokonania Chrobrego były nietrwałe (w przeciwieństwie do dzieła życia Mieszka I), a jego mocarstwowa polityka okazała się kolosem na glinianych nogach i rychło obróciła się na szkodę państwa i społeczeństwa polskiego – oto główny tenor nowoczesnej krytyki Bolesława Chrobrego" (Strzelczyk, 2003). W innym miejscu ten wybitny mediewista powiada: „Prawdopodobnie u schyłku panowania Chrobry nie był już tak rzutkim i energicznym władcą jak wcześniej. Można to wnosić stąd, że choć Polska utraciła wtedy Pomorze, to w źródłach nie ma śladu informacji, że planował jego odbicie. Prawdopodobnie w kraju zaczęły się wówczas jakieś tarcia wewnętrzne" („Władcy", 2018).

Czyli mogło być tak, że agresywna polityka Chrobrego i jego podboje, a co za tym idzie – wrogo nastawieni sąsiedzi na zachodzie, wschodzie i południu, a także zatargi z pogańskimi Słowianami zjednały mu tylu wrogów, że po jego śmierci postanowiono odgryźć się na Mieszku II za czyny jego ojca. Nawet pierwszy kronikarz, Gall Anonim, zauważył to, pisząc: „Ten zaś Mieszko […] stał się przedmiotem nienawiści dla wszystkich sąsiadów, a to skutkiem nienawiści, jaką żywili dla jego ojca...". Wydaje się prawdopodobne, że obie te przyczyny, czyli zbyt rozległe państwo, które Bolesław zdobył podbojami, i opozycja wewnętrzna, która już się rodziła pośród możnych pragnących powrotu do swobody w samodzielnym zarządzaniu swoimi kiedyś grodami



„Mieszko II". Grafika Aleksandra Lessera według manuskryptu z XI w.
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

i ziemiami, doprowadziły w 1031 r. do całkowitego upadku lub – jak niektórzy ten stan nazywają – rozbioru Polski.

Wygnanie braci

A gdzie w tym czasie przebywali pierworodny, przyrodni brat Mieszka II Bezprym oraz jego rodzony brat Otton? Błażej Śliwiński, przyglądając się życiu Bezpryma, tak pisze o nim w swojej książce: „O księciu Bezprymie pełnej biografii, w klasycznym tego słowa rozumieniu, napisać bowiem nie można. Z jednego tylko, ale decydującego powodu: brak po prostu źródeł historycznych" (2014). Wiemy jedynie, że został wysłany przez ojca jako młody chłopiec do jednego z włoskich klasztorów. Niemniej uczony doszedł do wniosku, że „w świetle nielicznych dotyczących go źródeł nie powinno budzić wątpliwości, iż w chwili śmierci ojca Bolesława (czyli w 1025 r.) przebywał on w Polsce". To samo dotyczy zapewne Ottona. To oznacza także, że w chwili koronacji Mieszka II byli oni w Gnieźnie. Co zrobił nowy król Polski? Nie użył „noża lub trucizny", aby się ich pozbyć, lecz wygnał ich z kraju. Dla jego dobra to pierwsze rozwiązanie byłoby na pewno lepsze, a może nawet i dla „racji stanu".

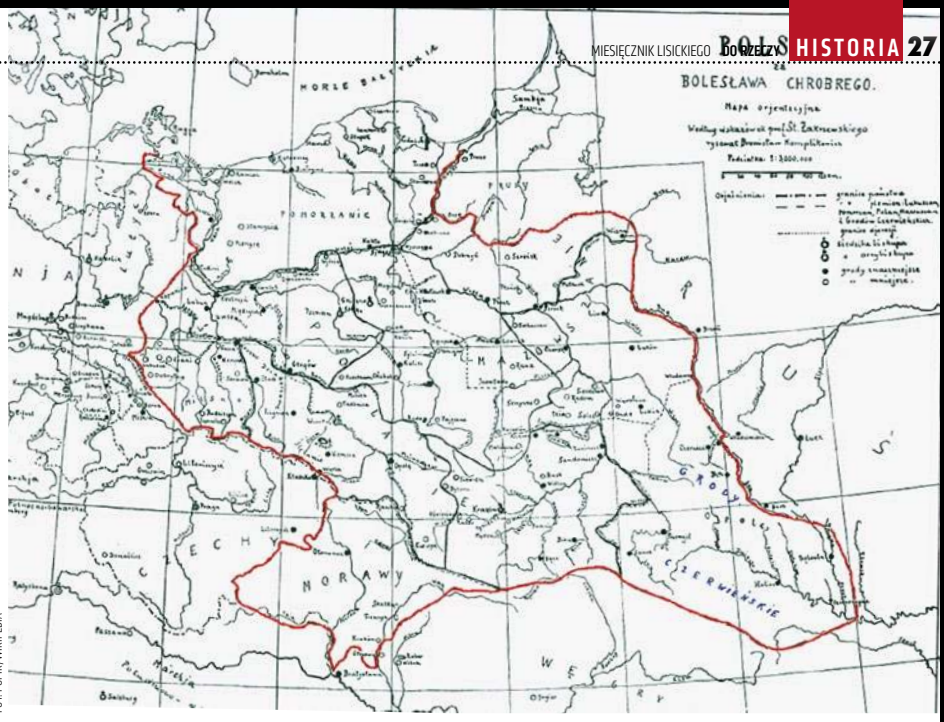
Historycy wysuwają wiele koncepcji, jak dalej toczyły się losy króla Mieszka II i jego braci. Najbardziej rozbudowany obraz sytuacji, która panowała po śmierci Bolesława Chrobrego, podał cytowany wyżej biograf Bezpryma, Błażej Śliwiński, który na podstawie wielu źródeł spróbował zrekonstruować dalsze wydarzenia. Podajmy ten opis w wielkim skrócie. Uczony uważa, że najdalej z końcem 1025 r. – lub na początku kolejnego – rozpoczyna się walka Mieszka z braćmi. To swoista wojna domowa. „Nie można więc wykluczać, że obaj, Bezprym i Otton, po śmierci ojca zaczęli wysuwać jakieś żądania względem koronowanego brata o większy udział w politycznych przedsięwzięciach, może i połączony z przyznaniem im większych terytoriów. Władzę ojca respektowali, władzę brata mogli już nie tak bardzo szanować […]. Mogli swoje dążenia do większego udziału we władzy głośno artykułować, mogło to nawet siać pewien wewnętrzny ferment, ale nieprawdopodobne, by zdobyli się na jakieś otwarte wystąpienie przeciwko Mieszkowi II".

Król zatem wygania ich z kraju i obaj udają się na Ruś. Rządzi tam Jarosław Mądry, który – jak pamiętamy – został w roku 1018 okrutnie pobity przez Chrobrego, a jego Kijów doszczętnie złupiony. Niejako przy okazji zniewolił siostrę księcia Przedsławę, którą rok wcześniej Jarosław nie chciał mu wydać za żonę, i zabrał ją sobie do Polski. Nie dziwi zatem, że musiał pałać także nienawiścią do jego syna. Na początku ich pobytu władca Rusi nie chciał – czy też nie mógł – udzielić pomocy wygnańcom. Dopiero później, gdy Mieszko wszedł w konflikt z cesarzem Konradem II i zaatakował oraz złupił Saksonię, sprawy przybrały dla polskiego króla niekorzystny obrót. Wygnani bracia – a było to w 1028 r. – zwrócili się do cesarza z prośbą o pomoc w przywróceniu im należytego spadku po ojcu. Jarosław Mądry dopiero



Jarosław Mądry
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl afa6e80cf2



FOT. POPIK/WIKIPEDIA

wtedy obiecał wsparcie, pod warunkiem jednak, że porozumieją się z Konradem i wówczas razem z dwóch stron zaatakują Polskę. Dalej uczony snuje następujący scenariusz: „Nagrodą dla Jarosława Mądrego miało być przede wszystkim zajęcie tzw. Grodów Czerwieńskich, wśród innych obietnic wygnańców była m.in. również sprawa zwrotu znacznej ilości jeńców ruskich, których wziął do niewoli w wyprawie z 1018 r. Bolesław Chrobry".

W roli posła do Niemiec udał się rodzony brat Mieszka Otto, który miał szansę skorzystać tam „z pomocy swoich niemieckich powinowatych, jego rodzoną siostrą była bowiem Regelinda, żona margrabiego miśnieńskiego Hermana". Mieszko w tym czasie, jeszcze przed głównym atakiem, walczył z Konradem oraz z Czechami, tracąc Morawy. Sytuacja zmieniała się z miesiąca na miesiąc. „Zachowanie sojuszników (Luciców, Czechów) kazało Konradowi II bardzo już poważnie potraktować przywiezione z Rusi przez Ottona propozycje Jarosława Mądrego i Bezpryma. Zwłaszcza że sytuacja samego Konrada II ulegała stopniowemu pogorszeniu: doszło do konfliktu z Węgrami, cesarz obraził się także na księcia czeskiego Oldrzycha. W takich warunkach każdy, nawet najbardziej odległy sojusznik był już pożądany, majestatowi cesarskiemu potrzebny był każdy sukces na wschodnich rubieżach państwa. W takich okolicznościach, zapewne pod koniec 1029 lub w początkach 1030 r., zawarto za pośrednictwem Ottona porozumienie niemiecko-ruskie".

Konflikt z cesarzem

W 1031 r. dochodzi do ataku na Polskę z dwóch stron – od wschodu wojska ruskie Jarosława Mądrego, od zachodu niemieckie Konrada II. Cesarska armia zajmuje Łużyce i Milsko, a ruska Grody Czerwieńskie, biorąc przy tym w niewolę mnóstwo ludzi. „To pierwszy, krótkotrwały jeszcze, »potop« w dziejach polskich: równoczesny najazd potężnych sąsiadów ze wschodu i zachodu, kolaboracja z nimi, a może nawet inicjatywa tej zbrojnej akcji ze strony »miejscowych« kandydatów do władzy w państwie Mieszka, wreszcie bunt części możnych zapewne popierających Bezpryma i młodszego Ottona…" (Nowak, 2014).

Dzieło Mieszka I oraz Bolesława Chrobrego legło w gruzach. Mieszko II nie daje rady się obronić. Wie, że jego życie jest zagrożone ze strony Bezpryma, który obejmuje w Polsce władzę. W tych okolicznościach Mieszko II ucieka do Czech. Mógł walczyć i polec bohatersko, ale wybrał przeczekanie. Teraz już wiemy, że zrobił dobrze. W Czechach rządził wspomniany Oldrzych, bardziej znany nam jako Udalryk. Nie przyjmuje uciekiniera z północy, jak na króla przystało, a wręcz przeciwnie – wtrąca go do lochu. Będąc w konflikcie z cesarzem, który to konflikt Czechom nie służył, chciał się przypodobać Konradowi. Pragnął wydać mu Mieszka. Niemiecki władca stanowczo jednak odmówił, twierdząc, że nie przyjmie „nieprzyjaciela od nieprzyjaciela".

Co robi zatem Udalryk? Odwołajmy się tutaj do Galla Anonima: „Opowiadają też, że Czesi [...] rzemieniami skrępowali mu genitalia, tak że nie mógł już płodzić [potomstwa], za to, że król Bolesław, jego ojciec, podobną im wyrządził krzywdę, oślepiwszy ich księcia [Bolesława Rudego – przyp. red.] […]". Zatem, mówiąc wprost, Mieszko został wykastrowany. Za takim przebiegiem wydarzeń opowiada się zdecydowana większość historyków. Zwróćmy jednak uwagę na słowa kronikarza „opowiadają też". Czyli pewności nie ma. Może to zwykła plotka? Posłuchajmy zatem, co na ten temat sądzi Jerzy Strzelczyk, odwołując się do poglądów wielokrotnie cytowanego w tej opowieści monografisty Bezpryma. „Gdański mediewista prof. Błażej Śliwiński […] próbuje jednak uprawdopodobnić – bo udowodnić się nie da – że z tą kastracją mogło być inaczej. Stawia hipotezę, że to nie Mieszka II spotkał ten smutny los, lecz właśnie Bezpryma. Profesor próbuje wykazać, że w drodze powrotnej z Włoch został on pojmany przez Czechów i wykastrowany. Co jakiś czas zdarzają się w nauce nowe punkty widzenia na stare sprawy, ale ja się za tą akurat koncepcją nie opowiadam" („Władcy", 2018).

Jak by nie było z okaleczeniem naszego króla, to jednak później Mieszko II opuści więzienie i nie upadnie na duchu mimo wcześniejszych upokorzeń: utrata władzy i ucieczka z kraju, uwięzienie i – być może – kastracja. Jak pięknie to ujął Anatol Lewicki, pierwszy biograf drugiego polskiego króla: „Podźwignął on się jeszcze na chwilę i całe rozdzielone państwo połączył na nowo…". Ale to już dalsza historia, wymagająca osobnego omówienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Garlicki A. (red.), ***„Poczet królów i książąt polskich",*** *Warszawa 1991; Kraszewski J.I.,* ***„Wizerunki królów i książąt polskich",*** *Warszawa 1888; Labuda G.,* ***„Mieszko II",*** *Poznań 2002; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski",*** *Warszawa 2018; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski", t. 1,*** *Kraków 2014; Rosik S.,* ***„Mieszko II Lambert i jego czasy",*** *Wrocław 2001; Strzelczyk J.,* ***„Bolesław Chrobry",*** *Poznań 2003; Szczur S.,* ***„Historia Polski średniowiecznej",*** *Kraków 2002; Śliwiński B.,* ***„Bezprym. Pierworodny syn pierwszego króla Polski",*** *Kraków 2014.*

eprasa.pl afa6e80cf2



Aleksander Dutow
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEUM OF POLITICAL HISTORY OF RUSSIA

1879–1921 / Postrach czerwonych

Kozacki bat na Lenina

Piotr Semka

Ataman Aleksandr Dutow jako pierwszy rzucił wyzwanie bolszewikom. Wrogowie na długo zapamiętali mu nieugiętą postawę, makabrycznie gnębiąc go nawet po śmierci

Dutow, Kaledin, Korniłow. Te trzy nazwiska jako symbole kontrrewolucji straszyły na rewolucyjnych plakatach propagandowych w pierwszym okresie wojny domowej w Rosji. Dopiero potem na czoło obozu Białej Gwardii wysunęli się generałowie Nikołaj Judenicz, Anton Denikin i adm. Aleksandr Kołczak. A jednak to Aleksandr Iljicz Dutow (1879–1921), generał i ataman Kozaków orenburskich, traktowany był przez ekipę Lenina z największą wrogością i zajadłością. Na tyle silną, że sowiecka Czeka zorganizowała bardzo skomplikowaną operację zgładzenia reakcyjnego generała. Co ciekawe, dziś pamięć w Rosji o atamanie symbolizuje tamtejsze „rozdwojenie jaźni" w kwestii spojrzenia na rewolucję.

15 października 2012 r. w Orenburgu, największym mieście na pograniczu Rosji europejskiej i Uralu, doszło do znamiennej uroczystości. Na dawnym budynku Hotelu Centralnego odsłonięto tablicę pamiątkową z napisem: „Tu w 1918 r. prezes rządu armii kozaków orenburskich Aleksandr Iljicz Dutow miał swoją siedzibę wraz ze swoimi służbami".

W ceremonii uczestniczył wicegubernator obwodu orenburskiego Dymitrij Kułagin, kozacki ataman wojskowy gen. Władimir Romanow i dowódca oddziału armii Kozaków orenburskich płk Wiktor Kargałow. Oddziały kozackie jako organizacje paramilitarne zostały odtworzone za zgodą państwa w latach 90. A właśnie Kozacy orenburscy mogli poszczycić się w historii Rosji wyjątkowo bogatą tradycją.

O ile na terenie Rzeczypospolitej Kozacy byli elementem konfliktogennym, o tyle na terenach ukraińskich zajętych przez Rosję w XVII w. rosyjscy władcy znaleźli bardzo udany sposób na wykorzystanie ich wojowniczości – użyto ich do podbijania ziem na wschód od Rosji centralnej. W 1734 r. dekretem carycy Anny Iwanowny powołano armię Kozaków wołżańskich, którą po stłumieniu powstania Pugaczowa w 1777 r. na mocy decyzji cesarzowej Katarzyny II przerzucono nad rzekę Terek. Wtedy to z Kozaków wołżańskich wyłoniono jako osobną formację oddziały Kozaków orenbur-

eprasa.pl afa6e80cf2



Order św. Anny III klasy z mieczami i bantem (honorowa kokarda)

FOT. ZNAK-AUCTION.RU

skich. Ich nazwę wzięto od założonego w XVIII w. grodu i posterunku wojskowego Orenburg nad rzeką Oren. Kozacy orenburscy szybko zdobyli sobie sławę jednego z najbardziej bitnych oddziałów armii cara i to właśnie w tym mieście tradycje kozackie zbiegły się z pamięcią o najwybitniejszym dowódcy kozaków orenburskich – Aleksandrze Dutowie.

Zgoda na uczczenie atamana specjalną tablicą pamiątkową była wynikiem polityki historycznej Władimira Putina. Ogłosił on, że pamięć należy się zarówno dowódcom białogwardyjskim, jak i dowódcom bolszewickim, którzy w myśl pokrętnej logiki polityki historycznej Kremla, „mimo że stanowili przeciwieństwa, to wspólnie wykuwali jedną historię Rosji, której dziś nie sposób rozdzielić". Być może właśnie z powodu tej dość dziwnej dla Polaków logiki nikogo z odsłaniających tablicę nie dziwiło to, że uroczystość odbywała się na rogu ulic Sowieckiej i Kirowa (bolszewickiego dyktatora Leningradu).

Kozacki syn

Aleksandr Iljicz Dutow urodził się 5 (17 według starego porządku) sierpnia 1879 r. w Kazalińsku (na terenie dzisiejszego Kazachstanu). Jego ojciec, Ilia Pietrowicz Dutow, był typowym oficerem garnizonowym, którego szczytem kariery było tłumienie powstań ludów turkiestańskich w 1907 r. Młody Alosza, tak jak wielu innych synów oficerskich, często zmieniał garnizony, ale zawsze wpajano mu dumę z kozackiego rodowodu, z bojowych tradycji familii Dutowów.

Ojciec zakończył służbę w stopniu generała dywizji, spędzając długie lata w garnizonach Fergany, Orenburga, Petersburga i wreszcie ponownie Orenburga. Wysoka pozycja ojca niejako wymuszała na synu wybranie kariery oficerskiej. Aleksandr zaczął od korpusu kadetów w Orenburgu, do którego trafił w wieku 10 lat. W 1902 r. zdał egzamin do szkoły inżynierskiej im. cara Mikołaja w Petersburgu. Bardzo charakterystyczne jest, że jego żoną została Olga Wiktorowna Pietrowska, która pochodziła z dziedzicznej szlachty guberni sanktpetersburskiej, ale jednocześnie była córką wysokiego stopniem oficera policji. W tamtym czasie służby mundurowe, znajdujące się pod coraz większym ostrzałem krytyki ze strony liberalnego mieszczaństwa, lgnęły do siebie przekonane, że muszą zwierać szeregi wobec wolnościowych tendencji sporej części elit.



Kozacy z 2. Orenburskiego Pułku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Dutow zgłosił się na ochotnika do armii i poszedł na wojnę rosyjsko-japońską, trafiając do II armii mandżurskiej. Kampanię zakończył z Orderem św. Stanisława III klasy za „wspaniałą, sumienną służbę". Po kampanii japońskiej powrócił do szkoły, gdzie wykładał do 1916 r. Gdy na początku tamtego roku armia rosyjska zaczęła chwiać się pod ciosami wojsk kajzera Niemiec i cesarza Austrii, ponownie zgłosił się na ochotnika do służby liniowej. Miał wtedy 37 lat i jego dobrowolny akces na front zdradzał głęboki patriotyzm. Wielu innych chwaliłoby sobie spokojną „tyłową" pracę wykładowcy na uczelni wojskowej w najgorętszym okresie wojny, która kosztowała Rosję każdego miesiąca zatrważającą liczbę ofiar śmiertelnych.

Dutow bierze udział w ofensywie frontu południowo-zachodniego pod dowództwem gen. Aleksieja Brusiłowa, w której ramach dziewiąta armia, do której został skierowany, rozbija na pograniczu Galicji i Bukowiny siódmą armię austriacką. Dwukrotnie ranny wraca do swojego ukochanego Orenburga, gdzie zostaje dowódcą I pułku kozackiego. Z tych walk zachowało się pochlebne zaświadczenie dowództwa na temat jego męstwa – Dutowa wskazano do odznaczenia wyjątkowo prestiżowym Orderem św. Anny III klasy z mieczami i bantem.

Spokojny upór

Gdy wybucha rewolucja lutowa, Dutow dość trzeźwo uznaje, że caratu nie da się uratować. Lojalnie akceptuje Rząd Tymczasowy pod kierownictwem Aleksandra Kiereńskiego. W tym czasie wojskowi rozmaitych nacji organizują swoje kongresy. W ślad za nimi 7 czerwca 1917 r. dochodzi w Petersburgu

eprasa.pl afa6e80cf2



Bolszewicki plakat przedstawiający Dutowa, Korniłowa i Kaledina

FOT. DOMENA PUBLICZNA

do zwołania II Kongresu Ogólnokozackiego. Dutow, który za swoją służbę w czasie wielkiej wojny zdobył szacunek w armii rosyjskiej, zostaje wybrany na przewodniczącego Rady Związku Wojsk Kozackich.

We wrześniu 1917 r. wrócił do Orenburga i został wybrany na atamana armii Kozaków orenburskich. I właśnie w Orenburgu dociera do niego 8 listopada 1917 r. (27 października starego porządku) wiadomość o puczu Lenina w Petersburgu. I – co charakterystyczne – to właśnie Dutow był pierwszym dowódcą armii rosyjskiej, który zdał sobie sprawę z powagi sytuacji i natychmiast wystąpił przeciw bolszewikom. Inni dowódcy starali się czekać na wyklarowanie sytuacji lub obojętnie przyjmowali pojawienie się nowej władzy w Petersburgu, nie uznając bolszewików za nadzwyczajne niebezpieczeństwo. Dutow wydał swojej armii Kozaków orenburskich rozkaz nr 816: „Do czasu przywrócenia uprawnień Rządu Tymczasowego i łączności telegraficznej przejmuję pełnię władzy wykonawczej państwa".

W Orenburgu i okolicznej guberni został proklamowany stan wojenny, powstał Komitet Ocalenia Ojczyzny, do którego weszli przedstawiciele wszystkich partii z wyjątkiem bolszewików. Komitet mianował Dutowa szefem sił zbrojnych regionu. Lenin zareagował furią na wieści o przejęciu Orenburga przez siły niechętne bolszewikom – gubernia orenburska miała kluczowe znaczenie geostrategiczne, gdyż blokowała ekspansję sił podległych Leninowi z centrum kraju w kierunku Turkiestanu i Syberii.

Dutow wspominał potem: „Postawiłem sobie za zadanie utrzymanie spokoju na moim terytorium, aby umożliwić przeprowadzenie wolnych wyborów do Konstytuanty Ustawodawczej. Nie miałem ochoty utrzymać tej wojskowej funkcji dowódcy regionu poza okres doprowadzenia do stabilizacji w prowincji i przejęcia władzy przez legalne organy, które wyłoni konstytuanta. W sumie poradziłem sobie z tym zadaniem. Bolszewików, którzy przybyli z Piotrogrodu, i miejscowych aktywistów Lenina, którzy nie zeszli do podziemia, aresztowałem, a podupadły bolszewicki garnizon Orenburga rozbroiłem i rozesłałem do domu".

W odpowiedzi na ten spokojny, ale zdecydowany sposób zaprowadzania porządku w Orenburgu i okolicach władza bolszewicka uczyniła z Dutowa wrogi symbol, obok dwóch innych generałów, którzy przeciwstawili się bolszewikom – Aleksieja Kaledina i Ławra Korniłowa. Komunikat bolszewickiej Rady Komisarzy Ludowych z 25 listopada 1917 r. głosił: „Rodziankowie, Milukowowie, Głuczkowowie [nazwiska liberalnych polityków rosyjskich – przyp. red.] chcą odzyskać władzę i przy pomocy Kaledinów, Korniłowów i Dutowów zamierzają zamienić pracujących Kozaków w narzędzie swoich zbrodniczych celów. Sztab bolszewików z Petersburga wysyła do głównego komisarza floty czarnomorskiej Wasilija Własewicza Romienieca zakrzepiający do boju telegram: »Kaledinowie, Korniłowowie, Dutowie są wyjęci spod prawa«".

Ostatnie tchnienie Rosji

Dzisiejszego czytelnika może dziwić dość osobliwa maniera używania nazwisk dowódców, którzy przeciwstawili się puczowi bolszewików w liczbie mnogiej, ale taka stylistyka miała utrzymać się w sowieckiej propagandzie jeszcze przez długi czas. 7 grudnia 1917 r. Dutow wygłosił przemówienie podczas otwarcia Rady Wojskowej Armii Kozaków orenburskich. Powiedział wówczas: „Żyjemy w czasach bolszewików. Z ciemności wyłaniają się zarysy politycznej władzy nad Rosją niemieckiego cesarza Wilhelma, a tuż przed nami wyraźnie i zdecydowanie stoi postać Włodzimierza Lenina i jego zwolenników: Trockiego – Fronsteina, Jazanowa – Goldenbacha, Kamieniewa – Rozenfelda, Suchanowa – Himmera i Zinowiewa – Apfelbauma. Rosja umiera. Jesteśmy obecni przy jej ostatnim tchnieniu. Była Wielka Ruś od Bałtyku po ocean. Od Morza Białego po Persję, była cała Rosja wielka, groźna, potężna, silna rolnictwem i pracą. Teraz już jej nie ma".

Ten fragment przemówienia dobrze ilustruje, jak w pierwszych miesiącach po przewrocie bolszewickim postrzegano poza centralną Rosją ekipę Lenina. Bolszewików traktowano wyłącznie jako narzędzie prowokacji kajzerowskich Niemiec i liczono się raczej z kontynuacją wojny z Niemcami niż z gigantyczną wojną domową, która przeorze ideowo całe społeczeństwo rosyjskie. 16 grudnia 1917 r. Dutow zobowiązał dowódców wspólnot kozackich, aby zmobilizowali wszystkich mężczyzn zdolnych do obsługi broni. I tutaj Dutow ponosi pierwszą porażkę. Większość Kozaków wróciła niedawno z frontu i nie ma ochoty walczyć. Owszem, w swoich wsiach i chutorach tworzą lokalne oddziały samoobrony, ale na tworzenie armii, która mogłaby powstrzymać atak bolszewików, nie mają ani siły, ani ochoty.

Dutow może liczyć tylko na dwutysięczną armię ochotniczą złożoną głównie z oficerów i studentów oraz z jeszcze nieostrzelanej młodzieży. W tej sytuacji w drugiej połowie stycznia 1918 r. oddziały Czerwonej Gwardii uderzają

eprasa.pl afa6e80cf2

na Orenburg. Dutow zmuszony jest przenieść się ze swym sztabem do Wierchnieuralska. 31 stycznia 1918 r. bolszewicy zajmują Orenburg. Dutow i lojalni mu żołnierze utrzymują pozycje w okolicach Kraśnińska, ale i tam w połowie kwietnia zostają otoczeni. 17 kwietnia Dutow na czele czterech oddziałów partyzanckich i plutonu oficerskiego przedziera się przez ten czerwony pierścień na stepy Turgai.

Gorzki paradoks sprawia, że akurat gdy Dutow zmuszony jest wyrwać się na stepy, w rejonie Orenburga wybucha powstanie wiejskie, które jest reakcją na bandyckie metody wymuszania żywności dla miast przez karne oddziały bolszewików. W ramach represji spalono wtedy 11 wsi kozackich. Dwa miesiące później znów wybucha oddolne powstanie kozackie, ale choć nie jest ono dowodzone przez doświadczonych oficerów, to 3 lipca 1918 r. rebeliantom udaje się zdobyć Orenburg. Na stepy Turgai zostaje wysłana specjalna delegacja, która zaprasza Dutowa, aby wrócił do miasta i ponownie objął dowództwo Kozaków orenburskich. W ciągu kolejnych dwóch miesięcy Kozacy czyszczą okoliczny teren z sił bolszewickich. W tej sytuacji Dutow jest w stanie oddać zdobyte przez siebie terytoria i podległe sobie wojska Aleksandrowi Kołczakowi – nowemu dyktatorowi białych. Kolejne miesiące 1919 r. to dla Dutowa okres dalszych walk z Armią Czerwoną, tym razem już pod komendą Kołczaka.

We wrześniu 1919 r. oddziały, na których czele walczył Dutow, zostały pokonane pod Aktobe. Dutow z resztkami swoich żołnierzy przedarł się na teren tzw. Semirecza (krainy na pograniczu obecnego Kazachstanu i Kirgistanu), aby dołączyć do kontrrewolucyjnych oddziałów atamana Borysa Władimirowicza Annienkowa. Był to już jednak powolny schyłek działalności oddziałów kontrrewolucyjnych. Przeprawa przez stepy kazachskie do Semireczeńska, gdzie znajdowało się ostatnie centrum oporu atamana Annienkowa, przeszła do historii wojny domowej jako marsz głodowy – żołnierze Dutowa musieli przejść przez pusty step, gdzie nie można było znaleźć niczego do zjedzenia. Ostatecznie w maju 1920 r. Armia Czerwona zmusiła Dutowa wraz z resztkami oddziałów atamana Annienkowa do przekroczenia granicy z Chinami.



Tablica w Orenburgu upamiętniająca Dutowa FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MICHAIŁ KOZŁOW

Prowokacja

Dutow, jak wielu innych dowódców białogwardyjskich, ustanowił swoją bazę w nieodległym od granicy z Rosją Szujdingu, na terenie Kazachstanu chińskiego. Rejon ten zamieszkany był w większości przez ludność ujgurską. Kozacki ataman miał nadzieję, że władza sowiecka w końcu się załamie i wówczas będzie mógł wrócić z bronią w ręku do ojczyzny.

W październiku 1920 r. dotarł do niego niejaki Czarnyszew – agent sowieckich tajnych służb wywodzący się z zamożnej tatarskiej rodziny kupieckiej. Czarnyszewowi udało się przekonać Dutowa, że jest przedstawicielem sprzysiężenia antybolszewickiego, które chce wywołać powstanie w rejonie Dżarkentu. Prowokator zdobył zaufanie dowódcy Kozaków orenburskich – ataman połknął haczyk i zaczął wierzyć, że przygotowania do powstania są zaawansowane, niedługo będzie mógł wraz z weteranami swojej armii przekroczyć granicę sowiecko-chińską i rozpocząć na nowo krucjatę przeciw bolszewikom.



Pomnik kozaków orenburskich w Orenburgu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RENAT1990

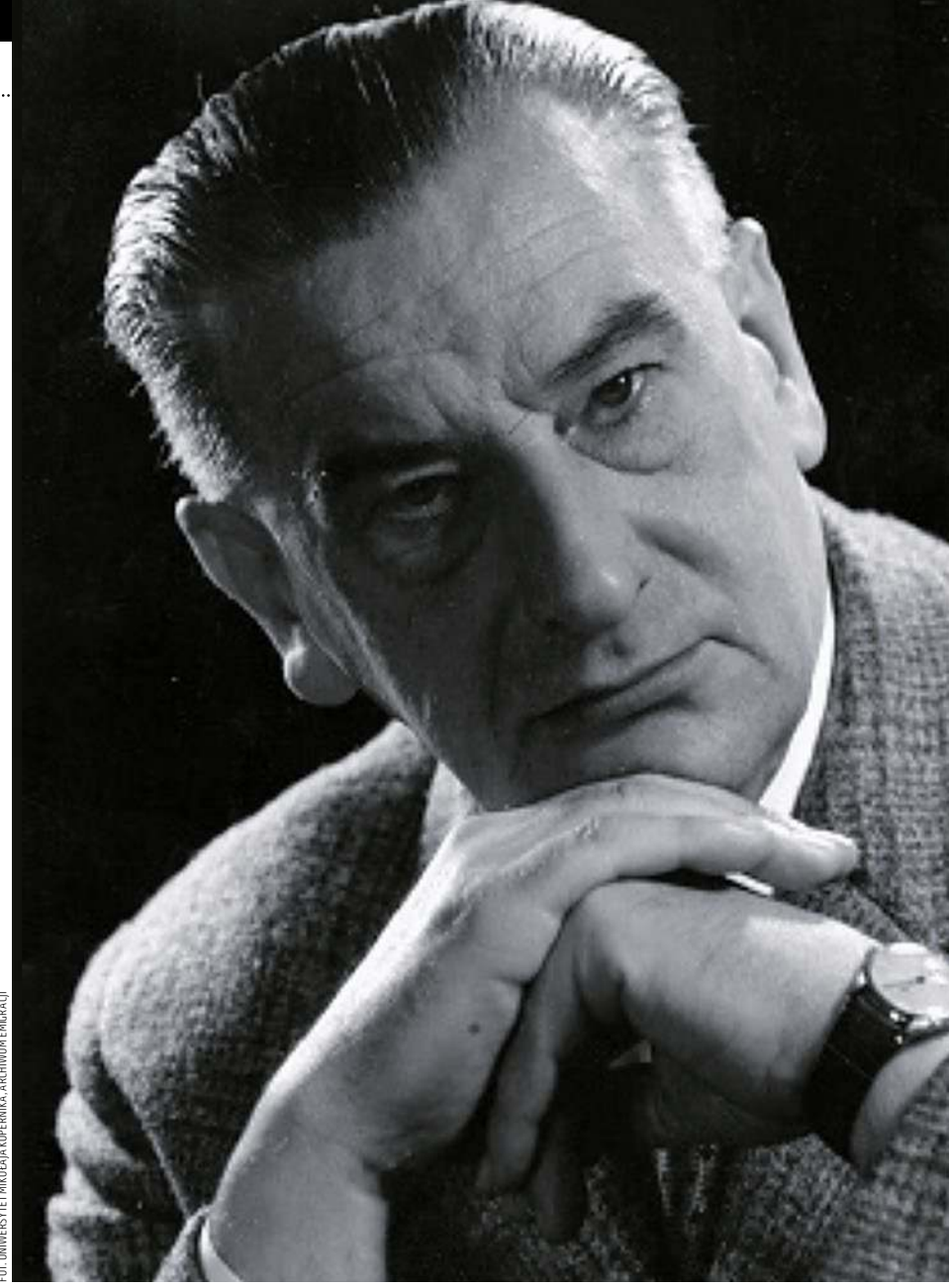
2 lutego 1921 r. Czarnyszew znów pojawia się w Szujdingu, ale Dutow nabiera podejrzeń i nie chce się z nim spotkać. Prowokatorowi udaje się jednak wysłać swojego współpracownika – Mahmuda Hadżimirowa. Ochrona Dutowa wprowadza go do gabinetu dowódcy, w którym znajduje się także jego adiutant Łopatow. Hadżimirow pod pozorem przekazania atamanowi notatki o stanie przygotowań do powstania podchodzi do biurka i gdy Dutow zaczyna czytać raport, zamachowiec strzela do niego, a następnie zabija Łopatina. Aby mieć pewność, że wykonał zadanie, Hadżimirow przyłożył broń do głowy Dutowa i pociągnął za spust... Skrytobójca bez przeszkód opuścił siedzibę atamana – cała grupa sowieckich agentów bez strat uciekła następnie z Chin do Związku Sowieckiego.

Zabójcy zostali osobiście odznaczeni przez Feliksa Dzierżyńskiego. Nienawiść do Dutowa była tak wielka, że bolszewicy zadbali nawet o zbezczeszczenie jego ciała. Dutowa pochowano z honorami wojskowymi na cmentarzu leżącym w pobliżu jego chińskiej kwatery głównej. Tuż po pogrzebie nieznani sprawcy zbezcześcili grób atamana. Sprawcy odkopali ciało Dutowa, ścięli mu głowę i zabrali ją ze sobą. Zaiste, nienawiść ekipy Lenina do skromnego orenburskiego atamana była olbrzymia.

Mizerną pociechą dla krewnych kozackiego oficera mogła być po latach informacja, że niemal wszystkich ludzi zaangażowanych w operację zabicia go wymordowano w wielkiej czystce Stalina w latach 1937–1939. Jedyny uczestnik zabójczej ekspedycji do Szujdingu, który przeżył terror, zawdzięczał ocalenie karnej zsyłce. Wskutek koszmarnego chichotu historii wyznaczono ją akurat w pobliżu Orenburga, gdzie też człowiek ten zmarł w 1968 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2



FOT. UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA, ARCHIWUM EMIGRACJI

XX w. / 40. rocznica śmierci Józefa Mackiewicza

Zacięta niezgoda



Marek Gałęzowski

Był wielkim pisarzem, który demaskował zło komunizmu, największego wroga wolnej myśli, doprowadzającego ludzi do moralnego rozkładu

Określenie „instrument krytyki naszego charakteru narodowego", zastosowane do twórczości Stanisława Cata-Mackiewicza, znacznie bardziej pasowałoby do dzieła jego młodszego brata. W pisarstwie redaktora „Słowa" znajdziemy niemało argumentów uzasadniających przywołane sformułowanie Jana Tomkowskiego, którym za motto mogłyby posłużyć słowa „Cata": „Patriotą nie jest ten, kto wszystko widzi w różowych kolorach, naród do szaleństwa namawia". Jednak aktywność publicystyczna „Cata" dotyczyła przede wszystkim spraw bieżących, i to na ich marginesie formułował uwagi odnoszące się do wad narodowych.

Inaczej Józef Mackiewicz – pomijając już, że w odróżnieniu od brata nigdy nie był politykiem – jego refleksja nad mentalnością, postawami i cechami narodowymi miała wszechstronniejszy charakter, a w krytyce znacznie bardziej był bezkompromisowy. Dlatego uwagę Marka Nowakowskiego można zastosować jedynie do autora „Kontry": „Świetny pisarz. Niezależny publicysta. Dobrze, że taki zaistniał na polskiej ziemi, gdzie tak trudno istnieć ludziom osobnym, występującym przeciw utartym opiniom, zastałym kanonom i dogmatom". I kiedy Czesław Miłosz pisał do Józefa Mackiewicza o swoim dziele, że było „rozpaczliwe, bo na przekór wszystkim", to uwaga ta odnosiła się także do jego adresata.

Pełna uznania dla Mackiewicza Stefania Kossowska za jego największą pomyłkę uznała brak zrozumienia, że naród polski nie prowadzi walki z systemem komunistycznym, a z Rosją. Było

eprasa.pl afa6e80cf2



Józef Mackiewicz (w środku) w redakcji wileńskiego „Słowa” FOT. NAC

dokładnie na odwrót – pisarz nie tylko dobrze to rozumiał, lecz także właśnie temu zjawisku całą swoją publicystyką polityczną się przeciwstawiał. Był zdania, że stawianie znaku równości między dawną Rosją a ZSRS – typowe nie tylko dla polskiej refleksji politycznej, lecz także będące powszechnym odczuciem społecznym – pomniejsza zagrożenie komunistyczne, „odmawiając mu cech niebywałego w dziejach niebezpieczeństwa, a przydając [mu] w zamian cechy starego (»bywałego«) imperializmu rosyjskiego”.

Zło ogólnoludzkie

Komunizm nie zmierza bowiem jedynie do takiego czy innego ograniczania swobód narodowych czy obywatelskich, jak wcześniej carat, ale „postawił sobie za cel zniesienie wolności myśli” i dlatego jest „największym wrogiem wolności, jaki kiedykolwiek w zbiorowym ustroju ludzkim istniał na globie”. Innymi słowy, ten totalitarny system rządów (pojęciem tym pisarz obejmował także niemiecki nazizm) „jest złem samym w sobie, abstrahując od jego fizycznych przejawów [...]. Złem ponadnarodowym, ponadpolitycznym, nadrzędnym i ogólnoludzkim”. To sprawiało, że przeciwstawiając się niewoli komunistycznej, Polacy nie mogą czerpać ze wzorców wypróbowanych w zmaganiach z carską Rosją, ponieważ mają „do czynienia z wrogiem stokroć groźniejszym”, z którym porozumienie czy współistnienie jest niemożliwe, ponieważ „komunizmowi chodzi o to, żeby wszyscy byli komunistami”. Jak w innym miejscu argumentował Mackiewicz: „Bolszewizm jest jedynym najeźdźcą na globie, z którym każdy kompromis może prowadzić nie do różnych, a tylko do jednego wyniku: do równi pochyłej wiodącej do przeistoczenia danego narodu w naród sowiecki”. Szczególnie zaś przenikliwa była inna jeszcze uwaga pisarza, że jest on „skierowany w pierwszym rzędzie nie przeciwko narodom, lecz przeciwko: LUDZIOM [...]. Komunizm jest dlatego wrogiem nadrzędnym dla wszystkich ludzi, gdyż sprowadza na nich nadrzędną, ponadnarodową niewolę – niewolę Ducha i Myśli”. Dlatego Mackiewicz uważał za uprawnione określenie go mianem antykultury i antycywilizacji.



GONIEC CODZIENNY

WIDZIAŁEM NA WŁASNE OCZY

Józef Mackiewicz o swoim pobycie na miejscu zbrodni w Katyniu

Reportaż Józefa Mackiewicza z Katynia, 1943 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Krytycy Józefa Mackiewicza uważali takie stanowisko za niepolityczne, przez swą bezkompromisowość nieliczące się z rzeczywistością. Mackiewicz nie był jednak politykiem – jak napisał autor najlepszej w moim przekonaniu biografii pisarza Włodzimierz Bolecki – „interesowała go obrona zasad”, a jego „antykomunizm był programowo uniwersalistyczny”. I dlatego nazwał go antypolitycznym antykomunistą, co znajdowało uzasadnienie i w tym, że myśl Mackiewicza wykraczała poza wymiar polityki prowadzonej z punktu widzenia narodowego. Nie występował bowiem ze stanowiska sprawy niepodległości Polski, lecz cywilizacyjnego – uważał, że „antykomunizm to nie żadna doktryna. To jest, poza wszystkim, przywrócenie słowom ich pierwotnego, nieujarzmionego, znaczenia”.

W chwili, gdy wolny świat usiłował koegzystować z komunizmem, bezrefleksyjnie wierząc w zapewnienia o pokojowym współistnieniu, pisarz dowodził naiwności tego przekonania, ponieważ nieludzka ideologia jako zagrożenie globalne, skierowane przeciw każdej kulturze, nigdy nie ustępowała. Mimo to – jak ze smutkiem konstatował – „komunizm sam nie jest już kwestionowany. Uwzględnia się fakt totalnego ujarzmienia i pociesza się stwierdzeniem, że komunizm stał się bardziej humanitarny. Ale niewola pozostanie niewolą, czy humanitarną, czy niehumanitarną”.

Podobnie zauważał w artykule „Fragment epoki” z 1970 r.: „Cios, jaki spotyka nas, urodzonych z ludzką twarzą, polega moim zdaniem na tym, że dziś, po trzydziestu latach, zmusza się nas do wyrzeczenia się tej twarzy na rzecz »komunizmu (socjalizmu) z ludzką twarzą« i każe zaczynać ewolucyjne udoskonalenie nie od wolności, lecz od doskonalenia najgorszej niewoli”.

Nie było przesady w liście Sergiusza Woyciechowskiego, kiedy napisał: „Jest Pan jedynym wielkim pisarzem, który demaskuje zło komunizmu”.

Stać z przodu, samotnie

W powieści Mackiewicza „Karierowicz” opinia publiczna bez żadnych wątpliwości mianowała tytułową postać bohaterem, ponieważ „odpowiadało to nastrojowi wszystkich”. Pisarstwo

eprasa.pl afa6e80cf2



Józef Mackiewicz i Barbara Toporska
FOT. UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA, ARCHIWUM EMIGRACJI

Mackiewicza zdecydowanie przeciwstawiało się temu podszytemu fałszem zadowoleniu z siebie, narzuconemu nie z zewnątrz przecież. Jak przed nim nie odpowiadało Maurycemu Mochnackiemu, Cyprianowi Norwidowi, Stanisławowi Brzozowskiemu. Ta niezgoda miała trwałe oparcie w pewności, że „nie zawsze większość ma rację. Często większość daje się uwodzić demagogią pustych frazesów i prowadzić po fałszywej drodze, do fałszywego celu".

Pisarstwo nieodpowiadające nastrojowi wszystkich jest obecne także w zbiorze artykułów Mackiewicza z kilkunastu ostatnich lat jego życia, zatytułowanym przez ich wydawcę Ninę Karsov „Wielkie tabu i drobne fałszerstwa" (z którego pochodzą też niektóre cytowane wyżej opinie). Mottem tego tomu mogą być słowa z otwierającego go tekstu, w którym Mackiewicz, kreśląc portret Mariana Hemara, stwierdzał, że musi przejść do porządku nad powszechnym w opinii publicznej zdaniem o ubocznej przyczynie każdej szczerej wypowiedzi – tak jak „i w każdym innym wypadku, gdy chodzi o swobodę własnych przekonań".

Ten aksjomat nie pozwalał mu ukrywać zachowań niepasujących do społecznych oczekiwań i krytykować „rozpowszechnionego w tradycji polskiej procederu oprawiania w gotowe ramy nie tylko obrazów przeszłości historycznej, ale i historii najnowszej, współczesnej, [co] stanowi chyba największy hamulec w rozwoju wolnej myśli narodowej". Przykład przeciwstawienia się zjawisku obiegowych ocen historycznych znajdziemy w artykule, w którym Mackiewicz opisał swoją wizytę sprzed blisko pół wieku w Landwarowie u Władysława Tyszkiewicza. Hrabia opowiedział mu wówczas, „w jak barbarzyński sposób został zdewastowany pałac", czego dokonali stacjonujący tam żołnierze, nie obcy, lecz polscy, którzy „rąbali parkiet i meble na opał, w pokojach rozkładali ogniska, palili bibliotekę etc., z sadyzmem, graniczącym z jakąś perwersją niszczyli każdą rzecz ładną".

Czy ta relacja obraża polskich żołnierzy? Nie – tak jak nie obraża ich wstrząsający obraz panicznego odwrotu latem 1920 r., odmalowany przez Stanisława Rembeka. Obaj pisarze nie uważali tych postaw za typowe, jednak w swojej uczciwości chcieli przedstawiać pełny obraz przeszłości, który – jak by tego nie chciano przyjmować do wiadomości – mieści w sobie także zjawiska nieprzynoszące chwały. „Osobiście jestem za ścisłością, gdyż wydaje mi się, że jedynie prawda jest ciekawa" – te może najbardziej znane słowa Mackiewicza, które wbrew jego intencji stały się dziś bezrefleksyjnie powtarzanym sloganem, nadal jednak najbardziej przenikliwie tłumaczą intencje pisarza.

Takie samo kryterium stosował w ocenie postaw społecznych w komunistycznej Polsce. W recenzji książki Leopolda Tyrmanda „Życie towarzyskie i uczuciowe" dostrzegł oryginalność ujęcia autora w przedstawieniu środowiska inteligenckiego PRL: „Oblicze, które oczywiście daleko odbiega od wzorów Grottgerowskich; ale też w niczym nie przypomina epoki pozytywizmu Bolesława Prusa i Orzeszkowej [...], bardziej natomiast – specyficzną kloakę [...]. Nie tyle kompleks załgania, co totalne załganie; nie deptanie, ile totalne deptanie, totalne pełzanie na czworakach".

W tym widział grozę komunizmu, który „straszny jest przede wszystkim dlatego, że człowieka doprowadza do moralnego rozkładu [...], wywołuje bezgraniczną, bezprzykładną, beznadziejną nudę przez przymusową katarynkę codziennego łgarstwa, co przekształca życie w wegetację" – pisał Mackiewicz, w innym artykule z przywoływanego tomu, dopowiadając: „Zadeptuje jego duszę".

Jeżeli pisarz był „głęboko przejęty sugestywnością tej książki", to właśnie dlatego, że przebieg procesu rozkładu, z cechującym go służalstwem, obłudą, zakłamaniem jako naturalnie przyjmowanymi normami postępowania, został w niej przedstawiony bez złudzeń, tłumaczeń o konieczności dziejowej czy innych podobnych usprawiedliwień, jak chociażby w takiej wypowiedzi, niebędącej najpewniej wyrazem stworzonej przez Tyrmanda literackiej fikcji: „Ma chody i ma wszystko. Więc dlaczego plwa i bluzga? Żeby inni się dowiedzieli, że on jest przeciw. Albowiem główną troską obsypywanych zaszczytami przez komunistów jest: jak powiadomić lud, że są oni przeciw komunistom".

Ale ta wyrazistość powieści Tyrmanda, w której dowodził powszechnej zgody na zakłamanie, była dla Mackiewicza równocześnie „ważną i niezmiernie pożyteczną odtrutką na totalny, kolektywny, jednostronnie fałszywy obraz przedstawienia kraju, przez duże »K«. Odtrutką przeciwko infantylizmowi emigracji, groźnemu swym moralnym przymusem". Obroną przed fałszem, która w swoim przesłaniu dawała pozytywne rozwiązanie. Warto je przywołać i dlatego, że mimowolnie oddaje postawę samego Mackiewicza: „Nie wolno apelować, nie wolno prosić o pomoc [...], nie wolno chronić się za nikogo, lecz trzeba stać z przodu, samotnie, i zbierać w siebie strzały: to tylko jest godnością. Nie wolno być Andrzejem Felakiem [główna postać »Życia towarzyskiego i uczuciowego«], który odnajdzie godność wszędzie, w każdorazowym zaparciu się tego, co najważniejsze, który z każdego kłamstwa wyprzędzie sprawnymi palcami dla siebie szacunek i uznanie". I może jeszcze, parafrazując słowa Mackiewicza ze wspomnienia o jednym ze zmarłych

eprasa.pl afa6e80cf2

przyjaciół, zawartego w zbiorze „Wielkie tabu i drobne fałszerstwa" – nie należeć nigdy do wyjącego tłumu.

Najskuteczniejsza manipulacja

W wyborze ostatnich artykułów Mackiewicza znajdziemy także obecne już we wcześniejszej publicystyce wypowiedzi dotyczące tej odmiany komunizmu, którą pisarz uznawał za najbardziej odpychającą – przybranej w sztandar nacjonalistyczny: „Połączenie nacjonalizmu z treści i komunizmu z formy napawa mnie dużym obrzydzeniem". Przyznawał równocześnie, że „stawka na »patriotyzm« i nacjonalizm okazała się najskuteczniejszą manipulacją w rękach partii komunistycznej". Ta konkluzja z 1978 r. potwierdzała wcześniejsze spostrzeżenie, że oba pojęcia stały się narzędziem komunistycznego planowania „dla jego udoskonalenia i tym łatwiejszego zapanowania nad światem". Jeszcze w jednej ze swoich ostatnich wypowiedzi Mackiewicz mówił, że „komunizm gra, gdzie mu potrzeba, ze względów taktycznych, na różnorakich nacjonalizmach i patriotyzmach".

Niezależnie od Mackiewicza do takich samych wniosków dotyczących wykorzystywania haseł nacjonalistycznych przez komunistów doszedł współczesny badacz Thierry Wolton: „Narodowy komunizm, który od samego początku cechuje ZSRS, stanie się zresztą typowy dla wszystkich partii komunistycznych, zarówno tych u władzy, jak i pozostałych". Wykorzystując zaś wiedzę o rozwoju nieludzkiej ideologii także w krajach pozaeuropejskich, zauważył, że „za fasadą proletariackiego internacjonalizmu ksenofobiczni i rasistowscy politycy mogli oddawać się praktykom, które w niczym nie ustępowały praktykom krajów otwarcie nacjonalistycznych […]. Komunizm u władzy nie łagodnieje – podsyca nienawiść, aby dzielić i rządzić, nie niweluje też różnic etnicznych, przeciwnie, wykorzystuje je jako substytut ponoszącej porażki ideologii". Jak pisał dalej ten autor, jest wręcz „jedyną możliwą drogą tej ideologii, jeśli chce ona zachować choćby minimalny związek z rzeczywistością".

„Wolność to nie jest polityka. To jest cel sam w sobie. To poezja życia" – pisał Mackiewicz w jednym z artykułów tomu „Wielkie tabu i drobne fałszerstwa"

Wnioski Woltona były inne niż Mackiewicza: „Relacje nacjonalizmu i komunizmu pokazują, że w wypadku konfliktu między tymi ideologiami pierwsza zawsze odnosi zwycięstwo nad drugą". Szczęśliwie nie przekonaliśmy się, który z nich miał rację, można jednak przypuszczać, że bliższy prawdy był Mackiewicz, gdyż Wolton przyznaje równocześnie, że od początku swoich rządów „bolszewicy pojmowali komunizm jako system globalny", a przewodzący im Lenin i Trocki hołdowali przekonaniu, iż „będzie globalny albo nie będzie go wcale".

*

„Wolność to nie jest polityka. To jest cel sam w sobie. To poezja życia" – pisał Mackiewicz w jednym z artykułów przywoływanego kilkakrotnie tomu „Wielkie tabu i drobne fałszerstwa". To pozwala zrozumieć jego bezkompromisowość wobec zła, o czym pisał także chociażby w liście do Jerzego Giedroycia: „Nienawidzę do dziś dnia jednej tylko rzeczy z całego serca. Mianowicie każdego totalizmu i skrępowania myśli". I dlatego, parafrazując słowa Kazimierza Wierzyńskiego z wiersza „Przerażony", Józef Mackiewicz, nazywający siebie najżarliwszym chyba rzecznikiem wolności słowa, trwał przy zaciętej niezgodzie na zło, którego częścią byli też współsprawcy – ci, którzy je usprawiedliwiali, sprowadzali krytykę komunizmu do skrajności poglądów czy wręcz obsesji. Jak gdyby światłocień był uczciwą miarą w ocenie każdego postępowania. Nie ustępując przed nimi, Mackiewicz dawał w ten sposób świadectwo postawie wynikającej z przekonania, które tak znakomicie wyraził Wasilij Grossman, że „wolność jest dobrem równie cennym jak życie i że ograniczenie wolności kaleczy ludzi tak samo jak ciosy topora odrąbującego palce […]. Żyć – to znaczy być wolnym. Nie wszystko, co jest rzeczywiste, jest rozumne. Wszystko, co jest nieludzkie, jest bezsensowne i nieużyteczne".



Jury nagrody londyńskich „Wiadomości". Józef Mackiewicz czwarty z lewej

FOT. UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA, ARCHIWUM EMIGRACJI

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

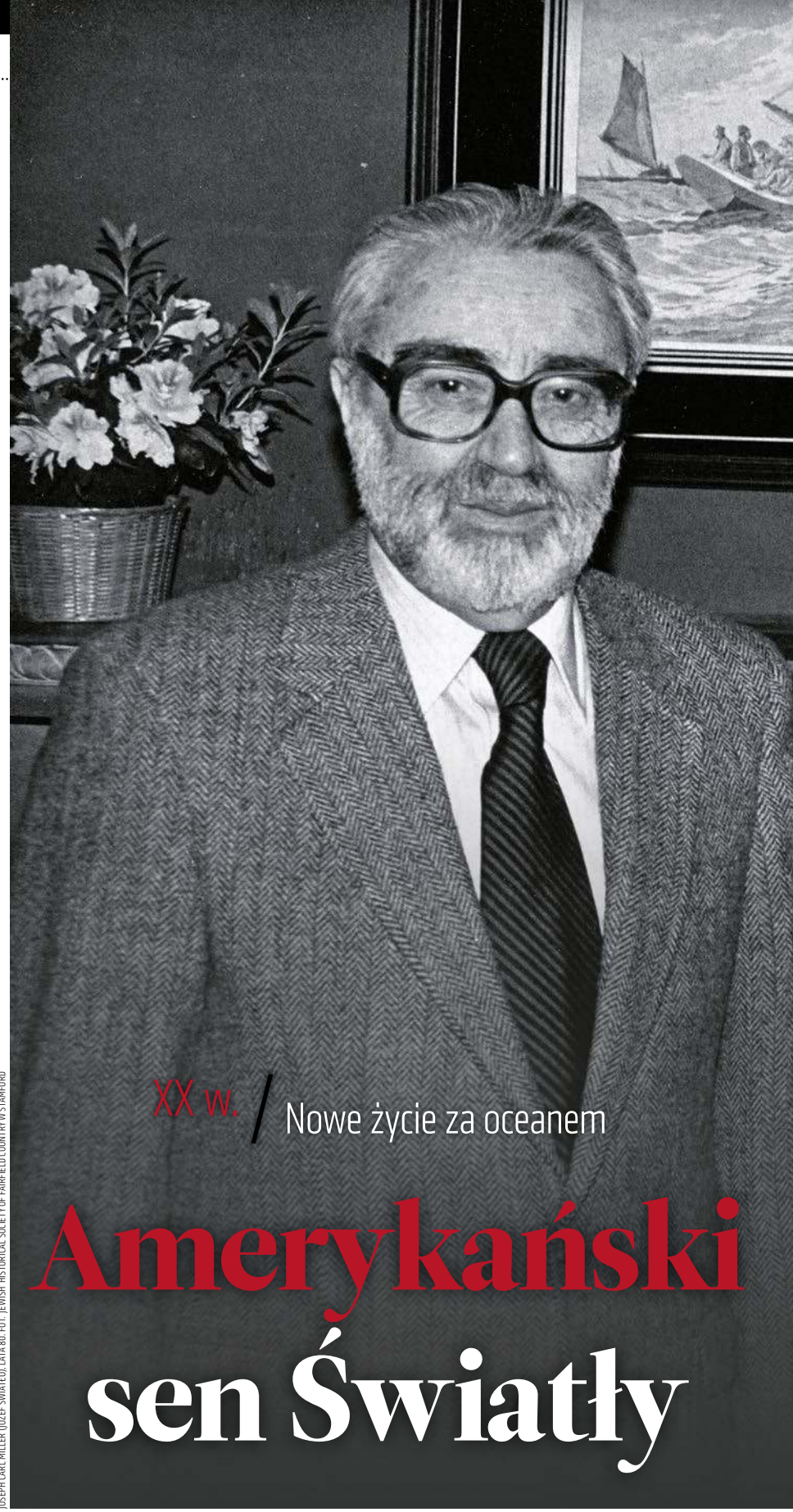
Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl afa6e80cf2


Marek Teler


Jarosław Stencel

Józef Światło znany jest przede wszystkim z cyklu audycji Radia Wolna Europa, w którym ujawnił kulisy funkcjonowania komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. Przez wiele lat jego losy po wyjeździe do USA pozostawały nieznane. Okazuje się, że zrobił tam nie lada karierę jako działacz społeczności żydowskiej



JOSEPH CARL MILLER (JÓZEF ŚWIATŁO), LATA 80. FOT. JEWISH HISTORICAL SOCIETY OF FAIRFIELD COUNTY W STAMFORD

XX w. / Nowe życie za oceanem

Amerykański sen Światły

Losy byłego wicedyrektora niesławnego Departamentu X po jego ucieczce z Polski bardzo długo były owiane tajemnicą i stały się przedmiotem licznych spekulacji. Jedni mówili, że zginął w wypadku samochodowym pod koniec lat 60., inni z kolei przesuwali jego śmierć na lata 1975 lub 1985, a jako przyczynę zgonu podawali atak serca. Tę ostatnią datę przyjął historyk prof. Andrzej Paczkowski w książce „Trzy twarze Józefa Światły", powołując się na informacje z trzech, jego zdaniem wiarygodnych, źródeł, m.in. dr. Włodzimierza Rozenbauma. Okazało się jednak, że wiadomość ta była błędna. Na początku 2010 r. prokurator Ewa Koj, naczelnik Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu z katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, otrzymała od amerykańskiego resortu sprawiedliwości lakoniczną informację, że Światło zmarł „na terenie Stanów Zjednoczonych 2 września 1994 r.".

eprasa.pl afa6e80cf2

Do tej pory nie zostało jednak ujawnione jego nowe nazwisko, nie mówiąc już o szczegółach jego życia w USA. Zdigitalizowane dokumenty z internetowych archiwów FamilySearch i Ancestry.com pozwalają w końcu uzupełnić tę lukę.



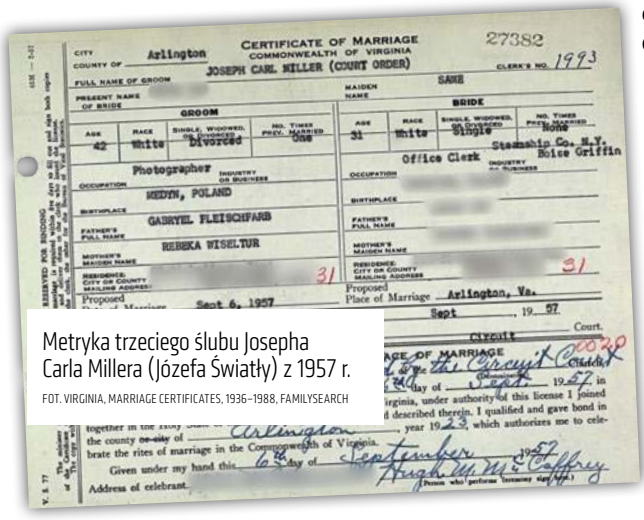
Józef Światło jako funkcjonariusz MBP FOT. IPN

Od Fleischfarba do Światły

Izaak Fleischfarb, bo tak brzmiało prawdziwe nazwisko Światły, przyszedł na świat 1 stycznia 1915 r. w Medyniu (ok. 50 km na wschód od Tarnopola) jako syn magazyniera Gabriela Fleischfarba (Flajszwarba) i Rebeki Racheli Wieseltur (Wiselthur, Wieselthier, Wiezelthür). Ojciec Światły pochodził ze Zbaraża, matka zaś urodziła się w Kozłowie koło Tarnopola. Obydwoje umarli w czasie drugiej wojny światowej – Gabriel Fleischfarb zmarł 6 marca 1940 r. w Prądniku Białym, a jego żona zginęła w obozie koncentracyjnym w Bełżcu w 1942 r. Z pięciorga rodzeństwa Józefa Światły dorosłości dożyły cztery siostry: Maria Memel, która została prokuratorem, Rachela Róża, żona Eugeniusza Dornfesta, Cyla, żona Jakuba Perlmana, oraz Sara Sarna (później Krystyna), redaktorka „Po Prostu", a następnie „Sztandaru Młodych".

Już jako kilkunastolatek Izaak Fleischfarb zaangażował się w działalność polityczną, najpierw jako członek organizacji syjonistycznej Gordonia, następnie udzielał się w Komunistycznym Związku Młodzieży Polski i związkach zawodowych. Brał udział w kampanii wrześniowej jako żołnierz 13. Kresowej Dywizji Piechoty, lecz po bitwie pod Cieszanowem 20 września 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej. Udało mu się jednak uciec i przedostać do Krakowa, gdzie przebywała jego żona Fryda Zollman, którą poślubił w 1936 r. Namawiał ją, aby wraz z nim wyjechała na tereny okupowane przez Sowietów, lecz ona wolała pozostać w Generalnym Gubernatorstwie. 10 września 1944 r. trafiła do obozu koncentracyjnego w Stutthofie, a stamtąd do Auschwitz, gdzie zapewne została zamordowana przez Niemców.

Widząc, jak pod okupacją sowiecką traktowani są polscy komuniści, Fleischfarb wolał nie przyznawać się do swojej komunistycznej przeszłości. Nie zdołał jednak uniknąć represji – został aresztowany i wywieziony w głąb Związku Sowieckiego. Na mocy układu Sikorski-Majski, jak wielu więzionych Polaków, odzyskał wolność i zamieszkał w Kazachstanie, gdzie zarabiał na życie jako szewc. 26 kwietnia 1943 r. w Dżambule (obecnie Taraz w Kazachstanie) ożenił się z Justyną Światło, córką Jakuba Jankiela Światły i Sary Sabiny z Radzyńskich. Zmienił wówczas imię z Izaak na Józef i przyjął nazwisko żony – tak narodził się Józef Światło. Wkrótce znów zaczął z dumą przyznawać się do swoich inklinacji politycznych. Już pod koniec 1944 r. nawiązał współpracę z grupami operacyjnymi NKWD i Smierszu (sowieckiego kontrwywiadu wojskowego) oraz tropił dla nich żołnierzy Armii Krajowej, a następnie uczestniczył w ich aresztowaniach.



CERTIFICATE OF MARRIAGE
COMMONWEALTH OF VIRGINIA
27382
CITY / COUNTY OF Arlington
JOSEPH CARL MILLER (COURT ORDER)
CLERK'S NO. 1993
FULL NAME OF GROOM
PRESENT NAME OF BRIDE
SAME
MAIDEN NAME
GROOM
BRIDE
AGE 42 | RACE White | SINGLE, WIDOWED, OR DIVORCED divorced | NO. TIMES PREV. MARRIED One
AGE 31 | RACE White | SINGLE, WIDOWED, OR DIVORCED Single | NO. TIMES PREV. MARRIED None
OCCUPATION Photographer | INDUSTRY OR BUSINESS
OCCUPATION Office Clerk | INDUSTRY OR BUSINESS Steamship Co. N.Y. Boise Griffin
BIRTHPLACE MEDYN, POLAND
BIRTHPLACE
FATHER'S FULL NAME GABRYEL FLEISCHFARB
FATHER'S FULL NAME
MOTHER'S MAIDEN NAME REBEKA WISELTUR
MOTHER'S MAIDEN NAME
RESIDENCE, CITY OR COUNTY, MAILING ADDRESS 31
RESIDENCE, CITY OR COUNTY, MAILING ADDRESS 31
Proposed Sept 6, 1957
Proposed Place of Marriage Arlington, Va.
Sept, 19 57
Circuit Court.
Given under my hand this 6th day of September 1957
Address of celebrant
Person who performs ceremony

Metryka trzeciego ślubu Josepha Carla Millera (Józefa Światły) z 1957 r.
FOT. VIRGINIA, MARRIAGE CERTIFICATES, 1936–1988, FAMILYSEARCH

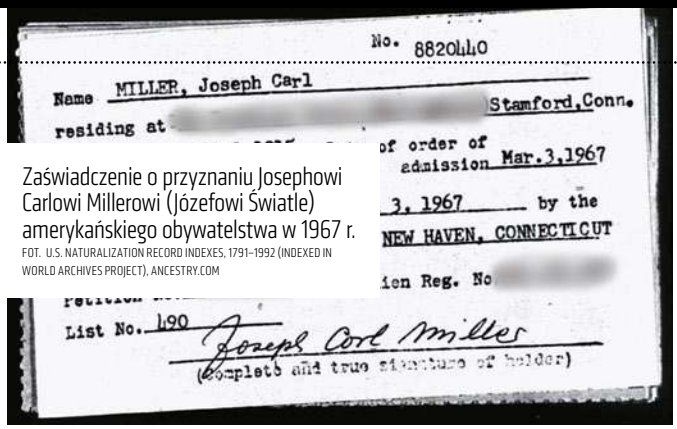
W kolejnych latach wspinał się po szczeblach kariery w zbrodniczym systemie, aż w końcu w grudniu 1951 r. został zastępcą dyrektora w Departamencie X w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Jednostka ta inwigilowała szeregi partyjne, dbając o ich wierność centrali.

W listopadzie 1953 r. Światło został wysłany wraz z dyrektorem Departamentu X Anatolem Fejginem przez premiera Bolesława Bieruta do Berlina z misją uciszenia Wandy Brońskiej, która na falach Radia Wolna Europa opowiadała o tym, jak funkcjonują sowieckie łagry. Wykorzystując przypadkową wizytę w zachodniej, demokratycznej części Berlina, 5 grudnia 1953 r. Światło opuścił swojego towarzysza i udał się do władz amerykańskich, wyrażając wolę opowiedzenia im o działalności systemu komunistycznego w Polsce. Zaskoczeni Amerykanie przyjęli ofertę tajemniczego zbiega. Najprawdopodobniej rosnący antysemityzm w strukturach partii, a także weryfikacja działań bezpieki po śmierci Józefa Stalina sprawiły, że przestał on czuć się pewnie w Polsce i miał świadomość, że jego dni w szeregach Departamentu X są policzone. Postanowił więc zbiec na Zachód i zacząć nowe życie z dala od komunistycznego systemu.

Przesiedlenia

Już 6 grudnia 1953 r. Józef Światło został przewieziony z Berlina do Frankfurtu nad Menem, a 23 grudnia odleciał specjalnym samolotem do Waszyngtonu, gdzie wywiad amerykański poddał go długim przesłuchaniom. Kiedy 17 września 1954 r. na biurko Jana Nowaka-Jeziorańskiego omyłkowo trafiła taśma z relacją komunistycznego zbiega o działalności PRL-owskiego urzędu bezpieczeństwa, jego historią zainteresowało się Radio Wolna Europa. Tak powstał cykl „Za kulisami partii i bezpieki", w ramach którego Światło ujawnił wiele cennych informacji dotyczących funkcjonowania komunistycznego reżimu. Obok historii o mechanizmach aparatu

eprasa.pl afa6e80cf2



No. 8820440

Name MILLER, Joseph Carl

residing at [redacted] Stamford, Conn.

of order of admission Mar. 3, 1967

3, 1967 by the NEW HAVEN, CONNECTICUT

ien Reg. No [redacted]

List No. 190

Joseph Carl Miller

(Complete and true signature of holder)

Zaświadczenie o przyznaniu Josephowi Carlowi Millerowi (Józefowi Światle) amerykańskiego obywatelstwa w 1967 r.
FOT. U.S. NATURALIZATION RECORD INDEXES, 1791–1992 (INDEXED IN WORLD ARCHIVES PROJECT), ANCESTRY.COM

terroru czy wewnętrznych konfliktach w strukturach PZPR Światło opowiadał m.in. o kulisach nacjonalizacji Hotelu Francuskiego i niezwykłych losach jego ówczesnych właścicieli – Janiny Ritterman (córki lidera przedwojennego hotelarstwa polskiego Aleksandra Rittermana) oraz jej drugiego męża Witolda Nadolskiego (byłego księdza).

Józef Światło pozostawił w kraju swoją drugą żonę, Justynę, oraz dwoje dzieci – córkę Krystynę Ryszardę i syna Jerzego. Po wyjeździe wpływowego komunistycznego urzędnika z Polski jego bliscy zostali wywiezieni poza Warszawę i poddani ścisłej kontroli ze strony organów bezpieczeństwa. W latach 1954–1957 Justyna Światło wraz z dziećmi mieszkała kolejno w leśniczówce koło Olecka (województwo białostockie), Sokółce, Kościanie (województwo poznańskie), Łodzi i Toruniu. Żonie zbiega, jego dzieciom i szwagierce Leokadii zmieniono nazwisko na Stankiewicz. Według nowych dokumentów Justyna Stankiewicz była rozwódką, a jej były mąż nazywał się Jan Wiśniewski. Została ona również pozbawiona legitymacji partyjnej i otrzymała zakaz prowadzenia bezpośredniej korespondencji z krewnymi i znajomymi. Dopiero po trzech latach inwigilacji komunistyczne władze doszły do wniosku, że nie ma podstaw do podejrzeń, by ktokolwiek z rodziny byłego komunistycznego dygnitarza „okazał Światle pomoc w ucieczce bądź też choćby wiedział o tym jego zamiarze" lub „znajdował się w kręgu zainteresowań wywiadów obcych lub usiłował nawiązać z nim kontakty".

Jesienią 1956 r. zniesiono więc nałożone na krewnych uciekiniera restrykcje, a w marcu 1957 r. zezwolono im na powrót do Warszawy i odzyskanie dawnego nazwiska. Ostatecznie Justyna Światło postanowiła pozostać przy nazwisku Stankiewicz, obawiając się, że powiązania rodzinne z Józefem Światłą będą dla niej i jej dzieci źródłem dalszych kłopotów. Bezpieka cały czas interesowała się zresztą jej losem, m.in. kontrolowała przychodzącą do niej korespondencję z nadzieją, że być może były mąż będzie poszukiwał z nią kontaktu i ujawni swój nowy adres zamieszkania. W końcu 19 grudnia 1968 r., na fali panującej w PRL antysemickiej nagonki, Justyna Stankiewicz wyemigrowała do Izraela, gdzie po wojnie zamieszkała znaczna część jej krewnych. W marcu 1973 r. została wpisana do rejestru osób niepożądanych w PRL, z którego wykreślono ją dopiero 10 czerwca 1988 r. z uwagi na „podeszły wiek". Decyzja ta mogła mieć jedynie symboliczny charakter, ponieważ była żona Światły już od ponad roku nie żyła – zmarła w Izraelu 17 stycznia 1987 r. w wieku 68 lat.

Represje dotknęły także sióstr Józefa Światły. Maria Maksymkin została wraz z mężem wysiedlona do Pińczowa, Róża Dornfest do Biłgoraja, a Krystyna Sztatler do Iwonicza-Zdroju. Natomiast Cyla Perlman już w 1947 r. wyemigrowała do Palestyny i była poza zasięgiem władz PRL. Warto przy okazji nadmienić, że wszystkie siostry komunistycznego dygnitarza były w czasie wojny w obozie koncentracyjnym w Auschwitz i jego podobozie Lichtewerden w Czechach, a po jej zakończeniu podawały jako swoje nazwisko panieńskie... Obozowicz. Brat Justyny Włodzimierz Światło został z kolei wywieziony z żoną i dwojgiem dzieci do Sępólna, gdzie nadano mu panieńskie nazwisko jego matki – Radzyński. Po skargach ze strony Maksymkinów, Sztatlerów i Radzyńskich (dawniej Światłów) na to, jak potraktowała ich komunistyczna władza, Bolesław Bierut wyraził w końcu zgodę, aby sami wybrali sobie nowe miejsca zamieszkania, byleby tylko nie była to Warszawa.

Nowa tożsamość

Choć małżeństwo Józefa Światły już przed jego ucieczką z Polski istniało właściwie tylko na papierze, to para nie zdążyła się rozwieść. W Stanach Zjednoczonych były wicedyrektor Departamentu X musiał zatem dopełnić niezbędnych formalności prawnych, oczywiście bez wiedzy pozostałej w Polsce żony. 26 czerwca 1957 r. Światło wniósł pozew o rozwód w sądzie kanclerskim hrabstwa Pulaski w stanie Arkansas, podając jako powód trzyletnią separację małżonków. 2 sierpnia 1957 r. sąd orzekł rozwód pary, nie przyznając Justynie ani dzieciom żadnych alimentów. Był to ostatni dokument, w którym jeden z najsłynniejszych PRL-owskich zbiegów posługiwał się swoim prawdziwym nazwiskiem. Już w listopadzie 1956 r. zmienił bowiem sądownie nazwisko na Joseph Carl Miller, aby raz na zawsze zatrzeć ślad za swoją komunistyczną przeszłością.

6 września 1957 r. w Arlington w stanie Wirginia Joseph Carl Miller alias Józef Światło ożenił się po raz trzeci – jego wybranką została młodsza od niego o 11 lat Żydówka, która po wojnie znalazła się w Izraelu, a następnie trafiła do Stanów Zjednoczonych. Ze spisanych przez nią wspomnień wynika, że wyszła za Światłę z miłości i był to „mężczyzna z jej marzeń". Spędzili razem niemal 40 lat i doczekali się dwojga dzieci. Świadomie nie ujawniamy ich danych osobowych, ponieważ zarówno wdowa po komunistycznym dygnitarzu, jak i jego potomkowie cały czas żyją, nie mając być może świadomości, kim był w przeszłości Joseph Carl Miller.

Trzeba jednak przyznać, że amerykańskie władze nie zadbały o to, aby w pełni ukryć prawdziwą tożsamość Światły. W akcie ślubu występuje on bowiem jako 42-latek urodzony w Medyniu, syn Gabriela Fleischfarba i Rebeki Wiseltur [sic!], czyli pozostawiono bez zmian jego podstawowe dane biograficzne. Przy nazwisku Joseph Carl Miller dopisano zaś w nawiasie „court order" (pol. „postanowienie sądowe"), jednoznacznie wskazując na to, że nie jest to jego prawdziwe nazwisko.

W akcie ślubu Joseph Carl Miller występował jako fotograf, choć nie sposób rozstrzygnąć, czy było to jego prawdziwe zatrudnienie w tym okresie czy też po prostu rodzaj kamuflażu. Nie podano bowiem żadnej konkretnej instytucji, w której miał wykonywać ten zawód. Jego

eprasa.pl afa6e80cf2



Grób Josepha Carla Millera (Józefa Światły) na cmentarzu Agudath Sholom New Cemetery w Stamford FOT. BRUCE NEWMAN

ówczesnym miejscem zamieszkania była nowojorska dzielnica Queens. Były wicedyrektor Departamentu X nie przebywał zatem na odludziu, lecz w największym amerykańskim mieście, gdzie – mimo nowego wizerunku i przebytej podobno operacji plastycznej – mógł zostać w każdej chwili rozpoznany. Ameryka nie była zresztą dla Fleischfarbów obcym kontynentem. 11 lipca 1904 r. ojciec zbiega Gabriel Fleischfarb wyjechał do USA ze swoim bratem Samuelem Zeinwelem Fleischfarbem, który zdecydował się osiedlić tam na stałe. Kiedy Światło przybył do USA, jego stryj cały czas mieszkał w Nowym Jorku ze swoją żoną oraz trojgiem dzieci. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że pozbawiony kontaktu z żoną i dziećmi Miller alias Światło utrzymywał relacje z dalszą rodziną, która pomogła mu zaaklimatyzować się w mieście.

Prominentny działacz

Najpóźniej w połowie lat 60. Joseph Carl Miller przeniósł się z rodziną do Stamford w stanie Connecticut. 3 marca 1967 r. decyzją sądu rejonowego w New Haven otrzymał amerykańskie obywatelstwo. Na emigracji włączył się w działalność na rzecz społeczności żydowskiej. W 1968 r. dołączył do B'nai B'rith, czyli najstarszej nieprzerwanie działającej organizacji żydowskiej, zajmującej się m.in. wspieraniem wyznawców judaizmu w Izraelu i na świecie oraz walką z antysemityzmem.

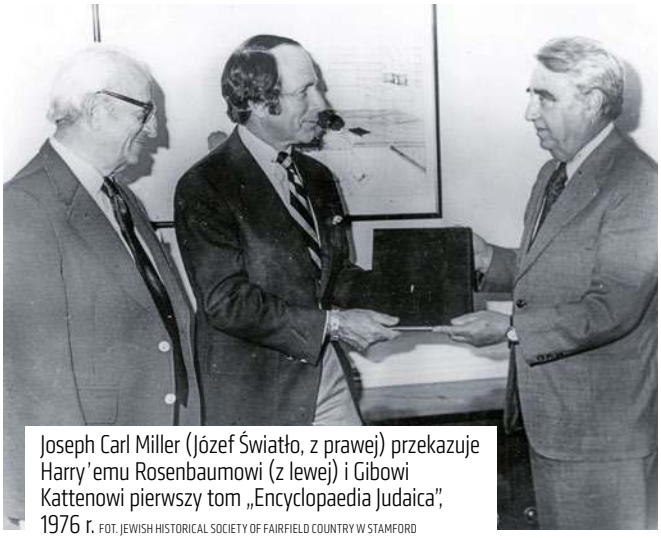
Początkowo sprawował urząd wiceprezesa i sekretarza finansowego oddziału organizacji w Stamford, a następnie w 1976 r. został mianowany jego prezesem. Jako członek Congregation Agudath Sholom w Stamford sprawował z kolei w latach 1976–1978 kierownictwo nad działem edukacji. Odegrał też kluczową rolę w tworzeniu instytutu studiów żydowskich Merkaz Torah, w którym w latach 1973–1976 był członkiem rady.

Jak wynika z jego biogramu znajdującego się w zbiorach Jewish Historical Society of Fairfield County, w latach 70. należał również do takich organizacji jak: United Jewish Federation, Synagogue Council Jewish Institute i Soviet Jewry Committee. Pod koniec lat 70. został zaś członkiem zarządu The Center of the Jewish Community jako przewodniczący działu edukacji, a także był członkiem zarządu młodzieżowej organizacji żydowskiej BBYO Connecticut Valley Region.

W maju 1978 r. Joseph Carl Miller utworzył Holocaust Memorial Committee, którego został wiceprzewodniczącym. Komitet, sponsorowany przez B'nai B'rith i najważniejsze organizacje żydowskie w Stamford, zajął się pracami nad otwarciem The Harry Rosenbaum JHSFC Judaica Library, czyli biblioteki żydowskiej dla społeczności hrabstwa Fairfield. Kiedy 9 listopada 1983 r. odbyło się jej uroczyste otwarcie, Joseph Miller wygłosił wzruszające przemówienie, w którym chwalił przyjaciół z Holocaust Memorial Committee za ich zaangażowanie w pracę nad zorganizowaniem biblioteki. Sam przekazał jej zresztą 40 ksiąg yizkor upamiętniających ofiary Holokaustu. „Joe był duchem przewodnim całej biblioteki. Nie było dnia, żeby nie pojawił się, aby sprawdzić, czy zajmujemy się wszystkim właściwie, i nie przyniósł nam kolejnej książki o Holokauście" – wspominała go w czerwcu 2016 r. Barbara Rosett z Jewish Historical Society na łamach pisma „The Jewish Voice".

Przez lata kolekcja The Harry Rosenbaum JHSFC Judaica Library powiększyła się do 3 tys. woluminów. W instytucji tej odbywały się również liczne spotkania dyskusyjne, w które żywo angażował się także Miller alias Światło. Na zachowanych fotografiach trudno rozpoznać dawnego wicedyrektora Departamentu X. Profesor Andrzej Paczkowski otrzymał w grudniu 2009 r. od jego syna z drugiego małżeństwa fotografię Światły z 6 stycznia 1990 r. „Fotografia przedstawia Światłę całkowicie odmienionego. Czapka bejsbolowa, szpakowata broda i okulary" – opisał zdjęcie, choć nigdy nie zdecydował się na jego publikację. Opis ten zgadza się z pochodzącą z lat 80. fotografią Josepha Millera i Harry'ego Rosenbauma, którą zamieszczono na stronie Jewish Historical Society of Fairfield County.

Joseph Carl Miller, czyli dawny Józef Światło, zmarł 2 września 1994 r. w Stamford w stanie Connecticut w wieku 79 lat. Został pochowany na cmentarzu Agudath Sholom New Cemetery przy Westhill Road pod swoim amerykańskim nazwiskiem.



Joseph Carl Miller (Józef Światło, z prawej) przekazuje Harry'emu Rosenbaumowi (z lewej) i Gibowi Kattenowi pierwszy tom „Encyclopaedia Judaica", 1976 r. FOT. JEWISH HISTORICAL SOCIETY OF FAIRFIELD COUNTRY W STAMFORD

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

W artykule wykorzystaliśmy dokumenty zamieszczone na portalach genealogicznych FamilySearch i Ancestry.com, jak również materiały z Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (IPN BU 0192/729, t. 7; IPN BU 1368/806; IPN BU 1368/834) oraz zbiory Jewish Historical Society of Fairfield County w Stamford. Za cenne informacje i materiały dotyczące losów Józefa Światły w Stanach Zjednoczonych dziękujemy Debrze Emery i dr Leah Tillman z Jewish Historical Society of Fairfield County, a za fotografie grobu Josepha Carla Millera (Józefa Światły) – Bruce'owi Newmanowi.

eprasa.pl afa6e80cf2



WEJŚCIE DO DAWNEJ FABRYKI BACZEWSKICH. FOT. COMMONS.WIKIMEDIA.ORG/FFINDOR

Wieki XIX–XX / Dzieje słynnej lwowskiej firmy

Saga rodu Baczewskich



Sławomir Koper

Przed drugą wojną światową właściwie każdy Polak pił mocne trunki Baczewskiego, gdyż produkowane we Lwowie wódki należały do europejskiej ekstraklasy

Ekspansję i sukcesy firmy Baczewskich można było porównywać wyłącznie do warszawskiej fabryki Wedla, gdyż tak jak ona była rozpoznawana poza granicami Polski i zbierała wszelkie możliwe nagrody i wyróżnienia. Stała się też symbolem polskiego Lwowa, w zgrzebnych czasach PRL dawni smakosze z nostalgią wspominali smak trunków produkowanych nad Pełtwią, a przywożone z Zachodu wyroby firmy stawały się natychmiast główną atrakcją spotkań towarzyskich. I okazją do chwili zadumy nad utratą najpiękniejszego z polskich miast…

Historia firmy zaczęła się we wsi Wybranówka, niecałe 50 km od Lwowa, w której w 1782 r. Lejb Baczeles założył wytwórnię wódki. Nic więcej właściwie o nim nie wiadomo poza tym, że twórca słynnej marki zmarł w 1811 r. Dwadzieścia lat później we Lwowie istniała już firma Chana Baczeles und Sohn, którą z czasem przejął Mayer Baczeles. Prawdopodobnie był wnukiem Lejba, po latach jednak jest to niemożliwe do ustalenia.

Mayer Baczeles uległ polonizacji i już niebawem został Leopoldem Maksymilianem Baczewskim. Firma prosperowała coraz lepiej dzięki udanym inwestycjom. Już w latach 30. XIX stulecia wykorzystywano nowatorskie metody rektyfikacji spirytusu znacznie poprawiające jakość produktów. Były one znacznie bardziej czyste i łagodniejsze w smaku od konkurencyjnych wyrobów, dzięki czemu bez problemów znajdowano nowych nabywców. Sława wódek od Baczewskich przekroczyła niebawem granice Galicji, już w połowie stulecia firma miała swoją filię w cesarskim Wiedniu.

Po śmierci Leopolda Baczewskiego rodzinna firma dalej prężnie się rozwi-

eprasa.pl afa6e80cf2

jała i już wówczas Baczewscy zwracali szczególną uwagę na to, że poza smakiem ważny jest także atrakcyjny wygląd produktu.

„Flaszki, flakony i różnego rodzaju butle ze szkła, porcelany – zachwycał się dziennikarz »Gazety Lwowskiej« – ozdobione pięknymi etykietami […] i eleganckimi korkami, przedstawiają się z dala jakby wystawa wspaniałych wyrobów galanteryjnych. Staranność o ozdobną powierzchowność, w której pp. Baczewskich nikt nie przewyższa, łączy się z wielką starannością o dobroć spirytualii w tych flakonach zawartych".

Mistrz reklamy

Zapewne firma nigdy nie zdobyłaby takiej pozycji wśród europejskich wytwórców alkoholu, gdyby nie prawnuk założyciela, Józef Adam Baczewski. Był on bez wątpienia najwybitniejszym przedstawicielem rodu, wizjonerem i biznesmenem, a przede wszystkim mistrzem reklamy i marketingu.

Józef Adam przejął kontrolę nad interesami Baczewskich w stulecie istnienia firmy. Niebawem też zdecydował się na przeniesienie jej siedziby do dawnego pałacu Cieleckich zlokalizowanego poza ówczesnymi granicami Lwowa, przy rogatce Żółkiewskiej. Budynek ten został gruntownie przebudowany w 1908 r. i w niezmienionym stanie przetrwał do drugiej wojny światowej.

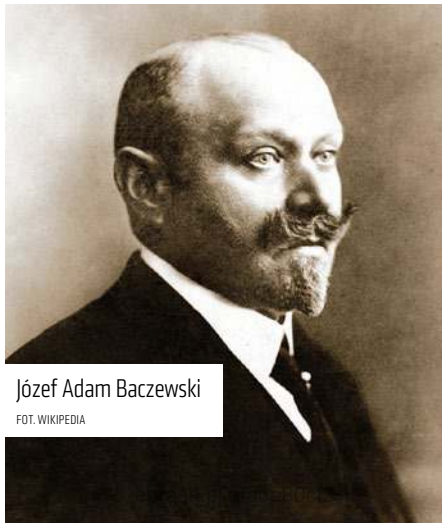
Wprawdzie Baczewscy już wcześniej proponowali znaczne zróżnicowanie opakowań swoich wyrobów, jednak dopiero od czasów Józefa Adama można mówić o prawdziwym wybuchu inwencji projektantów. Do najważniejszych należała sprzedaż mocnych trunków w przejrzystych, kryształowych butelkach i karafkach o futurystycznych kształtach, czego dotychczas w ogóle nie stosowano. Chociaż opakowania miały czasem dość wymyślne kształty, to jednak wytwarzano je z porcelany lub ciemnego szkła. Natomiast Baczewski uznał, że jego wyroby są tak klarowne i czyste, że nie ma powodów, by ukrywać to przed wzrokiem nabywców. W efekcie osiągnięto znakomite efekty wizualne, którego dopełniały atrakcyjne etykiety ze słynnym logo firmy (inicjały J.A.). Do tego dochodził jeszcze wysoko ceniony na obszarze monarchii Habsburgów wizerunek cesarskiego orła używany przez firmę już od lat 80. XIX stulecia.

Józef Adam nie ograniczał się jednak tylko do marketingu i reklamy, gdyż cały czas dbał o podnoszenie jakości produkowanych trunków. Doskonale wiedział, że walka konkurencyjna nie ogranicza się wyłącznie do oprawy wyrobów, dlatego w jego fabryce montowano najnowsze urządzenia sprowadzane z Zachodu. Właściciel poddał też modernizacji rafinerię spirytusu, dzięki czemu zbierał nagrody na wystawach od Barcelony do Melbourne. W efekcie nazwa „Baczewski" zaczęła być używana jako synonim słowa „wódka".

„Pamiętam […] doskonale – wspominał Jerzy Zaruba – jak kiedyś Benedykt Hertz, ubrany w przedpotopowy smoking i aksamitną kamizelkę koloru wina, odtańczył solo dookoła sali walca wiedeńskiego z przytupywaniem, a kiedy zwróciłem mu uwagę, że solo się nie tańczy, oświadczył, że wszystkie damy mu odmówiły. »Zresztą – dodał – czy to ja tańczę? To Baczewski tańczy«. Rzeczywiście zalatywało od niego pomarańczówką.

Lu, pod tego Składkowskiego

Wyroby Baczewskiego były wysoko cenione, a zajadłym ich wielbicielem był poeta Henryk Zbierzchowski. Firma rewanżowała się, przysyłając mu „próbki" swoich wyrobów (właściwe skrzynkę wódek) przed świętami, uważając to za rodzaj podziękowania za reklamę marki. Zbierzchowski bowiem nie uznawał innych trunków, a spożywanie wódek Baczewskiego traktował jak metafizyczne doznanie.



Józef Adam Baczewski

FOT. WIKIPEDIA

Jeden oktawy wielbi Słowackiego,
Drugi znajduje cały smak w sonecie,
Dla mnie zaś cztery wódki Baczewskiego
Tworzą najlepszy czterowiersz na świecie…

Do stałego rytuału firmy należało także wysyłanie przed świętami skrzynek produktów do lwowskich komisariatów. Tradycja sięgała czasów austriackich i była kontynuowana w II RP. Skrzynki były opisane jako „próbki bez wartości", a stróże prawa bardzo sobie chwalili ich zawartość. Niestety, pod koniec lat 30. na jednej z placówek pojawił się nowy komisarz, który prezent od Baczewskiego uznał za łapówkę.

Podwładni wyjaśniali, że to stary obyczaj, a jeżeli prezent odeślą do fabryki, to jej właściciele się obrażą. W tej sytuacji komisarz polecił zarekwirować skrzynię i napisał do ministra spraw wewnętrznych (i premiera jednocześnie), gen. Felicjana Sławoja Składkowskiego, z prośbą o wytyczne.

„Odtąd codziennie przy zmianie służby – wspominał przodownik Paska – cholera nas brała, jak meldowaliśmy przy spisie inwentarza: »… oraz jedna nieruszona skrzynka próbek Baczewskiego«. Przyszła Wigilia, od dalekich wyższych władz nie ma rozstrzygnięcia, a co gorsza, skrzynia wciąż »nienaruszona«".

W Wigilię w południe przyszedł wreszcie oczekiwany telefonogram z Warszawy. Felicjan Sławoj Składkowski nie zawiódł oczekiwań podwładnych i polecił „natychmiast doręczyć adresatom próbki wódek Baczewskiego.

Nowy komisarz zadzwonił do biura Baczewskich i podziękował za prezent, po czym odbyło się tradycyjne dzielenie zawartości skrzyni połączone z konsumpcją „próbek".

„Tak jurny lwowiak, podkomisarz – kontynuował policjant – woła: »Dawać mi tę sakramencką skrzynię i migiem mi ją otworzyć«.

To skrzynia chyba sama na stół wyfrunęła, a otworzyła się migiem, jak kochająca kobieta. Starszy przodownik, jak należało według zwyczaju, wszystko równo bez krzywdy podzielił. Gdy już każdy miał swoje butelki, to podkomisarz krzyczy:



Fabryka Baczewskich na początku XX w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LWOW.COM.PL

»Chłopcy, wypijemy zdrowie Składkowskiego«, a ostrożny komisarz dodaje: »Pana premiera« […]. Zaczęliśmy po trochu próbować tych wódek, żeby były »próbki« naprawdę! Przy trzeciej kolejce komuś wyrwało się: »No to lu, jeszcze pod tego Składkowskiego«".

Od tej chwili, gdy lwowscy policjanci z tego komisariatu szli do szynku, mówiono, że idą na „lu, pod tego Składkowskiego"…

Rymowany alfabet

Józef Adam Baczewski zmarł w 1911 r., a firmę przejęli jego synowie: Leopold i Henryk. Pierwszy poza prowadzeniem rodzinnego biznesu zapisał się w historii Lwowa jako działacz gospodarczy i filantrop, natomiast jego brat był przez wiele lat członkiem Rady Miejskiej Lwowa. Przebudowano należącą do rodziny kamienicę pod nr. 31 na lwowskim Rynku, a na jej parterze zlokalizowano elegancki sklep firmowy. Gdy biznes przejęli synowie poprzedników – Stefan i Adam – wciąż stawiano na nowe technologie, starając się być zawsze krok przed konkurencją.

„Fabryka posiada 2 maszyny parowe o sile 125 kilowatów – informowano w ulotce reklamowej – 14 motorów o łącznej sile 70 kilowatów, 3 dynama o łącznej sile 500 amperów; 1 turbo-dynamo o sile 200 amperów i cały szereg pomp parowych. Rafineria posiada 3 aparaty rektyfikacyjne systemu Barbeta – Pompego i Savala o sprawności 336 hektolitrów dziennie, 5 aparatów do destylacji ziół i innych surowców oraz prasy hydrauliczne; personel techniczny liczy 20, administracyjny – 30 osób oraz 300 robotników. Zdolność wytwórcza fabryki wynosi dziennie 4, 5 wagonów".

Firma prowadziła bardzo skuteczną akcję reklamową, w wielu czasopismach pojawiły się humorystyczne rysunki reklamujące wyroby Baczewskich. Wydano je w osobnej książeczce uzupełnionej podstawowymi informacjami o przedsiębiorstwie, żartobliwymi wierszami oraz tzw. alfabetem Baczewskiego. To bardzo interesująca lektura, a przy okazji przegląd produktów firmy:

Babula by już dawno wyciągnęła nóżki, ale kieliszek Johna Bulla bierze do poduszki.



Reklama alkoholi firmy Baczewskich

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Produkty firmy miały być dobre na wszystko, nawet na problemy męsko-damskie w małżeństwie:

Ewa skarży się wszędzie, że mąż niedołęga, esencja Baczewskiego wiele stadeł sprzęga.

Trunki ze Lwowa miały być także bardzo skuteczne w leczeniu bezpłodności:

Hela co rok w Krynicy z kuracją się pęta, hetmanównę niech pije, a będą bliźnięta.

Podobno „likiery Baczewskiego nawet Murzyn pijał", a wielbicielom Orange „miały się przyśnić Włochy", natomiast smakoszom Pepermintu słynne jezioro Garda. Ale i tak najwięcej powabów miała mieć czysta wódka:

Całus lubią mężczyźni, ale najczęściej baby, czysta wódka polska większe ma powaby.

I ponownie słowa „wódka" i „Baczewski" były synonimami…

Monopol spirytusowy

Odradzające się państwo polskie poszukiwało dochodów, a duże i regularne wpływy miały załatać dziury budżetowe. Rozwiązaniem problemu miało być utworzenie państwowych monopoli. Jako jeden z pierwszych powstał monopol loteryjny, a następnie powołano tytoniowy. W lipcu 1924 r. przyszedł czas na Państwowy Monopol Spirytusowy. Zgodnie z prawem produkcja alkoholu pozostała w rękach prywatnych, jednak całość powstałej wódki czystej miała być odsprzedawana państwu. W efekcie produkcja musiała odbywać się pod egidą PMS, natomiast przedsiębiorcy mogli swobodnie wytwarzać wyłącznie wódki gatunkowe, rum, destylaty, koniaki i likiery.

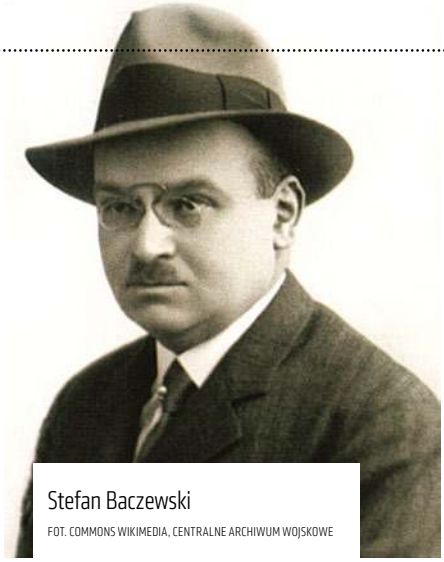
Powstanie monopolu spirytusowego było też elementem walki z alkoholizmem w kraju. Już w kwietniu 1920 r. Sejm Ustawodawczy przyjął tzw. lex Moczydłowska, ustawę drastycznie ograniczającą sprzedaż alkoholu. Zakazano handlu trunkami w soboty i niedziele, w dni targowe oraz dzień poboru wojskowego. Dopuszczano istnienie tylko jednego sklepu sprzedającego alkohol na 2,5 tys. mieszkańców, co oznaczało, że na Kresach przez wiele kilometrów nie można było legalnie nabyć żadnych trunków. Do tego punkty dystrybucji alkoholu (czyli także lokale z wyszynkiem) musiały być oddalone minimum 300 metrów od: budowli sakralnych, więzień, sądów, stacji kolejowych, szkół, przedszkoli, przystani wodnych i zakładów pracy zatrudniających ponad 100 pracowników. W praktyce w wielu miejscowościach właściwie nie było miejsca, gdzie można było zakupić czy spożyć alkohol. Tym bardziej że ustawą objęto wszelkie trunki o zawartości alkoholu od 2,5 do 45 proc., a mocniejsze wyroby nie były dopuszczane do sprzedaży. Nic zatem dziwnego, że prężnie rozwijało się bimbrownictwo, nadmiernego spożycia alkoholu raczej nigdy i nigdzie nie udało się opanować za pomocą ograniczenia sprzedaży czy wyszynku.



Wyroby firmy Baczewskich

FOT. NAC

eprasa.pl afa6e80cf2



Stefan Baczewski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

Powstanie monopolu spirytusowego miało jednak także pewne pozytywne efekty. Ceny wódek ustabilizowano na względnie rozsądnym poziomie, a część pozyskanych środków przeznaczono na przeciwdziałanie alkoholizmowi i leczenie uzależnionych. Nie zmienia to jednak tego, że był to poważny cios dla Baczewskich, gdyż ok. 80 proc. asortymentu firmy stanowiły wódki czyste.

Jednak właściciele zakładów potrafili sprostać nowej sytuacji. Już wcześniej część wyrobów wysyłano na eksport, teraz jeszcze bardziej zwiększono ekspansję za granicą. Sukcesy na Londyńskiej Wystawie Spirytusowej w 1925 r. umożliwiły nawiązanie kontaktów z dystrybutorami nie tylko z niemal całej Europy, lecz także z obu Ameryk i Australii. Jednocześnie na rynkach krajowych umiejętnie rozwijano sprzedaż produktów dopuszczanych do obrotu. Symbolem sukcesu firmy było wyposażenie w jej produkty polskich transatlantyków, a Baczewscy nie zapominali też o zaskakiwaniu swoimi nowatorskimi pomysłami. Na lwowskich Targach Wschodnich w 1926 r. pawilon firmy miał kształt ogromnej karafki…

Upadek i odrodzenie

Wybuch drugiej wojny światowej oznaczał koniec polskiego imperium rodziny. Już w pierwszych dniach września 1939 r. ofiarą nalotu Luftwaffe padły budynki fabryczne i magazyny firmy.

„Od górnego Łyczakowa – wspominał Witold Szloginia – wyraźnie było widać, jak ginie trafiony bombami »stary Baczewski«. W dzień nad wzgórzami […] wznosił się […] olbrzymi grzyb dymu, zamieniający się wieczorem i nocą w jakiś potworny, łopoczący ognisty gejzer […]. Wszyscy mężczyźni na Łyczakowie (i z całą pewnością także w innych lwowskich dzielnicach) strasznie żałowali gwałtownie palącego się bez przerwy »Baczewskiego«, tyle alkoholu w jego magazynach, tyle dobra się marnuje, tyle dobra… Z lubością i wielkim żalem wspominali różne gatunki wódek i likierów znakomitej firmy”.

Po wkroczeniu Sowietów do miasta Stefan i Adam Baczewscy zostali aresztowani i ślad po nich zaginął. Z odgruzowanych magazynów okupanci wywozili do Moskwy całymi wagonami ocalałe produkty firmy. Podobno cieszyły się one ogromnym powodzeniem wśród przedstawicieli najwyższych kręgów władzy sowieckiego imperium. Nie ocaliło to jednak ostatnich właścicieli, chociaż przez wiele lat ich los pozostawał niewyjaśniony. Dopiero niedawno ustalono, że Stefan Baczewski został zamordowany wiosną 1940 r., jego nazwisko znalazło się na tzw. Ukraińskiej Liście Katyńskiej. Prochy biznesmena spoczywają prawdopodobnie na Polskim Cmentarzu Wojennym w Kijowie-Bykowni. Ofiarą zbrodniarzy z Kremla padł również jego kuzyn, Adam. Przez pewien czas utrzymywała się legenda, że obaj Baczewscy zmarli, pracując w kopalniach Donbasu, ale nie było to prawdą.

W ocalałych budynkach zakładów Sowieci uruchomili produkcję alkoholi, oczywiście na etykietach nie było śladów po nazwisku właścicieli. Większy szacunek do sławnej marki wykazali Niemcy, gdy po zajęciu Lwowa wznowili produkcję, na butelkach pojawiała się przedwojenna nazwa. Ostatnie produkty z nazwą „Baczewski” na butelkach opuściły lwowską fabrykę latem 1944 r.

Firma odrodziła się po wojnie w Wiedniu, gdzie znalazł schronienie ostatni przedstawiciel rodu, Jacek Aleksander Baczewski. Wspólnie z innymi przedstawicielami wódczanego biznesu z dawnej monarchii Habsburgów, rodziną Gesslerów, stworzył markę Altvater Gessler – J.A. Baczewski, która przejęła tradycję lwowskich producentów.

Obie rodziny były ze sobą spowinowacone, ważniejsze było jednak to, że w czasach II RP łączyły je wspólne interesy. Zarówno Gesslerowie, jak i Baczewscy bardzo ucierpieli podczas wojny, ale zachowali prawa do swoich marek, a co najważniejsze – ocalili bezcenne receptury. W efekcie produkcja wznowiona w Wiedniu w 1956 r. szybko przyniosła sukces, a koneserzy na całym świecie szczególnie ucieszyli się z powrotu legendarnej Wódki Monopolowej. Miała ona ogromne powodzenie, szczególnie w USA, które stały się jej największym odbiorcą. Tylko nad Wisłą trzeba było czekać aż do 2011 r., by sławna marka ponownie pojawiła się w sklepach. I nie ma już znaczenia, że firma znalazła się już w całości w rękach Gesslerów. Ważne, że do dzisiaj zachowane są oryginalne metody produkcji.

Niewiele pozostało śladów po Baczewskich we Lwowie, w ich dawnej fabryce Sowieci zlokalizowali zakłady produkujące materiały ścierne, chociaż data 1782 r. pozostała nad bramą. Na cmentarzu Łyczakowskim zachowała się piękna kaplica grobowa rodu, gdzie do dzisiaj spoczywają szczątki Józefa Adama i jego rodziny. Niestety, nigdy nie trafiły tam prochy jego zamordowanych wnuków ani odnowiciela marki z Wiednia. Natomiast w 2015 r. przy ulicy Szewskiej rozpoczęła działalność restauracja Baczewski, nawiązująca do tradycji sławnej marki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Kotłobułatowska I., ***„Baczewski”,*** *Baczewski; Lachowski T.,* ***„J.A. Baczewski. Ilustrowana historia wódki”,*** *bdw; Składkowski F.S.,* ***„Kwiatuszki administracyjne i inne”,*** *Łomianki 2005; Szloginia W.,* ***„Tamten Lwów. Rozmaitości”,*** *Wrocław 1994; Zaruba J.,* ***„Z pamiętników bywalca”,*** *e-book, Warszawa 2011.*



Kaplica Baczewskich na cmentarzu Łyczakowskim

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ROBERT NIEDŹWIEDZKI

eprasa.pl afa6e80cf2



FOT. ADOBE STOCK

Wieki XIX–XXI / Historyczne bankructwa

Plajty, które zmieniły świat



Jakub Wozinski

Największe bankructwa w dziejach nie tylko doprowadziły do upadku samych właścicieli, lecz także przyczyniały się do wielkich zmian politycznych i społecznych

Gdyby brać pod uwagę suche dane liczbowe, to na miano największego bankructwa w historii zasługuje upadek Lehman Brothers z 2008 r. W momencie ogłoszenia niewypłacalności działający od ponad 150 lat bank posiadał aktywa o wartości 698 mld dol. i rekord ten nie został pobity w zasadzie aż do dzisiaj. Zapoczątkowany wraz ze złożeniem wniosku o upadłość Lehman Brothers kryzys finansowy stał się również rekordowy, jeśli chodzi o liczbę związanych z nim samobójstw. Tylko w USA doliczono się ich nawet 6,5 tys.

Upadek banku założonego w 1850 r. przez Henry'ego Lehmana zasługuje na szczególną uwagę głównie dlatego, że w gruncie rzeczy zamiast niego głównymi antybohaterami mogły tu zostać inne banki i instytucje. Jak to jednak często w historii ludzkości bywa, społeczność dopuszczająca się wykroczeń wskazuje ze swego grona kozła ofiarnego i zrzuca na niego całą winę. W ten właśnie sposób Lehman Brothers najpierw uczyniono niemal głównym winowajcą kryzysu, skupiono na nim całą uwagę społeczeństwa, a następnie zakończono jego żywot poprzez przejęcie należących do niego aktywów przez inne banki.

Do bankructwa Lehman Brothers doszło w dużym uproszczeniu dlatego, że bank nie pozbył się w porę szczególnie ryzykownych instrumentów znanych jako swapy ryzyka kredytowego. W latach poprzedzających kryzys władze federalne USA stworzyły system zachęt i dopłat do kredytów mieszkaniowych oferowanych najmniej zarabiającym (czyli tzw. kredytów subprime o niskiej jakości). Mimo że władzę sprawował republikanin George W. Bush, szczególny nacisk kładziono na to, aby swoje własne lokum mogli nabyć przede wszystkim kiepsko zarabiający przedstawiciele mniejszości etnicznych i świeżo upieczeni imigranci.

Nie trzeba być specjalistą od finansów, aby zrozumieć, że udzielanie tego rodzaju kredytów wiązało się z wielkim ryzykiem. W związku z tym banki zaczęły masowo stosować sekurytyzację, która polegała na tworzeniu z wielu kredytów subprime specjalnych pakietów, które następnie sprzedawano jako osobne papiery wartościowe. Co ciekawe, jednym z najbardziej aktywnych promotorów tego zabiegu był Larry Fink, obecnie prezes najpotężniejszej firmy inwestycyjnej na świecie – BlackRock. W jego opinii zabieg sekurytyzacji był niezwykle

eprasa.pl afa6e80cf2

korzystny dla biedniejszych obywateli, którzy zyskali w ten sposób możliwość zakupu własnego lokum.

Wielkie banki z Wall Street nie zajmowały się oczywiście działalnością charytatywną, lecz świetnie na całym procederze zarabiały. Podskórnie wszyscy wiedzieli, że z czysto ekonomicznego punktu widzenia inwestowanie znacznych kwot w sektorze, w którym wkład własny kredytobiorców wynosił niekiedy mniej niż 1 proc., nie ma większego sensu, ale pokusa była zdecydowanie zbyt wielka, aby się jej oprzeć. Zwycięzcą w tej rozgrywce mógł zostać ten, kto w odpowiednim momencie wycofa się z rynku i zrealizuje zyski, gdy ceny będą jeszcze wysokie. Wygranym został tu bank Goldman Sachs, który wcześniej wręcz przodował w tworzeniu pakietów kredytów subprime. Znaczne kwoty w tym obszarze zainwestowały także inne wielkie banki, m.in. JP Morgan Chase, Citigroup, Bank of America, Deutsche Bank czy Credit Suisse. Ostatecznie w 2008 r. upadłość ogłosiły trzy duże banki inwestycyjne zaangażowane w sekurytyzację kredytów hipotecznych: Bear Stearns, Lehman Brothers i Merrill Lynch. Pozostałym bankom udzielono specjalnych pożyczek lub pozwolono pozbyć się toksycznych aktywów.

Bankructwo, które dotknęło Lehman Brothers, mogło tak naprawdę spotkać także wiele innych banków, lecz w kryzysowym momencie jego właściciele i akcjonariusze okazali się zbyt mało wpływowi w środowiskach władzy. Kierownictwo banku nie robiło w zasadzie nic, co w szczególny sposób różniłoby się od powszechnych wówczas praktyk oraz metod zarządzania bankiem inwestycyjnym. Jego wina polegała głównie na tym, że nie pozbyło się w porę nadmiernej liczby ryzykownych papierów wartościowych, tak jak zrobił to choćby Goldman Sachs.

Kryzys finansowy w 2008 r., którego najważniejszym wydarzeniem było bankructwo Lehman Brothers, okazał się największym spośród wszystkich kryzysów w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Nieodpowiedzialna polityka banku centralnego, administracji Busha oraz największych banków doprowadziła do globalnego załamania gospodarczego, którego skutki najbardziej odczuwalne były później w Europie. Oprócz spadku realnych dochodów doszło także niestety do poważnych zaburzeń demograficznych: w Stanach Zjednoczonych jeszcze w 2007 r. wskaźnik dzietności wynosił 2,12, natomiast później już nigdy nie wzrósł ponad 2,0.



Wyświetlacz giełdowy z informacją o spadku kursu banku Lehmann Brothers FOT. CHRIS HONDROS/GETTY IMAGES

Cios w Europę

Zanim wielkie banki nauczyły się wykorzystywać polityczne wpływy do tego, aby w kryzysowych chwilach doprowadzać do upadku mniejsze od siebie instytucje, spektakularne bankructwa zdarzały się także najpotężniejszym, zdawałoby się, bankom. Pokazuje to historia Creditanstalt, który przez kilkadziesiąt lat stanowił o sile austriackich Rothschildów. Założony jeszcze w 1855 r. jako odpowiedź na ekspansję francuskiego kapitału posiadał wyróżniającą się pozycję przez cały okres istnienia monarchii habsburskiej. Jeszcze przed wybuchem 1914 r. obracał środkami dorównującymi wszystkim przychodom państwa austro-węgierskiego.

Bank „zbyt wielki, by upaść" boleśnie odczuł demontaż cesarstwa po zakończeniu wielkiej wojny. Mimo to jego rozproszone po nowo powstałych państwach oddziały nadal funkcjonowały prężnie. Gdy powojenne zamieszanie ustało, Creditanstalt przystąpił do kontrofensywy. Począwszy od 1926 r. rozpoczął serię przejęć, które jeszcze bardziej zwiększyły jego rozmiary. Gdy jednak w 1929 r. doszło do wybuchu wielkiego kryzysu w USA, bank Rothschildów poważnie się zachwiał. Swoją pomoc zaoferowały mu wówczas domy bankierskie Morganów i Warburgów, które ratując największy austriacki bank, chciały powstrzymać rozlewanie się fali upadłości po całej Europie. W tym celu dokonano także fuzji z bankiem Bodencreditanstalt.

Początkowo mogło się wydawać, że zbiorowy wysiłek na rzecz powstrzymania fali bankructw w austriackiej gospodarce zakończył się sukcesem. Aby spłacić wielkie zobowiązania, bank potrzebował jednak ożywienia gospodarczego, które mógł zapewnić głównie wzrost eksportu. USA obwarowały się wysokimi cłami i w tej sytuacji Austria zaproponowała Niemcom stworzenie unii celnej. Zaniepokoiło to Francję, która zaczęła domagać się od austriackich banków spłaty pożyczek. Gdy na początku maja 1931 r. władze Creditanstalt oświadczyły, że ich straty sięgają już 85 proc. całego bilansu, w Austrii wybuchła panika. Bank centralny razem z rodziną Rothschildów zaproponował pożyczkę ratunkową, lecz było już za późno.

11 maja 1931 r. Creditanstalt ogłosił upadłość, a w lipcu kryzys finansowy

eprasa.pl afa6e80cf2



Kryzys finansowy w 1931 r. po upadku Creditanstalt dotknął także Niemcy. Na zdjęciu: ludzie chcący wycofać wkłady z banku FOT.ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

ogarnął całe Niemcy, które od zawsze były powiązane z Austrią licznymi więzami kapitałowymi. To bankructwo było o tyle ważne, że pogłębiło skutki wielkiego kryzysu w Europie, a w szczególności w jej centralno-wschodniej części (w tym oczywiście w Polsce). Upadek austriackiego banku doprowadził też pośrednio do wielkiej zmiany politycznej, ponieważ rozlanie się kryzysu skłoniło niemieckich przemysłowców do porzucenia współpracy z kapitałami amerykańskim, brytyjskim i francuskim w celu spłaty reparacji i postawienia gospodarki na nogi. Wielki niemiecki biznes już w 1931 r. porozumiał się z Adolfem Hitlerem, który swoją agresywną polityką miał zapewnić ogromne zamówienia, rynki zbytu i przestrzeń do ekspansji. Być może narodowi socjaliści nie zdobyliby nigdy tak wielkiego poparcia, gdyby wcześniej nie doszło do rozczarowania związanego z bankructwem Creditanstalt.

Dogmatyczna drzemka

Zupełnie inny charakter miało bankructwo firmy Kodak, która przez długi czas uchodziła za prawdziwego pioniera nowoczesnych technologii fotograficznych. Założona w 1892 r. firma zrobiła furorę już w pierwszych latach swojego istnienia za sprawą taniego aparatu, który można było przesłać do siedziby producenta w celu wywołania zdjęć i założenia nowego filmu. Przeciętnemu użytkownikowi oszczędzono w ten sposób wiele żmudnych czynności, dzięki czemu aparaty firmy Kodak stały się z czasem bardzo popularne.

W latach 30. nowojorska firma upowszechniła aparaty wykonujące kolorowe zdjęcia, a wymiana i wywoływanie filmów stały się jeszcze prostsze. Prawdziwą furorą było jednak wprowadzenie w latach 70. aparatów umożliwiających natychmiastowy wydruk zdjęć. Już wtedy firma odczuwała coraz mocniej konkurencję ze strony m.in. Polaroida, lecz w kolejnych dekadach starała się nie zwalniać tempa i oferować wciąż nowe produkty, jak choćby wyprodukowany w 1975 r. pierwszy aparat cyfrowy.

Im bardziej jednak upowszechniały się technologie cyfrowe, tym gorzej Kodak potrafił adaptować się do zachodzących zmian. Przez wiele dekad nazwa firma była wręcz tożsama z najlepszej jakości taśmami filmowymi, które wciąż stanowiły podstawę amatorskiej i profesjonalnej fotografii, a także branży filmowej. Kolejni prezesi firmy zarządzający nią w latach 80. i 90. mieli do swej dyspozycji najnowocześniejsze laboratoria i wypuszczali na rynek nowatorskie egzemplarze aparatów cyfrowych, ale nigdy nie traktowali tego segmentu produkcji dostatecznie poważnie. Podstawą działalności firmy wciąż miały być tradycyjne filmy oraz produkcja środków chemicznych wykorzystywanych w fotografii.

W Kodaku zwyciężyło przekonanie, że fotografia cyfrowa jest wrogiem tej tradycyjnej, a więc i samego Kodaka. Zamiast próbować dostosować się do rewolucyjnych zmian, zarządzający firmą bardzo długo starali się je zwalczać i bronić technologii, z którą tak bardzo się utożsamiali. A przecież – przypomnijmy – Kodak był pierwszą firmą, która udostępniła konsumentom aparat cyfrowy! Pod koniec lat 90. władze spółki zaczęły wreszcie powoli rozumieć, że nie powstrzymają wielkiej zmiany, i próbowały ratować sytuację, inwestując znaczne środki w segment drukarek atramentowych oraz nowych aparatów cyfrowych skonfigurowanych z drukarkami. Przedsięwzięcia te nie przyniosły jednak spodziewanych zysków i w ten sposób na początku XXI w. Kodak znalazł się w poważnych tarapatach finansowych.

Wniosek o upadłość został złożony 19 stycznia 2012 r. i choć po dokonanej restrukturyzacji firmę udało się postawić na nogi, to pozostaje ona już tylko cieniem swojej dawnej potęgi. Firma nie produkuje już aparatów cyfrowych, lecz zaangażowała się mocniej w inne branże, jak choćby drukarstwo czy nawet przemysł farmaceutyczny. Jej losy do dziś pozostają wręcz podręcznikowym przykładem tego, że nie można lekceważyć poważnych zmian technologicznych zachodzących na rynku.

Kreatywny jak Enron

Zanim jeszcze wybuchł kryzys finansowy z Lehman Brothers w roli głównej, jeden z największych biznesowych skandali (i przy okazji bankructw) dotyczył korporacji ze stanu Teksas. Mowa oczywiście o Enronie, który w chwili złożenia 2 grudnia 2001 r. wniosku o upadłość posiadał aktywa o wartości ok. 64,5 mld dol. Pod tym względem jego

eprasa.pl afa6e80cf2



Kodak nie włączył się w porę do rewolucji cyfrowej w fotografii

FOT. ADOBE STOCK

bankructwo nadal plasuje się wśród największych plajt w historii, które spotkały firmy, a nie banki.

Bankructwo Enronu stało się jednym z najsłynniejszych w historii dlatego, że dotknęło korporację, która cieszyła się szczególnymi względami w kręgach władzy. Wprawdzie to samo można powiedzieć o zdecydowanej większości banków i firm inwestycyjnych na Wall Street, jednakże praktyki teksańskiej firmy oparte były na wyjątkowo zuchwałym podejściu do przepisów, a w szczególności do księgowości.

Początkowo Enron działał w branży gazowej i zajmował się m.in. budową gazociągów. Świetna koniunktura w tej dziedzinie pozwoliła mu rozszerzyć w latach 90. zakres działalności i realizować budowę m.in. elektrowni, sieci przesyłowych oraz ropociągów. Dzięki świetnym kontaktom w Waszyngtonie Enron zdobywał kontrakty na budowę infrastruktury praktycznie na całym świecie. Na tym jednak ambicje władz spółki się nie kończyły i wkrótce przyszedł czas na działalność stricte finansową. Enron stał się liderem na rynku kontraktów terminowych w energetyce oraz zaczął tworzyć skomplikowane instrumenty pochodne powiązane z rynkiem energii. Pod wieloma względami zaczął nawet przypominać typową instytucję finansową ze Wschodniego Wybrzeża.

Bankructwo Enronu przyniosło ze sobą ogromny spadek zaufania do instytucji publicznych oraz spółek giełdowych

Kolejną innowacją firmy z Houston było dostarczanie Internetu szerokopasmowego, co przed 20 laty należało jeszcze do rzadkości. W szczytowym momencie Enron handlował nawet metalami szlachetnymi. Otrzymując liczne publiczne dotacje, spółka czuła się wszechpotężna, a wśród osób utrzymujących z nią nadzwyczaj zażyłe relacje biznesowo-polityczne był choćby przyszły prezydent George W. Bush. Enron mógł liczyć na szczególne wsparcie polityków, ponieważ niejawny układ władz spółki z waszyngtońskim establishmentem umożliwiał wyprowadzanie znacznych środków pieniężnych do rajów podatkowych. Proceder ten dokonywał się przy pomocy tzw. SPE, czyli jednostek do specjalnych celów, które stanowiły rodzaj firm słupów pozwalających ukrywać faktyczny stan finansowy.

Skandal związany z bankructwem Enrona, które ogłoszono wreszcie w grudniu 2001 r., polegał przede wszystkim na tym, że w tzw. kreatywnej księgowości pozwalającej wybranym wyprowadzać ogromne kwoty i jednocześnie narażać na kolosalne straty tysiące akcjonariuszy maczało palce wiele różnych, niezwykle wpływowych środowisk. Przede wszystkim na jaw wyszło, że fałszywe sprawozdania finansowe pomagał zatwierdzać gigant na rynku audytorskim i doradczym, Arthur Andersen. Agencje ratingowe pomimo wiedzy o złym stanie spółki regularnie oceniały ją bardzo pozytywnie. Wielu senatorów i kongresmenów w zamian za wsparcie kampanii wyborczych latami konsekwentnie lobbowało na rzecz Enronu, a tuż przed ogłoszeniem przez organy śledcze najważniejszych szczegółów dotyczących afery pozwolono im potajemnie pozbyć się akcji spółki. Współwinnych skandalu było więc bardzo wielu, lecz znaczna ich część zdołała uniknąć jakiejkolwiek kary.

W następstwie afery Enronu doszło w 2002 r. do uchwalenia specjalnej ustawy Sarbanes-Oxley, która wprowadziła nowe, dużo bardziej restrykcyjne zasady raportowania działalności spółek publicznych. Stało się to jednak z wielką szkodą dla całego sektora biznesowego, gdyż znacznie wzrosły przez to koszty audytów czy prowadzenia księgowości. Tym samym bankructwo Enronu przyniosło ze sobą ogromny spadek zaufania do instytucji publicznych oraz spółek giełdowych. Przez zwiększoną biurokrację jego skutki odczuwane są w zasadzie do dziś.



Prezydent George W. Bush z senatorem Paulem Sarbanesem, współautorem ustawy wydanej po upadku Enronu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THE BUSH WHITE HOUSE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2



1918 r. Helsinki w ogniu

Finowie przeciw Finom

Żołnierze Białej Gwardii po bitwie pod Tornio, 1918 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA. TORNIO MUSEUM



Arkadiusz Karbowiak

Pod koniec pierwszej wojny światowej Finlandię trawiła krwawa wojna domowa, którą rozniecił Lenin. Biali Finowie twardo stłumili czerwony bunt

Rewolucja lutowa przyniosła Rosji obalenie caratu, ale mocno zmieniła też sytuację wewnętrzną w należącej do imperium Romanowów Finlandii. Coraz wyraźniej artykułowane dążenia niepodległościowe przeplatały się z coraz głębszymi podziałami w fińskim społeczeństwie. W obrębie partii socjaldemokratycznej pojawiły się tendencje dezintegracyjne, skutkujące de facto rozłamem organizacji na skłonne do prowadzenia umiarkowanej polityki skrzydło reformistyczne i radykalne – prące zdecydowanie do rozwiązań siłowych i rewolucyjnych. To właśnie strach i obawa przed chaosem rewolucyjnym skłoniły wielu Finów do poparcia podczas wyborów w 1917 r. partii prawicowych.

Porażka socjaldemokratów wzmocniła u ekstremistów poczucie, że należy dążyć do konfrontacji. Przygotowując się do niej, zarówno radykalna lewica, jak i prawica zaczęły tworzyć formacje paramilitarne. Po stronie antyrewolucyjnej była to Straż Obywatelska nazywana Gwardią Cywilną lub Białą Gwardią, a po przeciwnej stronie powstała Czerwona Gwardia. Prawdopodobieństwo wybuchu wewnętrznego konfliktu zwiększyło się wraz z przejęciem władzy w Rosji przez bolszewików. Jeszcze zanim to nastąpiło, ukrywający się w Finlandii Włodzimierz Lenin próbował namawiać tamtejszych socjaldemokratów do zbrojnego przejęcia władzy, choć przeciwne były temu gremia kierownicze partii. W jej łonie istniała jednak zwiększająca swe wpływy grupa działaczy przychylnie ustosunkowanych do tego pomysłu, którzy wywierali presję na przywódców. Liderzy socjaldemokratyczni podjęli wreszcie decyzję o przejęciu władzy w swoje ręce, ale ostatecznie wycofali się z tego pomysłu.

Widząc wahania Finów, Moskwa nie rezygnowała z nacisków. 27 listopada 1917 r., w dniu utworzenia nowego gabinetu rządowego Pera Evinda Svinhufvuda, w Helsinkach na wiecu robotniczym przemawiał jeden z najbliższych współpracowników Lenina – Józef Stalin wzywał do rozpoczęcia rewolucji. Widząc brak rewolucyjnego „żaru" u socjaldemokratycznych przywódców, bolszewicy próbowali nawiązywać kontakty z osobami spoza głównych kręgów decyzyjnych, które miały wpływy w strukturach bojówek Czerwonej Gwardii. Sama partia przestała sprawować nad nimi kontrolę. Uwidoczniło się to podczas strajku generalnego w listopadzie 1917 r., kiedy to z rąk czerwonogwardzistów padły pierwsze ofiary śmiertelne.

Ku niepodległości

Bolszewicki zamach stanu stał się nie tylko rewolucyjnym paliwem, lecz także impulsem do ogłoszenia przez rząd fiński deklaracji niepodległości, co nastąpiło już 4 grudnia 1917 r. Następnie władze w Helsinkach podjęły kroki w celu zapewnienia międzynarodowego uznania dla niepodległości Finlandii. Pierwszymi państwami, które to uczyniły, były Rosja bolszewicka, kajzerowskie Niemcy, Francja i Szwecja.

eprasa.pl afa6e80cf2



Carl Gustaf Mannerheim

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ULRICH ROMBERG

Ugruntowanie niepodległego bytu państwa na arenie międzynarodowej nie oznaczało jednak jego stabilizacji w obszarze wewnętrznym. Oczywiste było, że stan swoistej dwuwładzy nie mógł trwać wiecznie. Rząd miał do wyboru: albo ustąpienie, albo przejęcie w kraju pełni władzy, co jednak oznaczać musiało konfrontację z formacjami Czerwonej Gwardii, czyli wojnę domową. Pierwsze strzały padły w Viipuri (dzisiejszy rosyjski Wyborg) 19 stycznia 1918 r. Tego dnia czerwonogwardziści postanowili przeszukać kilka budynków. Broni poszukiwano m.in. na terenie fabryki W. Pietinena, gdzie znajdował się skład uzbrojenia Straży Obywatelskiej-Gwardii Cywilnej stanowiącej ochronę zakładu. Szturm czerwonych na fabrykę zakończył się śmiercią jednego z obrońców. Dwóch kolejnych zamordowano w innych częściach miastach, natomiast z grona szacownych obywateli Viipuri 70 osób zatrzymano w charakterze zakładników.

Dwa dni później na stacji kolejowej Taavetti doszło do większej potyczki białych i czerwonych. Oliwy do ognia postanowił dolać Lenin, nakazując przekazanie fińskiej Czerwonej Gwardii 15 tys. karabinów. Dotarły one do Wyborga 28 stycznia rano. Obawiając się masowego udziału w walce po stronie czerwonych rosyjskich żołnierzy, mianowany dowódcą armii fińskiej Carl Mannerheim, były generał armii carskiej, 29stycznia nakazał rozbrojenie uznanych za wrogie garnizonów byłej armii imperialnej znajdujących się w południowej Ostrobotii. Zasadniczo stacjonujący w nich żołnierze nie byli zainteresowani udziałem w fińskim konflikcie i – poza marginalnymi przypadkami – pozostawali bierni, oczekując na powrót do domów.

Tymczasem 28 stycznia w godzinach porannych rewolucjoniści przejęli pełną kontrolę nad stolicą Finlandii. Rząd przeniósł się do miasta Vaasa. Tworzące się fińskie siły zbrojne opanowały słabo zaludnione i pozbawione przemysłu północne rejony Finlandii, natomiast uprzemysłowione południe znalazło się w rękach „czerwonych" radykałów. Rząd tuż przed opuszczeniem Helsinek zdążył jeszcze wydać manifest, w którym ogłosił, że „część narodu fińskiego, polegając na obcych siłach i obcych bagnetach, zbuntowała się przeciwko parlamentowi i rządowi Finlandii".

Biała Armia zdecydowanie górowała nad Czerwoną Gwardią. Generał Mannerheim poza tym, że sam posiadał stosowne wykształcenie wojskowe, zebrał wokół siebie liczne grono fińskich oficerów mających za sobą służbę w armii carskiej. Do takich osób należał gen. Ernst Löfström kierujący w kwietniu 1918 r. natarciem na Viipuri. Do armii trafiło 1450 (z 1900) fińskich jegrów przeszkolonych w kajzerowskiej armii. Sam gen. Mannerheim (wówczas jeszcze niewładający językiem fińskim) wywodził się z mieszkającej w Finlandii mniejszości szwedzkiej, której przedstawiciele licznie zaciągali się do fińskiej armii. Z samej Szwecji do fińskiej armii wstąpiło podczas wojny domowej ok. 200 oficerów i 400 podoficerów. Mimo że liberalno-socjaldemokratyczny rząd w Sztokholmie ogłosił wobec konfliktu neutralność, w Szwecji zezwolono na rekrutację potencjalnych ochotników. Prowadziło ją Towarzystwo Przyjaciół Finlandii kierowane przez brata Carla Gustava Mannerheima.

Zebrawszy fundusze od osób prywatnych, towarzystwo sfinansowało zakup broni dla udających się do Finlandii wolontariuszy. Stworzono z nich tysiącosobową Brygadę Szwedzką. Dowódcą jednostki został kpt. Hjalmar Frisell. Brygadę skierowano na front pod Tampere, gdzie w dniach 16 marca–6 kwietnia rozegrała się przełomowa bitwa, która stała się punktem zwrotnym w wojnie domowej w Finlandii. Miasto Tampere było ważnym ośrodkiem przemysłowym i logistycznym Czerwonej Gwardii, dlatego Mannerheim koniecznie chciał je zdobyć. Zebrawszy 16 tys. żołnierzy, generał rozpoczął działania mające na celu okrążenie miasta. Do pierwszego ważnego starcia doszło w dniach 15–17 marca roku pod Kuru. Zwycięskim dowódcą białych okazał się szwedzki generał Harald Hjalmarson.

Kolejnym szczęśliwym dla białych polem bitewnym była Länkipohja. Poległ tam wraz synem Ilmarinem legendarny fiński białogwardzista Matti Erkki Laurila. Odniesione sukcesy spowodowały, że 27 marca 1918 r. Tampere zostało odcięte. Zanim do tego doszło, do miasta przybyli Kullervo Manner i Otto Kusinnen – rewolucyjni przywódcy zagrzewający swych rodaków płomiennymi mowami do stawiania przeciwnikom zaciętego oporu. Wobec dwukrotnego odrzucenia przez obrońców propozycji kapitulacji 28 marca ruszyło natarcie. Najbardziej zaciekłe walki toczyły się na cmentarzu w Kalevangankas i na miejskim torze wyścigowym. Właśnie do szturmu na tych odcinkach rzucona została Brygada Szwedzka, która



Matti Erkki Laurila z synami

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEOVIRASTO

eprasa.pl afa6e80cf2



Żołnierze Białej Gwardii w okopach pod Ruovesi FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEOVIRASTO

poniosła tam poważne straty. Jednym z poległych był wuj późniejszego premiera Szwecji Olofa Palme (również Olof).

Równolegle z obroną Tampere siły Czerwonej Gwardii chciały odblokować miasto, jednak działania te okazały się nieskuteczne. 5 kwietnia części obrońców udało się wyrwać z okrążenia, a dzień później pozostali skapitulowali. W ogniu zmagań zginęło 900 białych i 1–2 tys. czerwonych.

Pomoc z Niemiec

O ile Szwedzi wnieśli pewien wkład w pokonanie czerwonych w Finlandii, o tyle udział wojsk niemieckich miał charakter decydujący w kwestii szybkiego zakończenia konfliktu. Jeszcze w 1917 r. świadomość własnej słabości militarnej w obliczu nadciągającej konfrontacji spowodowała, że jeden z antyrosyjskich, antyrewolucyjnych i niepodległościowych ośrodków postanowił podjąć wysiłki zmierzające do stworzenia sieci oddziałów Suojeluskunta (Białej Gwardii) i uzbrojenia ich. Zasadniczą rolę odegrał tu tzw. Aktiivinen Komitea – patronujący podczas wielkiej wojny akcji formowania w składzie armii niemieckiej jednostek złożonych z fińskich ochotników.

Dzięki posiadanym kontaktom w Niemczech udało się uzyskać zgodę na przerzucenie do Finlandii na statku „Equity" 6,5 tys. karabinów, 30 karabinów maszynowych i 500 rewolwerów wraz z amunicją. Przesyłkę rozładowano 31 października 1917 r. na wyspie Västerö. Kolejna partia wsparcia militarnego wysłana została do Finlandii na początku 1918 r. Niemcy nie byli początkowo zainteresowani udzielaniem jakiejkolwiek pomocy, jednak gen. Erich von Ludendorff dał się w końcu przekonać i wyraził zgodę na sprzedaż Finlandii 70 tys. karabinów. Generał zaaprobował też powrót do kraju wyszkolonych w Rzeszy fińskich żołnierzy z 27. Królewskiego Pruskiego Batalionu Jegrów. Niemcy zastrzegli jednak, że zakup broni musi być prywatną transakcją handlową. Transport zapewniła fińska Kompania Żeglugi Parowej, która przeznaczyła do tego pięć parowców. Pierwszy konwój parowców dotarł do portu Vaasa 20 lutego 1918 r., a ostatni statek przypłynął tam 2 marca.

Parę dni później, 7 marca 1918 r., podpisany został w Niemczech przez przedstawiciela rządu Finlandii w Berlinie fińsko-niemiecki traktat pokojowy. Poza kwestiami natury gospodarczej Niemcy dostrzegli sens zbrojnego wsparcia białych w wojnie domowej w Finlandii, licząc, że dzięki temu nordycki kraj znajdzie się w niemieckiej strefie wpływów. 3 kwietnia 1918 r. na półwyspie Hanko wylądowała licząca ok. 10 tys. żołnierzy Dywizja Bałtycka (Ostsee Division) dowodzona przez gen. Rüdigera von der Goltza. Cztery dni później siły niemieckie zostały wzmocnione przez działający samodzielnie, liczący 3 tys. żołnierzy Abteilung Brandenstein (nazwa oddziału pochodziła od nazwiska dowódcy płk. Ottona von Brandensteina).

Dywizja niemal od razu po wylądowaniu ruszyła w kierunku oddalonych o ok. 120 km Helsinek. Ponieważ na drodze do stolicy znajdowały się (będące głównie w odwrocie) oddziały czerwonych, Niemcy dość szybko, bo już 12 kwietnia, dotarli do przedmieść miasta, a dzień później całkowicie je opanowali. W walkach o Helsinki symbolicznej pomocy udzielili żołnierzom niemieckim trwający w podziemnej konspiracji biali. Tymczasem oddział Brandensteina, od 19 kwietnia podporządkowany Dywizji Bałtyckiej, przemieścił się w stronę Lahti i w dniach 19 kwietnia–2 maja 1918 r., wsparty przez kompanię białych, stoczył zacięty bój o miasto.

Ostatnim akordem wojny domowej w Finlandii było zajęcie opuszczonego przez siły rosyjskie (bolszewickie) Fortu Nikołajewskiego, co nastąpiło 15 maja 1918 r. Dzień później w Helsinkach gen. Mannerheim uczestniczył w paradzie zwycięstwa, jadąc na białym rumaku.

Ukarani zbrodniarze

Wojna domowa zebrała w Finlandii krwawe żniwo. W walkach zginęło 5199 czerwonych i 3414 białych. Po zakończeniu konfliktu w obozach zmarło 11 652 czerwonych, uchodźców i jeńców. Tak wysoka śmiertelność wiązała się z fatalnymi warunkami, w których przebywali więźniowie. W obozie w Tammisaari była ona największa. Na 8597 osadzonych zmarło tam 2997 osób. Jednak sporą część z nich stanowiły ofiary gryp hiszpanki. Z kolei w obozie Hannala pod Lahti, gdzie przebywali cywilni uchodźcy, istotny procent ofiar stanowili rozstrzelani (minimum 500 – spora część z nich to kobiety – na 1,2 tys. osób, które pobytu w obozie nie przeżyły).



Symbol Suojeluskunta (Białej Gwardii) FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VUO

eprasa.pl afa6e80cf2

Bezwzględność i brutalne postępowanie wobec osadzonych miało swoje przyczyny w zbrodniach popełnionych przez czerwonych podczas wojny domowej. Jedną z pierwszych była zbrodnia dokonana 31 stycznia 1918 r. we wsi Suinula, gdzie zamordowano 15 członków Gwardii Krajowej (w tym 10 studentów z Tampere), których ujęto, gdy próbowali przedrzeć się na terytoria opanowane przez białych. Jej organizatorzy zostali ukarani przez fińskie sądy wojskowe. Dowodzący oddziałami komunistycznymi Kaarle Vilander stracony został 15 maja 1918 r., a jego zastępca Valdemar Sammalisto miesiąc wcześniej. Skala egzekucji dokonywanych przez czerwonych była największa w początkowym okresie konfliktu (styczeń–luty) i wyniosła 703 ofiary. W kolejnym miesiącu spadła do 203 i wzrosła znów w kwietniu do 697. Wtedy to na polu Tommola na obrzeżach wsi Kouvola oraz w miejscowości Korii czerwoni zamordowali 125 osób. W nocy z 27 na 28 kwietnia w oblężonym przez białych Viipuri grupa czerwonogwardzistów pod wodzą Hjalmara Kaipiainena dokonała w tamtejszym więzieniu masakry osadzonych. Zamordowano wówczas 30 osób. Wśród ofiar znajdował się m.in. Leander Ikonen, rektor szkoły przemysłowej i przywódca Karelskiego Związku Obywatelskiego.

Po wojnie wymierzono sprawiedliwość niektórym uczestnikom zbrodni. Kaipiainen został rozstrzelany 23 czerwca 1918 r. (podobny los spotkał kilku jego podkomendnych), rozstrzelano także jego ojca, brata i narzeczoną służących w szeregach czerwonych. Po wojnie fińskie władze przeprowadziły ponad 75 tys. spraw karnych, w efekcie czego skazano 67,8 tys. czerwonych (zazwyczaj na dwa–trzy lata więzienia), jednak dość szybko byli oni ułaskawiani i zwalniani. Do grudnia 1918 r. w obozach pozostało zaledwie 6,1 tys. więźniów. Oprócz tego w więzieniach umieszczono 555 osób skazanych na karę śmierci, z czego wykonano tylko 113 wyroków. W 1927 r. rząd socjaldemokratyczny ułaskawił ostatnich 50 więźniów.

Nie tylko czerwoni, lecz także biali używali w czasie wojny domowej terroru. Liczba jego ofiar określona jest na 7370 (dla porównania: terror rewolucyjny pochłonął 1424 ofiary). Oczywiście część ze straconych należała do kategorii osób odpowiedzialnych za zbrodnie wojenne, więc trudno określić ich mianem niewinnych ofiar. Nie ulega jednak wątpliwości, że skala egzekucji wskazuje na daleko idącą swobodę dowódców białych armii we wskazywaniu ludzi do rozstrzelania. Spora część z nich poza samą służbą w Czerwonej Gwardii nie popełniła żadnych innych przestępstw. Do masakr czerwonych jeńców dochodziło po zakończeniu większych starć. Tak było choćby po bitwie pod Tampere. Zwycięzcom udało się wziąć tam do niewoli sporą liczbę jeńców, ok. 11 tys., z których 290 rozstrzelano (w tym 100–200 rosyjskich żołnierzy na czele z dowódcą płk. Gieorgijem Bułacelem).



Żołnierki Czerwonej Gwardii FOT. WIKIWAND

Podobną masakrą zakończyło się zdobycie Viipuri. W mieście zamordowano co najmniej 360 żołnierzy i cywilów uważanych za Rosjan (według innych danych 247). O tym, że nie zawsze byli to Rosjanie, świadczy to, że w grupie rozstrzelanych zidentyfikowano 50 znanych z imienia i nazwiska Polaków. Trzeba podkreślić, że gen. Mannerheim nakazał wszczęcie w sprawie tej masakry śledztwa. Niestety, nie przyniosło ono konkretnych rezultatów poza ogólną identyfikacją sprawców, którzy wywodzili się z oddziału partyzanckiego Kaajani por. Elja Rihtniemiego (plutonem egzekucyjnym tej jednostki, który 22 maja 1918 r. rozstrzelał 12 jeńców w Haminie, dowodził wówczas 17-letni Urho Kekknonen, późniejszy prezydent Finlandii w latach 1956–1982) oraz Pułku Vaasa szwedzkiego podpułkownika Martina Ekströma.

Takie postępowanie dowódcy armii fińskiej można wiązać z wydanymi 25 stycznia 1918 r. wytycznymi dotyczącymi traktowania jeńców wojennych. Zgodnie z nimi rozstrzeliwane bez sądu miały być tylko osoby ujęte podczas działań partyzanckich na zapleczu białej armii – te, u których znaleziona została broń, a także odpowiedzialne za rabunki, podpalenia i zbrodnie. Wziętych do niewoli podczas walk przeciwników należało traktować jako jeńców wojennych. Treść tego rozkazu zadaje kłam tezom wskazującym, że dyrektywy gen. Mannerheima rozkręciły spiralę przemocy w fińskiej wojnie domowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Rainio J., Turunen M., ***„The examination and reporting of war crimes – an example from Finnish history", „International Journal of Legal Medicine"*** *2006, nr 120; Upton A.,* ***„The Finnish revolution 1917–1918"; Söderhjelm H.,*** ***„Red insurection in Finland 1918, a study based on documentary evidence".***

eprasa.pl afa6e80cf2



1913–1988 / Karaim, naukowiec, szpieg

Zabić Titę!



Mikołaj Iwanow

Józef Grygulewicz był jednym z najcenniejszych sowieckich szpiegów. Pomagał Stalinowi skomunizować Hiszpanię, brał udział w przygotowaniu zamachu na Lwa Trockiego, a po wojnie, gdy w niezwykłych okolicznościach udało mu się zostać ambasadorem Kostaryki, miał zabić przywódcę Jugosławii...

Pod koniec drugiej wojny światowej Jugosławia była uważana na Kremlu za najbardziej oddanego i potężnego sojusznika Związku Sowieckiego. Komunistyczni partyzanci pod dowództwem jednego z czołowych działaczy Kominternu, Chorwata Josipa Broza-Tity, ustanowili w byłym Królestwie Serbów, Chorwatów i Słoweńców reżim komunistyczny niemal bez pomocy Armii Czerwonej. Stalin był tak pewny lojalności Tity wobec ZSRS, że wojska sowieckie nawet nie okupowały jego kraju. W otoczeniu Stalina uważano, że wystarczy potężne zgrupowanie Armii Czerwonej znajdujące się w okupowanej Austrii.

Dlatego bunt jugosłowiańskich komunistów w 1948 r. był dla Stalina szokiem. Trudno było uwierzyć, że wychowany w Kominternie Tito może zdradzić i rozpocząć współpracę z Amerykanami. Szok był o tyle większy, że Tito swym buntem zdradził również komunistów greckich, którzy już od czterech lat prowadzili krwawą wojnę domową przeciwko prozachodnim siłom (najważniejsze trasy zaopatrzenia czerwonych partyzantów z Hellady prowadziły właśnie przez terytorium Jugosławii).

Wściekłość Stalina nie znała granic, ale ponieważ był to sam początek zimnej wojny, ukaranie Tity poprzez interwencję Armii Czerwonej nie wchodziło w grę. Postanowiono więc go zabić i w ten sposób zagwarantować przejęcie władzy przez lojalnych wobec Moskwy jugosłowiańskich towarzyszy partyjnych. Na polecenie Stalina MGB (Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego, następca niesławnego NKWD) opracowało ściśle tajną operację „Sęp". Główną rolę miał w niej odegrać jeden z najsprawniejszych agentów sowieckich, działający pod pseudonimem Max, który jako jedyny z sowieckiej agentury miał bezpośredni dostęp do marszałka Tity. Dlaczego? Z bardzo prostej przyczyny – Teodoro B. Castro, czyli „Max", był ambasadorem Kostaryki w Jugosławii i w związku z tym miał możliwość uzyskania osobistej audiencji u Tity.

Podczas spotkania miał podać marszałkowi dawkę bakterii dżumy płucnej, wystarczającą do zabicia wszystkich obecnych w pomieszczeniu. Sam agent musiał zostać wcześniej zaszczepiony przeciw tej zarazie. Alternatywą miał być zamach na Titę dokonany podczas jednego z przyjęć dyplomatycznych w Belgradzie z użyciem bomby lub broni palnej – również „Max" miał zrealizować ten wariant uśmiercenia przywódcy Jugosławii.

Opracowanie planów zabójstwa Tity Stalin zlecił tym samym ludziom, którzy w 1940 r. skutecznie zorganizowali zabójstwo Lwa Trockiego. Na czele operacji postawiono gen. Pawła Sudopłatowa. Plany sporządził natomiast Aleksander Korotkow, szef wydział MGB do spraw operacji specjalnych.

eprasa.pl afa6e80cf2



Teodoro B. Castro (Grygulewicz) i Josip Broz-Tito

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEUM OF YUGOSLAVIA

Kim był ten jeden z najsłynniejszych agentów sowieckich, którego portret do dziś znajduje się w „hali sławy" muzeum sowieckich służb specjalnych (Czeka-GPU-NKWD-MGB-KGB-FSB)? W jaki sposób udało mu się uzyskać wysokie stanowisko w dyplomacji jednego z państw Ameryki Łacińskiej?

„Latynos" z Trok

Ambasador Kostaryki we Włoszech i Jugosławii, który w sowieckim wywiadzie działał pod pseudonimem Max, naprawdę nazywał się Józef Grygulewicz. Urodzony w Trokach, niedaleko Wilna, w 1913 r. pochodził z rodziny miejscowych Karaimów.

Spory wpływ na formowanie jego poglądów politycznych wywarł wujek, który był członkiem Komunistycznej Partii Polski. W 1933 r. Grygulewicza i kilku innych uczniów jego wileńskiego gimnazjum aresztowano. Powodem było rozdawanie w szkole ulotek komunistycznych. 17 maja 1933 r. sąd wydał werdykt – Grygulewicz dostał dwuletni wyrok w zawieszeniu. „Kurier Wileński" w sprawozdaniu z procesu odnotował, że oskarżony nie ukrywał swoich lewicowych przekonań.



Plakat hiszpańskiej Partii Robotniczej Zjednoczenia Marksistowskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FUNDACIÓN ANDREU NIN

W Polsce 20-letni Grygulewicz był już spalony jako działacz KPP, dlatego partia skierowała go do Paryża, gdzie trafił pod opiekę Zygmunta Modzelewskiego, jednego z czołowych działaczy komunistycznych. Prawdopodobnie wtedy został on zwerbowany przez wywiad sowiecki. W Paryżu Grygulewicz otrzymał swój pierwszy pseudonim – Juzik.

W 1934 r. Moskwa postanowiła skierować „Juzika" do Argentyny, gdzie w tym czasie osiedlił się jego ojciec, który pracował tam jako aptekarz. W Buenos Aires młody Grygulewicz spotkał się z ojcem, ale nawiązał również kontakt z członkiem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Argentyny, Francisco Muñozem Diazem, którego znał jeszcze z Paryża. Od samego początku czytał wiele gazet i czasopism oraz tłumaczył teksty, korzystając ze słownika polsko-hiszpańskiego. Oczywiście zaangażował się w działalność tamtejszego ruchu komunistycznego. Sowiecki wywiad zmienił mu wówczas pseudonim na Miguel.

Spokojne wtapianie się w społeczeństwo argentyńskie nie trwało jednak długo. 19 lipca 1936 r. Grygulewicz został aresztowany przez argentyńską policję podczas narady działaczy lewicowych odbywającej się w willi pisarza i popularyzatora marksizmu Augusta Bunge. Policja oskarżyła uczestników zebrania o wspólne słuchanie moskiewskiego radia i omawianie planów przewrotu komunistycznego. Jeden z dokumentów skonfiskowanych podczas zebrania zawierał schemat działalności siatki komunistycznej, w której ważną rolę odgrywał elektryk „Miguel". Dokument ten został opublikowany w jednej z czołowych prawicowych gazet w Buenos Aires, więc kierownictwo Komunistycznej Partii Argentyny zdecydowało się wysłać „Miguela" poza granice kraju – na front wojny domowej w Hiszpanii.

Prawie miesiąc zajęło Grygulewiczowi – teraz nazywającemu się José Ocampo – przedostanie się do Hiszpanii.

Co ciekawe, głównym organizatorem przerzutu komunistycznych ochotników do Hiszpanii przez francuską granicę był specjalny przedstawiciel Kominternu Josip Broz-Tito – ten sam człowiek, którego 15 lat później Stalin polecił Grygulewiczowi zabić.

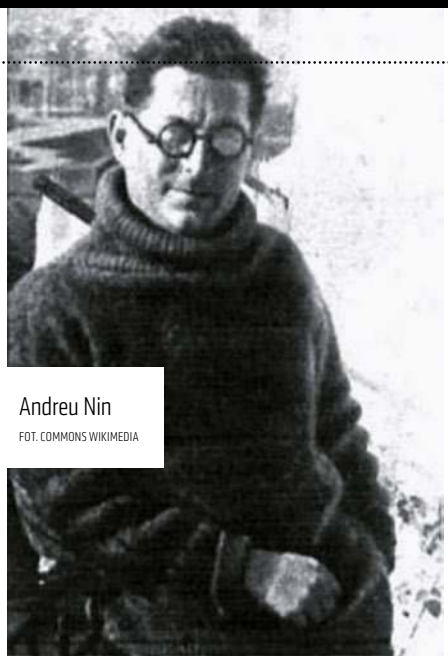
W Madrycie Grygulewicz-Ocampo został doradcą Enrique Lístera, legendarnego dowódcy 11. dywizji. U jego boku poznał słynnego malarza i działacza meksykańskiej partii komunistycznej Davida Alfara Siqueirosa, z którym wkrótce przygotowywał zabójstwo Lwa Trockiego. W Hiszpanii Grygulewicz działał jakby w dwóch postaciach: działacza Międzynarodówki Komunistycznej i sowieckiego agenta. Jego bezpośrednim przełożonym w wywiadzie był Aleksandr Orłow, późniejszy uciekinier na Zachód.

Bez litości

Od listopada 1936 r. Grygulewicz działał w Komitecie Obrony Madrytu. Jego głównym zadaniem była walka z rebeliantami i ich wspólnikami ukrywającymi się w ambasadach różnych państw. Według niektórych raportów liczebność „piątej kolumny" w stolicy sięgała nawet 8 tys. osób. 4 grudnia grupa bojowa pod dowództwem Grygulewicza-Ocampo wdarła się na teren ambasady Finlandii, gdzie aresztowano wiele osób, odkryto magazyny broni i warsztat produkujący granaty. Tej samej nocy zajęto ambasadę Chile, gdzie aresztowano ok. 100 przeciwników władz republikańskich.

Według danych z „Archiwum Mitrochina" Grygulewicz odegrał kluczową rolę w zdławieniu przez Komintern ruchu anarchistów w Katalonii. Początkowo planowano wykorzystać anarchistów jako sojuszników komunistów w wykorzenieniu trockizmu w Hiszpanii, jednak działania strony sowieckiej wywołały

eprasa.pl afa6e80cf2



Andreu Nin
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

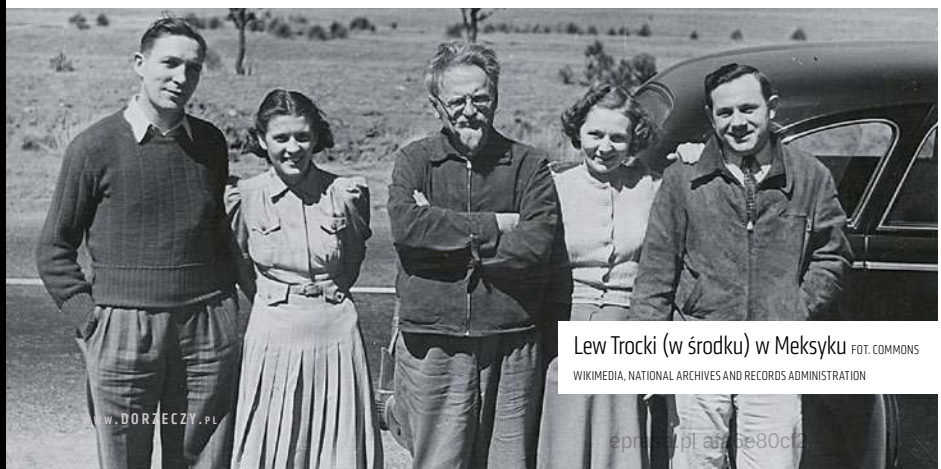
powstanie w Barcelonie. Na jego czele stanął Andres Nin, który wycofał jednostki wojskowe anarchistów z frontu, jako powód podając „samoobronę". W związku z tym Grygulewicz, wraz z dowodzonym przez siebie 10-osobowym oddziałem, został w trybie pilnym wysłany do Katalonii. Według wersji, którą pół wieku później nakreślił sam Grygulewicz, aresztowanie anarchistów (operacja „Nikołaj") zamieniło się w krwawą łaźnię. Andres Nin został aresztowany, zabrany do Madrytu i poddany torturom, a podczas przesłuchań Grygulewicz pełnił funkcję tłumacza.

Powstanie anarchistyczne w Barcelonie zostało stłumione w ciągu trzech dni. Sam Grygulewicz po latach tak opisywał tamten okres: „Nie życzę nikomu przez to przechodzić. Tam naprawdę zrozumiałem znaczenie słów »zwierzęcy uśmiech wojny domowej«. Kilka razy byłem o krok od śmierci. Nadal nie wiem, kto do mnie strzelał: nasi czy rebelianci. Wszyscy byli pomieszani, lekkomyślnie strzelali ze wszystkich stron. Podeszwy butów przyklejały się do bruku, który był mocno pokryty krwią. Panował ogólny szał, Hiszpanie to dzielni wojownicy, nikt nie chciał się poddać i dlatego nikt nie prosił o litość".

Kolejne „wielkie" osiągnięcie Grygulewicza w służbie sowieckiego wywiadu to zabójstwo Trockiego. Po zakończeniu wojny domowej w Hiszpanii NKWD skierowało go do Meksyku w celu opracowania planu zabójstwa największego wroga Stalina. Pod koniec 1939 r. „Felipe" (nowy meksykański pseudonim Grygulewicza) został pilnie wezwany do Moskwy. Był to czas, kiedy w ZSRS wciąż jeszcze szalał wielki terror i z całego świata do Moskwy wzywano działaczy Kominternu i agentów wywiadu tylko po to, by oskarżyć ich o zdradę i rozstrzelać. Niektórzy, np. Orłow, szef Grygulewicza podczas służby w Hiszpanii, odmówili powrotu i pozostali na Zachodzie. Inni w naiwnej wierze, że nic im się nie stanie, ponieważ byli wierni, wracali na własną zgubę. Grygulewiczowi, jak się okazało, nic jednak nie groziło – był zbyt ważny dla NKWD i Stalina.

W Moskwie przyjął go Ławrientij Beria, nowy szef NKWD, który zapoznał się z detalami planu zabójstwa Trockiego. Natomiast całą operację zatwierdził osobiście Stalin. W dokumentach „Archiwum Mitrochina" Grygulewicz został wymieniony jako przywódca i organizator zabójstwa Trockiego. Otrzymał za to swoje pierwsze sowieckie odznaczenie wojskowe – Order Czerwonej Gwiazdy.

Po zakończeniu operacji na rozkaz Moskwy Grygulewicza znów skierowano do Argentyny, tym razem jednak nie jako szeregowego szpiega, lecz jako rezydenta na całą Amerykę Łacińską. W czasie drugiej wojny światowej „Felipe" zasłużył na swoje drugie odznaczenie – Order Czerwonego Sztandaru. W Argentynie, Chile, Urugwaju i innych krajach Ameryki Łacińskiej zorganizował on dość aktywną siatkę dywersyjną zajmującą się wysadzeniem statków handlowych kierujących się do Niemiec. Moskwa dążyła w ten sposób do całkowitego zatrzymania wymiany handlowej między krajami Ameryki Łacińskiej a III Rzeszą.



Lew Trocki (w środku) w Meksyku FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

W.DORZECZY.PL

Daleka „rodzina" prezydenta

Obywatelstwo Kostaryki Grygulewicz i jego żona Laura (meksykańska komunistka) otrzymali w 1945 r. Jak do tego doszło? Otóż jednym z jego agentów był Joaquín Mangel, wicekonsul Kostaryki w Chile. Stworzył on nową legendę dla Grygulewicza – nieślubnego syna plantatora kawy z Alajueli (miasto w środkowej Kostaryce), którego matka zabrała do Chile i tam zamieszkała z nim na stałe. W ten sposób szpieg Stalina uzyskał paszport Kostaryki na nazwisko Teodoro Bonefil Castro. Dokument ten stał się dla Grygulewicza głównym paszportem na cały pozostały okres jego szpiegowskiej działalności.

Niemal cały 1948 r. rodzina Grygulewiczów-Castro spędziła w Moskwie, gdzie Józef poznawał nowe techniki pracy szpiegowskiej i wykładał również w tajnej szkole MGB. Za zasługi dla partii komunistycznej przyjęto go bez okresu kandydowania do WKP(b). Otrzymał również nowe bardzo ważne zadanie szpiegowskie, tym razem w Europie. Rodzinę Grygulewiczów-Castro skierowano jako obywateli Kostaryki do Rzymu. Tam udało się im nawiązać przyjacielskie kontakty z konsulatami Kostaryki i Urugwaju. Wywiad sowiecki nie żałował pieniędzy na zorganizowanie kostarykańskiemu obywatelowi biznesu w Europie. Ten biznes wykorzystano jako przynętę dla konsula generalnego Kostaryki dr. Antonia A. Facio Ulloa, który został wspólnikiem w rzekomo „rodzinnej" firmie Castro.

Objęcie przez Grygulewicza stanowiska ambasadora miało charakter niezwykły. W 1950 r. do Rzymu przybyła

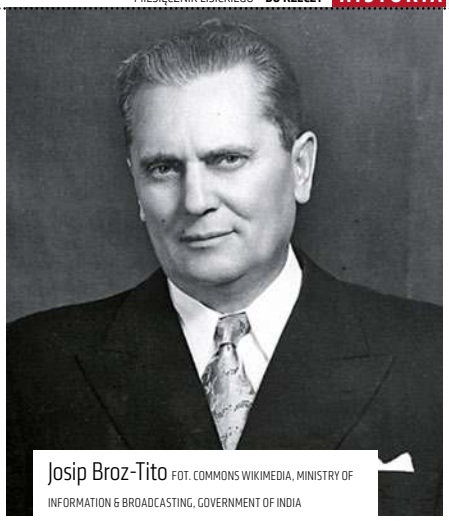


Paszport dyplomatyczny Teodora B. Castro i jego żony FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MINISTRY OF FOREIGN AFFAIRS, COSTA RICA

rządowa delegacja Kostaryki. Na jej czele stał były prezydent Luis Otilio Ulate Blanco, a w jej skład wchodzili także m.in. emerytowani ministrowie i ambasador Kostaryki we Francji. Grygulewicz nie miał możliwości skoordynowania swoich działań z Centrum w Moskwie i sam nawiązał kontakt z członkami delegacji. Pierwszym jego sukcesem było zorganizowanie audiencji Kostarykańczyków u papieża Piusa XII. Grygulewiczowi udało się również zaprzyjaźnić z prezydentem. Niespodziewanie ten wpływowy polityk ogłosił, że Teodoro Castro jest jego daleką rodziną (bratankiem męża ciotki jego matki). Wcześniej były prezydent, jak twierdził, zasięgał informacji na temat Castro we Włoszech, w Brazylii i Urugwaju, skąd miały do niego trafić jak najbardziej pochlebne opinie. W efekcie prezydent i sowiecki agent zostali współzałożycielami firmy sprzedającej w Europie kostarykańską kawę. Stosunkowo szybko obroty sięgnęły 300–350 worków miesięcznie, co przynosiło poważne dochody.

Konsul Urugwaju zapoznał Grygulewicza z Giuliem Pacellim, siostrzeńcem papieża, wpływowym bankierem i biznesmenem. Co ciekawe, piastował on także posadę nuncjusza w Kostaryce. Następnie Teodoro Castro zaczął zabiegać o otwarcie bezpośredniego połączenia na trasie Genua – Puerto Limón, co miało jeszcze bardziej zwiększyć dochody jego firmy.

W wyniku tych wszystkich działań Grygulewicz-Castro otrzymał propozycję objęcia stanowiska pierwszego sekretarza Konsulatu Generalnego Kostaryki, a wkrótce, gdy Castro zapewnił, że pokryje większość wydatków misji dyplomatycznej z własnych środków (czyli de facto ze środków MGB), wobec problemów budżetowych MSZ Kostaryki zaproponowano mu stanowisko ambasadora. Paszport dyplomatyczny, kody do prowadzenia tajnej korespondencji i dokumenty potwierdzające uprawnienia otrzymał w lipcu 1951 r. Został on także wyznaczony na delegata Kostaryki na Włosko-Amerykańską Konferencję Handlu Międzynarodowego w Padwie. Za nominacją stał ponownie wybrany na prezydenta Ulate Blanco. Złożenie listów uwierzytelniających prezydentowi Włoch odbyło się 14 maja 1952 r. Moment ten uznawany jest w licznych publikacjach (m.in. w „Archiwum Mitrochina") za szczytowe osiągnięcie wywiadu sowieckiego.



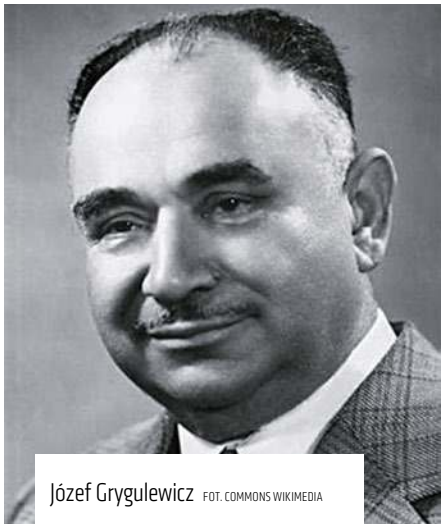
Josip Broz-Tito FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MINISTRY OF INFORMATION & BROADCASTING, GOVERNMENT OF INDIA

Spalony dyplomata

Rezydencja i biuro ambasadora mieściły się w prestiżowej dzielnicy Parioli. W tym czasie rząd Kostaryki był w stanie przeznaczyć jedynie 200 dol. miesięcznie na wydatki związane z działalnością ambasady – resztę pokrywał wywiad sowiecki. Wielkim sukcesem ambasadora Kostaryki było uzyskanie papieskiego błogosławieństwa dla prezydenta Ulate Blanco, który ucierpiał w wypadku drogowym.

Wkrótce Grygulewicz został mianowany ambasadorem Kostaryki w Jugosławii. I wtedy na dobre ruszyły przygotowania do zamachu na marszałka Titę. W drugiej połowie 1952 r. Grygulewicz dwukrotnie odwiedził Belgrad i nawiązał przydatne kontakty, m.in. pod kątem swoich włoskich interesów. Śmierć Stalina 5 marca 1953 r. oznaczała odwołanie planów zabójstwa. Wręczenie listów uwierzytelniających odbyło się 25 kwietnia 1953 r. w Białym Pałacu w Belgradzie. Teodoro B. Castro odbył wówczas półgodzinną rozmowę z marszałkiem Titą.

Wkrótce jednak kariera dyplomatyczna sowieckiego szpiega legła w gruzach. Rząd Kostaryki oficjalnie odwołał swego ambasadora we Włoszech i w Jugosławii 16 stycznia 1954 r. Powodem było nagłe zniknięcie Castro po tym, jak 5 grudnia 1953 r. wysłał telegram do Ministerstwa Spraw Zagranicznych Kostaryki, informując, że stan zdrowia jego żony Laury wymaga pilnego wyjazdu do Szwajcarii. Powodem zamieszenia było to, że na ślad Grygulewicza trafiło CIA. Według dokumentów z Archiwów Narodowych



Józef Grygulewicz FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Kostaryki małżeństwo Castro opuściło Rzym 10 grudnia 1953 r. i na zawsze rozpłynęło się w powietrzu...

A jak było naprawdę? W rzeczywistości Grygulewiczowie przeżyli w Związku Sowieckim jeszcze wiele lat. Józef został zatrudniony w Akademii Nauk ZSRS, gdzie był jednym z czołowych specjalistów do spraw Ameryki Łacińskiej i napisał na ten temat wiele książek. Uparcie jednak podkreślał przy każdej nadarzającej się okazji swą karaimską tożsamość. Często odwiedzał rodzinne Troki, opiekował się grobem matki i innych bliskich, zaprzyjaźnił się z Siergiejem Szapszałem, wieloletnim duchowym przywódcą trockich Karaimów. Zajmował się studiowaniem historii i kultury własnego narodu, tak jakby nigdy nie był czołowym sowieckim szpiegiem. Józef Grygulewicz zmarł w Moskwie w 1988 r.



© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2



Wejście do kopalni „Wujek", grudzień 1981 r.
FOT. IPN

1981–2020 / Walka o ukaranie zabójców

Hańba Temidy III RP



Sebastian Reńca

Proces górników z kopalni „Wujek" trwał kilka dni, natomiast procesy zomowców – kilkanaście lat. Nikt z komunistycznej wierchuszki nie odpowiedział za zmasakrowanie górników, co na zawsze pozostanie hańbą wymiaru sprawiedliwości III RP

W przededniu kolejnej rocznicy pacyfikacji strajku w katowickiej kopalni „Wujek", 13 grudnia 2019 r., zapadł wyrok w sprawie Romana S., byłego funkcjonariusza plutonu specjalnego ZOMO, który brał udział w tłumieniu strajków w kopalniach „Wujek" i „Manifest Lipcowy". Sąd skazał Romana S. na siedem lat więzienia. Z powodu amnestii wymierzona kara została zmniejszona o połowę. 19 czerwca 2020 r. Sąd Apelacyjny w Katowicach uznał, że sąd pierwszej instancji prawidłowo ocenił zebrany materiał dowodowy, i utrzymał wyrok.

Na procesie i skazaniu Romana S. zakończyła się sprawa ukarania ludzi, którzy strzelali do górników, strajkujących na wieść o zatrzymaniu Jana Ludwiczaka, przewodniczącego Solidarności, w kopalni „Wujek". Funkcjonariusze, stojąc na rampie magazynu odzieżowego, otworzyli ogień do setek górników zgromadzonych na placu przed kopalnianą kotłownią. Strzelali z pistoletów maszynowych PM-63 Rak. Jak sami mówili ternikom – Jackowi Jaworskiemu i innym – strzelali „w łeb i na komorę", a górnicy „tak fajnie padali jak ludziki na strzelnicy – strzał i ludzik znikał!". Na miejscu zginęło sześciu górników, trzech kolejnych zmarło w szpitalach, a 23 zostało postrzelonych. Załogi karetek pogotowia, które ewakuowały rannych i zatrutych gazem górników, były narażone na zatrzymanie i bicie przez zomowców.

Pierwsze strzały

O ile kolejne sądy po wielu latach skazały zomowców, o tyle nikt z komunistycznej wierchuszki nigdy nie odpowiedział za strzały w kopalni „Wujek" – ani Wojciech Jaruzelski, ani Czesław Kiszczak, ani Jerzy Gruba, ówczesny komendant wojewódzki Milicji Obywatelskiej w Katowicach (zmarł w 1991 r.).

eprasa.pl afa6e80cf2



Czołg przygotowuje wyłom w murze kopalni „Wujek”
FOT. IPN

Jedno jest pewne: 16 grudnia 1981 r. ktoś zdecydował o tym, by wysłać do tłumienia strajku funkcjonariuszy plutonu specjalnego ZOMO, wyposażonych w pistolety maszynowe z ostrą amunicją. Stało się to dzień po tym, jak w Jastrzębiu-Zdroju pluton specjalny pokazał, że jest zdolny do użycia broni. Pomimo tego świetnie wyszkoleni zomowcy otrzymali rozkaz, by wejść na teren kopalni, gdzie emocje strajkujących sięgały zenitu.

Wkrótce po pacyfikacji strajku sprawa „Wujka” trafiła po raz pierwszy na salę sądową. Sąd był wojskowy, a oskarżono nie tych, którzy strzelali, lecz tych, którzy strajkowali. Było ich dziewięcioro – ośmiu mężczyzn i jedna kobieta. Ich proces przed Sądem Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu na sesji wyjazdowej w Katowicach rozpoczął się w środę 3 lutego 1982 r., a zakończył wyrokiem ogłoszonym już 9 lutego. Sąd w składzie: przewodniczący kpt. Antoni Kapłon, mjr Maciej Harlender i kpt. Janusz Lipka skazał czterech górników z kopalni „Wujek” na kary od trzech do czterech lat więzienia, cztery osoby uniewinniono, a postępowanie wobec jednego oskarżonego zostało umorzone.

Najwyższy wyrok usłyszał Stanisław Płatek: cztery lata więzienia i pozbawienie praw publicznych na okres trzech lat. Jerzy Wartak został skazany na 3,5 roku za kratami oraz pozbawienie praw publicznych na trzy lata. Adama Skwirę i Mariana Głucha sąd skazał na trzy lata więzienia i pozbawienie praw publicznych na dwa lata. Kary były jednak niewielkie w porównaniu z tymi, których żądała dla oskarżonych prokuratura wojskowa: od 7 do 15 lat więzienia, odebranie praw publicznych na okres od 4 do 10 lat i grzywny od 10 do 40 tys. zł.

Prokuratorzy w kopalni

Pułkownik Jerzy Gruba telefonicznie poinformował szefa MSW Czesława Kiszczaka o zabitych i rannych. Tego samego dnia, 16 grudnia, po południu, ok. godz. 15–16, prokurator płk Waldemar Wilk z Naczelnej Prokuratury Wojskowej, w towarzystwie dwóch innych prokuratorów, przyjechał do kopalni „Wujek”. „Dokonaliśmy na miejscu zabezpieczenia zwłok poległych górników, ustaliliśmy ich dane, odbyliśmy rozmowę z dyrektorem kopalni i udaliśmy się do katowickich szpitali, gdzie przebywali zranieni górnicy” – zeznawał po latach Waldemar Wilk.

Prokurator Janusz Brol z Prokuratury Garnizonowej w Gliwicach pojechał do kopalni dzień później. Chodził po „Wujku” w towarzystwie milicjanta, który sporządzał dokumentację fotograficzną.

„Wykonanie czynności efektywnych nie było możliwe z uwagi na upływ czasu, dynamikę zdarzeń oraz z uwagi na fakt, iż przemieszczały się tam tysiące ludzi. Usiłowałem znaleźć jakieś łuski, co praktycznie okazało się niemożliwe. Również agresywne zachowanie osób, które przebywały jeszcze na terenie kopalni, nie pozwalało nam na wykonanie szeregu czynności” – zeznawał Janusz Brol w 2001 r.

Prokurator Brol po raz drugi był w kopalni w towarzystwie funkcjonariuszy Wojskowej Służby Wewnętrznej. Dostał rozkaz wywiezienia z kopalni wszystkiego, co służyło górnikom w obronie zakładu pracy. W katowickiej delegaturze WSW zabezpieczono m.in. metalowe łomy, pręty, rury, styliska od kilofów.

Od początku śledztwa wiedziano, że strzelali funkcjonariusze plutonu specjalnego ZOMO. Prokurator Brol pojechał na teren jednostki, gdzie oglądał magazyn broni. Dopiero blisko tydzień po pacyfikacji „Wujka” Brol zwrócił się do komendanta wojewódzkiego MO z poleceniem, by pistolety PM-63, będące na stanie plutonu specjalnego, zostały wysłane do Zakładu Kryminalistyki KG MO.

W piśmie prokurator podał numery seryjne 25 pistoletów, choć na stanie plutonu specjalnego było ich 26. Różnica wynikała stąd, że – jak napisał Brol – w skład plutonu specjalnego wchodziło 25 funkcjonariuszy. Dziewiętnastu z nich przyznało się do wystrzelenia w sumie 156 sztuk amunicji. Ekspertyza miała wykazać egzemplarze broni, „z których oddano strzały rażące ludzi, w ciałach których je znaleziono”.

Sprawozdanie z przeprowadzonych badań było gotowe 12 stycznia 1982 r. Na materiał dowodowy składały się trzy łuski kal. 9 mm oraz pięć pocisków od naboi pistoletowych kal. 9 mm. Materiałem porównawczym było 26 pistoletów PM-63. Trzy łuski przypisano konkretnym pistoletom, ale tego samego nie udało się zrobić w kontekście pocisków. Prokuratorzy przesłuchali zomowców, którzy napisali też oświadczenia w sprawie wydarzeń z 16 grudnia 1981 r. W czasie kolejnego procesu po 1989 r. jeden z funkcjonariuszy plutonu specjalnego, składając zeznania przed sądem, stwierdził, że „sposób przesłuchiwania przez prokuratorów, w mojej ocenie towarzyski, wskazywał, że faktycznie sprawa skończy się umorzeniem”.

20 stycznia 1982 r. Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w Gliwicach umorzyła śledztwo „w sprawie dotyczącej użycia broni palnej przez funkcjonariuszy MO w dniu 16 XII 1981 r. na terenie KWK »Wujek« w Katowicach”. W uzasadnieniu napisano m.in., że funkcjonariusze plutonu specjalnego strzelali do strajkujących, starając się kierować strzały w górę, ale „zeznaniom tym, w części oddania strzałów w górę przez wszystkich funkcjonariuszy MO nie można dać w pełni wiary, bowiem przeczą temu skutki, do jakich użycie broni doprowadziło. Jednakże w toku śledztwa nie zdołano zebrać dowodów, w oparciu o które można by przyjąć, który z funkcjonariuszy oddał strzał w górę, a który będąc nawet subiektywnie o takim kierunku strzału przekonany, strzelał na wprost. Niemniej jednak w świetle poczynionych w sprawie ustaleń i ocen prawnych użycia broni okoliczność ta ma znaczenie drugorzędne”. Prokuratura

eprasa.pl afa6e80cf2

podkreślała, że funkcjonariusze strzelali „w celu odparcia bezprawnego i bezpośredniego zamachu, realnie zagrażającego zdrowiu i życiu".

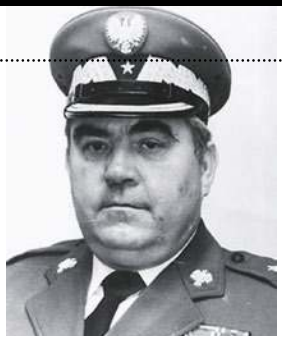
Pierwszy proces

Sprawa strzałów, które padły podczas pacyfikacji strajków w kopalniach „Wujek" oraz „Manifest Lipcowy", mogła zostać rozpatrzona przez sąd dopiero po 1989 r. Swego rodzaju preludiom do tego, by funkcjonariusze z plutonu ZOMO zasiedli na ławie oskarżonych, była działalność Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do Zbadania Działalności MSW, od nazwiska jej przewodniczącego zwana tzw. komisją Rokity. Działała ona w latach 1989–1991 i zajmowała się m.in. zbrodnią, do której doszło 16 grudnia 1981 r. w kopalni „Wujek". 8 października 1991 r. Prokuratura Wojewódzka w Katowicach wszczęła na wniosek „komisji Rokity" postępowanie w sprawie pacyfikacji strajków w dwóch śląskich kopalniach.



Łuski zebrane pod kopalnią „Wujek" FOT. J. MACHNIK/PAP

Pierwszy proces zomowców z katowickiego plutonu specjalnego, który wzbudził największe emocje, rozpoczął się 10 marca 1993 r. przed Sądem Wojewódzkim w Katowicach. Na ławie oskarżonych zasiadło 23 z nich. W pierwszym dniu procesu na sali rozpraw byli obecni wszyscy oskarżeni. Mieli odpowiadać „z art. 148 KK (Kto zabija człowieka…), za który grozi wyrok od 8 lat pozbawienia wolności do najwyższego wymiaru kary – relacjonowała reporterka Maria Szcześniak. – Dwudziestu oskarżonych to funkcjonariusze plutonu specjalnego ZOMO, którzy odpowiadać będą z art. 158 (Kto bierze udział w bójce lub pobiciu) i art. 159 (Jeśli następstwem jest śmierć). Przewidywane kary od 6 miesięcy do 15 lat więzienia. Generał Czesław Kiszczak, który nie stawił się na procesie, odpowiadać będzie z art. 140 (Kto sprowadza niebezpieczeństwo powszechne dla życia lub zdrowia…) – przewidywana kara – od 2 do 10 lat pozbawienia wolności".



Jerzy Gruba, komendant wojewódzki MO w Katowicach FOT. POLICJA. GOV.PL

Groźba przedawnienia

Po kilku miesiącach od pierwszej rozprawy dziennikarze zwracali uwagę na to, że za trzy lata sprawa strzałów w kopalni „Wujek" ulegnie przedawnieniu, a oskarżeni o zbrodnię „grają na zwłokę", a „ułatwieniem w przeciąganiu sprawy jest postawa Sądu Wojewódzkiego w Katowicach". W tym czasie tymczasowo aresztowani byli już na wolności. Wyłączoną do odrębnego postępowania sprawą Kiszczaka miał się zająć Sąd Wojewódzki w Warszawie.

Z końcem stycznia 1994 r. sąd zakończył przesłuchiwanie oskarżonych. Jeżeli już cokolwiek mówili, to tylko tyle, że nie było rozkazu użycia broni, natomiast oddawali strzały w powietrze, gdy usłyszeli, że inni strzelają, by odstraszyć górników i pokazać, że „to nie są żarty". Kwestionowali przy tym prawdziwość oświadczeń, które sporządzili na potrzeby prokuratury wojskowej w 1981 r., a jadąc na akcję, jak twierdzili, „broń pobierali jak leci".

Podczas 13. rocznicy pacyfikacji strajku w kopalni „Wujek" Stanisław Płatek, przemawiając pod pomnikiem Krzyżem Dziewięciu Górników, domagał się sprawiedliwości. Marian Krzaklewski, przewodniczący Solidarności, również apelował do polityków, „aby przyczynili się do szybkiego osądzenia winnych tragedii w kopalni »Wujek«". Krzaklewski mówił też, że „związek zabiega o dokonanie zmian w kodeksie karnym, uznających zbrodnie stanu wojennego, jako zbrodnie przeciwko ludzkości. Przez to nie ulegną przedawnieniu".

Tymczasem w Warszawie sędzia Wiktor Wasiluk zrezygnował z prowadzenia sprawy oskarżonego Kiszczaka i 10 stycznia 1995 r. jego proces rozpoczął się od nowa.

W marcu minęły dwa lata od rozpoczęcia procesu zomowców. Do tego momentu sąd przesłuchał ponad 150 świadków obrony. 7 kwietnia 1995 r. związkowcy tłumnie przybyli na kolejną rozprawę. Było ich ponad 100, wśród nich byli m.in. przewodniczący Komisji Krajowej Marian Krzaklewski oraz Marek Kempski, przewodniczący regionu. Rozprawa jednak nie odbyła się z powodu nieobecności oskarżonego Romualda C. „W czasie przerwy związkowcy wznosili pod adresem nieobecnych już na sali oskarżonych okrzyki: »Sprawiedliwość!« oraz »Mordercy do więzienia!«" – pisał katowicki korespondent „Rzeczpospolitej".

W dziennikarskich relacjach pojawiały się informacje o butnym zachowaniu oskarżonych. Reporterka „Tygodnika Solidarność" tak to oceniała: „Tymczasem oskarżeni swoje pogróżki zaczynają zamieniać w czyny. Ostatnio próbowali pobić jednego z fotoreporterów, który chciał im zrobić zdjęcie na korytarzu. Dziwne, że ci »bohaterowie« nie reagowali na taką samą sytuację wtedy, gdy w sądzie było 200 związkowców".

Kiedy po wakacjach wznowiono proces, „Tygodnik Śląsko-Dąbrowski" pisał w jednej z relacji o oskarżonych: „Podczas rozpraw tradycyjnie niektórzy z oskarżonych najspokojniej w świecie śpią, opierając głowy o ławki lub ściany. Potem na korytarzu słychać ich narzekanie, że ławki za twarde, że niewygodne. Inni już na początku wyjmują gazety, które wędrują z rąk do rąk. Czasem ława oskarżonych bawi się doskonale, czasem komentuje pytania pełnomocników oskarżycieli posiłkowych lub wypowiedzi świadka. Bywa, że oskarżeni z ożywieniem dyskutują lub rozwiązują krzyżówki. Sąd nie reaguje na takie zachowanie".

Gdy 15 maja 1996 r. przed katowickim sądem zeznawał Wojciech Jaruzelski, gmach sądu był strzeżony przez wzmocnione siły policyjne. Mecenasowi Leszkowi Piotrowskiemu „skład sędziowski,

eprasa.pl afa6e80cf2

uchylając seryjnie pytania, nie pozwolił udowodnić, że świadek W. Jaruzelski jest niewiarygodny" – pisała Maria Szcześniak. Zeznający w tym samym miesiącu w Katowicach Jan Maria Rokita powtórzył tezę, którą wypowiedział przed warszawskim sądem, że w kopalni „Wujek" „dokonano zaplanowanego morderstwa". Do końca maja 1996 r. zeznania złożyło 254 świadków i postępowanie dowodowe zbliżało się do końca.

Kiszczak – obrońca państwa

Gdy przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie kończył się proces Czesława Kiszczaka, on sam poprosił w swojej przemowie o wyrok uniewinniający. „W 1981 r. broniłem polskiego państwa, gdyż groził mu rozpad i anarchia, a ze strony sąsiadów interwencja zbrojna" – przekonywał Kiszczak. Prokurator żądał dla oskarżonego dwóch lat w zawieszeniu na cztery lata. Kiszczak został jednak uniewinniony, ponieważ sąd uznał, że nie ma związku pomiędzy tym, co się stało 16 grudnia 1981 r. w kopalni „Wujek", a szyfrogramem z 13 grudnia 1981 r. wysłanym do jednostek milicji, w którym określono zasady użycia broni w czasie „odblokowywania" zakładów pracy.

W styczniu 1997 r. obrońca 14 oskarżonych złożył wniosek o umorzenie postępowania przeciwko jego klientom, ale Sąd Wojewódzki go odrzucił. Sąd stwierdził, że zarzucane im czyny należą do kategorii przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, które zagrożone są karą powyżej trzech lat więzienia.

W lutym 1997 r. Prokuratura Wojewódzka w Katowicach i pełnomocnicy oskarżycieli posiłkowych wnieśli o rewizję sprawy Kiszczaka, który 29 lipca 1996 r. został uniewinniony.

12 marca „Sąd Apelacyjny w Warszawie postanowił zwrócić się do Sądu Najwyższego o wykładnię przepisów kodeksu karnego, która rozstrzygnęłaby, czy czyn zarzucany gen. Czesławowi Kiszczakowi podlega przedawnieniu czy nie" – brzmiała depesza PAP. Sąd Najwyższy uznał w końcu, że były szef MSW może być sądzony za przyczynienie się do śmierci dziewięciu górników.



Krzyż w Katowicach upamiętniający masakrę górników w kopalni „Wujek"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ADRIAN TYNC

W kwietniu prokurator zażądał dla oskarżonych maksymalnych kar – od 8 do 15 lat pozbawienia wolności. Publiczność przyjęła jego słowa oklaskami. Pełnomocnicy oskarżycieli posiłkowych, przemawiając przed sądem, mówili, że wina oskarżonych jest bezsporna.

Obrońcy domagali się uniewinnienia swoich klientów. Mecenas Jerzy Feliks wyraził opinię, że sądzeni są tylko „ludzie z jednej strony", a według niego winnych śmierci jest co najmniej dwóch górników, którzy nie mogli wykluczyć, że kontynuowanie strajku doprowadzi do tragedii. Inny adwokat ocenił, że „sądzony jest ustrój, a przecież nikt do tej pory oficjalnie nie stwierdził, że był on sprzeczny z prawem". Ponadto jego klient „jest funkcjonariuszem do tej pory, czy zatem i dzisiaj można od niego wymagać zastawiania się, czy kolejny rozkaz jest słuszny".

21 listopada 1997 r. zapadł wyrok. Sąd uniewinnił 11 byłych funkcjonariuszy plutonu specjalnego ZOMO. Wobec pozostałych umorzono postępowanie. Obecna na sali publiczność skwitowała wyrok okrzykami: „Hańba! Strzelać do ludzi i nie ma winnych! Sąd pod sąd!!!".

Procesów ciąg dalszy

W maju 2001 r., w trakcie drugiego procesu, Czesław Kiszczak powiedział m.in.: „Do winy nie poczuwam się. Prawa nie naruszyłem. Oskarżenia nie rozumiem". Ostatecznie, po czterech procesach, w 2011 r. Sąd Okręgowy w Warszawie uniewinnił Czesława Kiszczaka w sprawie strzałów w kopalni „Wujek".

Po apelacji złożonej przez prokuraturę oraz oskarżycieli posiłkowych Sąd Apelacyjny w Katowicach zdecydował o powtórzeniu procesu zomowców ze względu na błędy proceduralne. Kolejna batalia ruszyła w październiku 1999 r. i zakończyła się po ponad dwóch latach i 82 rozprawach. W październiku 2001 r. oskarżeni funkcjonariusze plutonu specjalnego ZOMO zostali uniewinnieni.

W lutym 2003 r. Sąd Apelacyjny w Katowicach uchylił wyrok z 2001 r. z powodu błędów formalnych. Trzeci proces funkcjonariuszy plutonu specjalnego ZOMO ruszył we wrześniu 2004 r. Na ławie oskarżonych zasiadło 17 osób.

Wyrok w sprawie zomowców, którzy brali udział w pacyfikacji, zapadł w maju 2007 r. Sąd uznał za winnych 15 oskarżonych. Uniewinniono Mariana Okrutnego, byłego zastępcę komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej w Katowicach. Karę w wymiarze 11 lat więzienia otrzymał dowódca plutonu specjalnego ZOMO – Romuald Cieślak. Sąd uznał, że dał on sygnał do otwarcia ognia w kierunku górników. Jego 14 podwładnych skazano na karę pozbawienia wolności od 2,5 roku do 3 lat.



Mural w Katowicach upamiętniający zabitych górników
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ADRIAN TYNC

W czerwcu 2008 r. sprawę funkcjonariuszy plutonu specjalnego ZOMO ponownie rozpatrywał Sąd Apelacyjny w Katowicach. Tym razem prawomocnie skazał 14 oskarżonych i wymierzył im kary od 3,5 do 4 lat więzienia. Jednak dowódcy plutonu specjalnego ZOMO, Romualdowi Cieślakowi, złagodzono wówczas karę z 11 do 6 lat więzienia. Ostateczny wyrok zapadł w kwietniu 2009 r. Sąd Najwyższy oddalił wniesione kasacje obrony, uznając je za niezasadne, a wyroki sądów niższych instancji – za zgodne z prawem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2



Przygotowania do uczty kanibali na wyspie Tanna (Vanuatu)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CHARLES E. GORDON FRAZER

XX w. / Naukowców zmagania z kanibalizmem

Sok z człowieka



Jakub Ostromęcki

Opisywanie odrażającego obyczaju antropofagii to według niektórych badaczy „narzędzie białej supremacji". Badania antropologów i archeologów nie pozostawiają jednak wątpliwości: dzikie ludy dokonywały makabrycznych zbrodni zarówno na obcych, jak i na swoich

Ośnieżone zbocza wulkanu Tinguiririca w Andach, Sofijówka, Amazonia, Plainfield w stanie Wisconsin, Fidżi, hrabstwo Somerset. Miejsca te mają jedną wspólną cechę – na przestrzeni dziejów dochodziło tam do aktów kanibalizmu. Okoliczności i przyczyny były oczywiście różne. W Andach w 1972 r. zdesperowani rozbitkowie zaczęli jeść ciała zmarłych towarzyszy. W Sofijówce na Ukrainie w latach 30. do kanibalizmu zmusił ludzi zbrodniczy system. Na farmie w Plainfield mieszkał Ed Gein, psychopata pożerający w latach 50. ciała zamordowanych kobiet. W Nowej Gwinei i Amazonii do XX w. jedzono ludzi, ponieważ tak stanowiły normy tamtejszej kultury. Natomiast w hrabstwie Somerset kilka tysięcy lat temu robiono to za karę.

Antropofagia, kanibalizm czy po prostu ludożerstwo – zjadanie drugiego człowieka przyjmuje różne formy. Jeśli pożerani są przedstawiciele własnej społeczności, to mówimy o endokanibalizmie; jeśli jednak zjadamy obcych lub wrogów – to dokonujemy egzokanibalizmu. Natomiast konsumowanie zmarłych z przyczyn naturalnych to nekrofagia.

Nasza cywilizacja do kanibalizmu odnosi się różnie. Ed Gein nie skończył na krześle elektrycznym tylko dlatego, że mordował i mieszkał w liberalnym stanie – zamknięto go dożywotnio w szpitalu dla chorych psychicznie. Ofiary głodu czy katastrof posuwające się do kanibalizmu spotykają się na ogół ze zrozumieniem i z miłosierdziem. Nie akceptujemy natomiast antropofagii, którą praktykuje się z powodów magicznych, gustów kulinarnych lub jako środek represji.

Dla prymitywnych społeczeństw kanibalizm był rodzajem frazerowskiej magii sympatycznej – skoro bogowie pożerali się nawzajem, aby mogły rosnąć zboża, to czynić tak powinni również ludzie. Bardzo rozpowszechniony był też pogląd, że zjadanie pokonanego wroga pozwala przejąć jego odwagę, spryt, mądrość czy jurność. Albo też poniża przeciwnika i niszczy jego żądnego zemsty ducha, który nie będzie już niepokoił zwycięzców. Kanibalizm bywał też elementem kultury, jak choćby w przypadku mieszkańców Fidżi, gdzie ludzkie mięso jedzono po prostu dla smaku.

Ludzki sok

Europejscy misjonarze i odkrywcy opisali najbardziej drastyczne i groteskowe formy kanibalizmu. Cubeo mieszkający na pograniczu Brazylii i Kolumbii ucztowali na ciałach swoich zabitych wrogów z innych plemion. Odcinali im genitalia i w czasie rytualnego tańca w geście triumfu przywiązywali je do własnych narządów. Dopiero po tej uroczystości zabijali jeńców i zjadali ich ciała. Żyjący w dorzeczu Amazonii Pakkura karmili swoich jeńców słodkimi owocami, by stali się smaczniejsi.

Jeden z bardziej przerażających rytuałów opisał w XXI w. Neil Whitehead, angielski antropolog badający zwyczaje

eprasa.pl afa6e80cf2

ludów Gujany, który swoich badawczych pasji omal nie przypłacił życiem, gdy miejscowi próbowali go otruć. Tamtejsi szamani praktykowali rytuał zwany kanaima. Motywy ich odrażających zabiegów nie są do końca zrozumiałe. Szaman znieczulał i paraliżował jadem pobitą ofiarę, wbijając kolce w jej język i... odbyt. Poszerzał go potem za pomocą noży i gałązek, wsadzając do jelita zioła i owoce. Śmierć następowała z powodu odwodnienia. Ukryte w ziemi ciało było potem po dłuższym czasie nakłuwane kijkiem – jeśli ciekł z niego „słodki" sok, znaczyło to, że zabieg będący – jak określił Whitehead – „wyrazem ekspresji" i „rytualizacją jedzenia" się udał.

Prawdziwym centrum światowej antropofagii był pogrążony w permanentnych wojnach plemiennych archipelag Fidżi. Misjonarz David Cargill opisywał, że w mordowaniu i okaleczaniu jeńców, w tym dzieci, brały udział również dzieci zwycięzców, strzelając do ofiar z łuków, co miało być formą treningu. Innych jeńców pozbawiano życia, wieszając ich na masztach łodzi i czekając, aż umrą z wyczerpania. Najmniej szczęścia mieli ci, którym odrąbano kończyny i odcięto języki, pozostawiając ich jednak przez pewien czas przy życiu. Ludzkiego mięsa miało być tak dużo, że cała wioska pełna była odciętych fragmentów ludzkiego ciała. Ludożercze uczty z rzadka przybierały formy magicznych obrzędów, bardziej przypominając wydarzenia kulturalno-polityczne. Podobne tortury wobec jeńców stosowali mieszkańcy Markizów. Najpierw łamali im kończyny, po czym skakali po ich klatkach piersiowych, zgniatając żebra, a na końcu wbijali ich na pale i dopiero potem opiekali ciała nad ogniem. Praktyki te stosowane były aż do drugiej połowy XIX w.

Mieszkańcom Fidżi i Markizów dorównywali w okrucieństwie Papuasi, u których jednak antropofagia miała raczej charakter magiczno-obrzędowy. Jeńcom było oczywiście wszystko jedno, z jakiego powodu są torturowani i zjadani. Papuasi wycinali im kawałki ciała, spożywając je etapami i utrzymując ofiary w agonii nawet kilka dni. Papuasi byli zarówno endo-, jak i egzokanibalami. Zdarzało się bowiem, że zjadali niedołężnych starców, oszczędzając im jednak tortur. Nowa Gwinea to wyspa, gdzie kanibalizm, praktykowany okazjonalnie, utrzymywał się najdłużej, bo aż do... XXI w.

Arens broni dzikich

Od początku wielkich odkryć geograficznych do Europy docierały przerażające wieści o ludożercach czających się na każdej tropikalnej wysepce, w każdym zakątku amazońskiej dżungli, afrykańskiej sawannie czy na niedostępnych wzgórzach Nowej Gwinei. Kanibalizm miał być nieodłącznym elementem życia dzikich niezależnie od szerokości geograficznej. Wizja przerażająco pomalowanych, półnagich istot przygotowujących się do konsumpcji europejskich badaczy i podróżników w korkowych kapeluszach trafiła do mieszczańskich bibliotek, gazet i książek dla młodzieży od San Francisco aż do Wilna.

W 1979 r. amerykański profesor antropologii William Arens w swojej książce „Mit ludożercy" spróbował wywrócić do góry nogami tę zdającą się stać na solidnym fundamencie konstrukcję, kwestionując metody badania zjawiska antropofagii, przekazy źródłowe i interpretacje archeologów. Według Arensa kanibalizm, z natury odrzucany przez ludzi, był rodzajem powszechnej obelgi, oskarżenia stosowanego od zarania ludzkości wobec wrogów lub obcoplemieńców. Na co dzień pomagała ona skonsolidować własną grupę, strasząc tych, którzy myślą o opuszczeniu jej, wizją wpadnięcia w łapy ludożerców czyhających za rzeką. Ponadto opowieści o kanibalach miały motywować tchórzy do bronienia wioski. W przypadku Europejczyków wytykanie prymitywnym ludom kanibalizmu miało służyć za pretekst do ich podboju, do niesienia kaganka oświaty. Jak przekonywał Arens, im bardziej ktoś opierał się cywilizacyjnej misji białych, tym częściej był przez nich nazywany kanibalem.

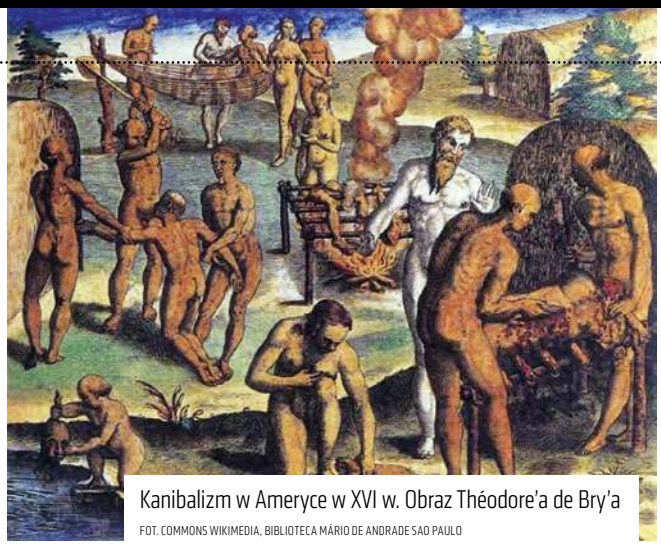
Arens zarzucił też badaczom mylenie mitów wymarłych ludów z rzeczywistością, gdzie ludożercze praktyki bogów i demonów utrwalone w sztuce brane były za prawdziwe ucztowanie na ludzkim mięsie. Amerykański antropolog kwestionował również wyniki badań archeologów, charakterystyczne nacięcia na kościach i odsłonięty szpik biorąc za wynik magicznych obrzędów, a nie kanibalizm.

Czołowy zarzut Arensa wobec antropologów brzmi: „Nie byliście przy oprawianiu i jedzeniu ciał". Jedna z cytowanych przez niego autorek miała przyjąć za pewnik, że proszek mieszany przez tubylców z roztrzaskaną kołyską i kukurydzą to starte kości noworodka. Innemu australijskiemu antropologowi wytknął, że na dowód kanibalizmu



Kanibale i szczątki ludzkie – potworny skutek klęski głodu w Związku Sowieckim w 1921 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl afa6e80cf2



Kanibalizm w Ameryce w XVI w. Obraz Théodore'a de Bry'a

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTECA MÁRIO DE ANDRADE SAO PAULO

praktykowanego ponoć przez jedną ze społeczności posłużył się tyleż niebywałą, co obrzydliwą i groteskową historią przekazywaną tam od pokoleń. Otóż pewien mężczyzna miał kopulować ze zwłokami kobiety, podczas gdy jego żona oprawiała je przed pieczeniem. Żona kucharka miała ćwiartować ludzką tuszę tak zapamiętale, że wraz z kawałkiem ciała zmarłej odcięła mężowi penisa. Niezrażona kobieta miała wówczas zjeść mężowski organ na surowo...

Według Arensa wielu dawnych misjonarzy i podróżników cytowało domniemane rozmowy dzikich ludożerców, nie znając kompletnie ich języka. Tak właśnie postąpił w swojej relacji niemiecki żeglarz Hans von Staden, więziony przez południowoamerykańskie plemię Tupinamba. Ówcześni antropolodzy zbytnie zaufanie pokładali z kolei w tłumaczach, co miało rodzić nadinterpretacje i nieporozumienia.

Arens wytykał też europejskiej nauce, że za bzdurę uznaje rewelacje Tacyta o kanibalizmie chrześcijan czy takie same wymysły średniowiecznej tłuszczy na temat Żydów, jednocześnie za pewnik biorąc relacje podróżników z tropików. Arens deprecjonuje źródła z początku epoki kolonializmu. Skoro Krzysztof Kolumb w swoich listach zmyślał na temat humanoidów mających rybie ogony, to i jego relacja o ludożerstwie wśród plemion karaibskich musiała być niedorzeczna. Według słynnego dominikanina Bartoloméa de la Casasa, który towarzyszył Kolumbowi podczas jednej z wypraw, sam wielki odkrywca miał nie wierzyć w kanibalizm praktykowany na Karaibach, ale pisał o nim, by mieć pretekst do dalszych podbojów. Arens bardzo wiele miejsca poświęcił Aztekom. Nie kwestionował ich okrutnych rytuałów ofiarnych, ale wskazał, że im mniej świadek wiedział o wyprawie Cortéza, tym chętniej mówił o kanibalizmie.

Tezy Arensa spotkały się ze sprzeciwem reszty antropologów. Zgadzali się oni, że przy ocenie źródeł trzeba być ostrożnym i nie ulegać sensacji w poszukiwaniu dowodów kanibalizmu w każdej możliwej amazońskiej wiosce, jednak zarzucili autorowi wiele kardynalnych błędów, np. atakowanie źródeł i opracowań za stwierdzenia, które w nich nie padły, a także ignorowanie części niezależnych od siebie źródeł, które potwierdzały występowanie kanibalizmu, np. u południowoamerykańskich Tupinamba czy wśród północnoamerykańskich Irokezów. Czołowy argument o braku bezpośredniej obserwacji zbito dosadnie, ale celnie: mało który z badaczy widział na własne oczy seks pierwotnych plemion, niemniej takie sytuacje są opisywane przez poważnych naukowców.

Przekonując niedowiarków

„Mit ludożercy" znalazł jednak wielu admiratorów. Wszak od lat 60. XX w. europejskie i amerykańskie elity intelektualne, chcąc zmazać hańbę kolonializmu, zaczęły reagować alergicznie na każdą wzmiankę o antropofagii wśród ludów pierwotnych, uważając to za rasistowską próbę wykazywania wyższości białej cywilizacji. W USA najgłośniejszą tego typu sprawą było odkrycie w 1994 r. masakry w Cowboy Wash w południowym Kolorado, gdzie w XII w. rezydowali Indianie Anasazi, zwani też przodkami Pueblo. Wszystkie ślady masowego mordu wskazywały na kanibalizm. Potomkowie wspominanego ludu wspierani przez część naukowców poczuli się jednak urażeni wynikami badań. Tim D. White, archeolog pracujący w miejscu masakry, znany też z rekonstrukcji szkieletu słynnej australopitki Lucy, w wywiadzie dla „Dallas News" w 2001 r. stwierdził otwarcie: „Archeolodzy wprost wychodzą z siebie, aby tylko uniknąć nawiązań do kanibalizmu".

Niewzruszeni tym badacze, jak choćby Christy Turner i Richard Marler, kontynuowali badania szczątków. Turner wraz z żoną zaproponowali wtedy sześć kryteriów, według których można było stwierdzić, czy dana ofiary uległa antropofagii. Były to: metodyczne złamania kości niebędące skutkiem walki, nacięcia typowe dla odcinania mięsa od kości, brak kręgów w miejscu porzucenia kości sugerujący separację mniej smakowitych kąsków, otwarty szpik, ślady opiekania i tzw. połysk kociołkowy na kościach, który pojawia się, gdy długo gotuje się je w ceramicznym kotle lub garnku.

Szczątki ofiar znalezionych w obozowisku Anasazi miały wszystkie te cechy. Obrońcy Pueblo szybko postawili dość karkołomną kontrhipotezę. „Szóstka Turnerów" w przypadku ciał Pueblo mogła być wynikiem brutalnego polowania na odpowiednik tamtejszych wiedźm. Patroszenie ciała miało być natomiast skutkiem poszukiwania tajemnego organu, który ukryty miał być w ciele



eprasa.pl afa6e80cf2

podejrzanej i świadczyć o tym, że rzuca ona uroki. Organ ów mógł znajdować się wszędzie – w nodze, mózgu czy klatce piersiowej – stąd drobiazgowe oprawianie ciał nieszczęśników.

Podczas gdy Turnerowie przyglądali się kościom, Richard Marler wziął się do badania walających się w okolicy ludzkich odchodów, a w zasadzie koprolitów, czyli skamieniałych ekskrementów. W pozostałościach tych Marler odkrył specyficzne białko, które występuje tylko w tkance mięśniowej ludzi. Werdykt był więc jasny. Postawieni pod ścianą obrońcy honoru Indian Pueblo stwierdzili jednak, że nie ma dowodów, iż to sami Anasazi jedli się nawzajem. Kanibalistyczny mord mógł być bowiem skutkiem najazdu przedstawicieli innego ludu, np. Tolteków, którzy mogli znaleźć się desperackiej sytuacji z powodu suszy.

Kara za potworną zbrodnię

Charterhouse Warren to system jaskiń w hrabstwie Somerset w Anglii. W latach 70. XX w. odkryto tam szczątki 37 mężczyzn, kobiet i dzieci wrzucone do 15-metrowego szybu. Badania kości trwały aż do połowy lat 80. W Europie spotykano już wcześniej ślady kanibalizmu, najwięcej było ich w Hiszpanii, ale datowano je na dziesiątki tysięcy lat p.n.e. Masakra w Somerset zdarzyła się jednak stosunkowo niedawno – pomiędzy 2210 a 2010 r. p.n.e., czyli w samym środku brytyjskiej epoki brązu, uchodzącej dotąd za relatywnie spokojną. Nigdzie indziej w całej Brytanii w tym okresie nie napotkano śladów tego typu zbrodni. Ofiary zabito, uderzając je czymś tępym w głowę. Dodatkowo zdarto skalpy i oderwano dolne szczęki, wyrywając przy tym języki. Ciała zostały następnie poćwiartowane i oprawione.



Inscenizacja uczty kanibali na Fidżi, 1898 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, COULON



Kanibalizm u Azteków

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CODEX MAGLIABECHIANO

Na kościach kończyn widać ślady obgryzania – i nie są to ślady kłów drapieżników. Na podstawie diety ofiar wywnioskować można, że zamordowani przebywali na tym obszarze od bardzo dawna. Zostali oni uwiezieni lub zaskoczeni – brak tu bowiem urazów charakterystycznych dla walki. Metodyczne zabijanie nieuzbrojonych ludzi przez inną grupę, a potem długie pastwienie się nad zwłokami nie jest zbrodnią popełnioną w afekcie czy motywowaną rabunkiem.

Łatwiej wykluczyć tu przyczyny, niż je znaleźć. Badacze masakry odrzucili kanibalizm kulinarny. Wykopaliska z innych części kraju z tej epoki nie spełniały kryteriów „szóstki Turnerów", a nie zdarza się przecież, aby dany obyczaj praktykowała tylko jedna osada. Z podobnych przyczyn wykluczono też turpistyczną formę rytuału pogrzebowego. Przy czym oprawcy nie przymierali głodem – kości pomordowanych pomieszane były ze zwierzęcymi, co mówi nam, że „tradycyjnego" jedzenia było pod dostatkiem.

Antropolodzy twierdzą, że skoro masakra była tak bezprecedensowa, niespotykana gdzie indziej w Anglii, to nie towarzyszyły jej rytuały magiczne. Na pewno nie spowodowały jej zmiany klimatyczne, bo te dotykały całej Europy, a nie tylko jej skrawka, sprawcami nie byli też indoeuropejscy przybysze z kontynentu, bo ci pojawili się w Brytanii kiedy indziej (ich obecności w miejscu masakry nie potwierdzają badania genetyczne). Nie była to również wojna o surowce czy pastwiska – w takich sytuacjach nie zjadano w Europie pokonanych. Antropofagia w Somerset była więc zapewne czymś w rodzaju prymitywnej represji o charakterze polityczno-obyczajowym. Mieszkańcy złamali najprawdopodobniej jakiś święty obyczaj lub popełnili odrażającą zbrodnię, która wymagała krwawej zemsty. Tak strasznej, że trzeba było ich odczłowieczyć i potraktować jak zwierzęta. Kilku zamordowanych chłopców było nosicielami bakterii dżumy, ale nie wiadomo, na ile miało to związek z mordem.



Czaszka z Somerset

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOSÉ-MANUEL BENITO ALVAREZ

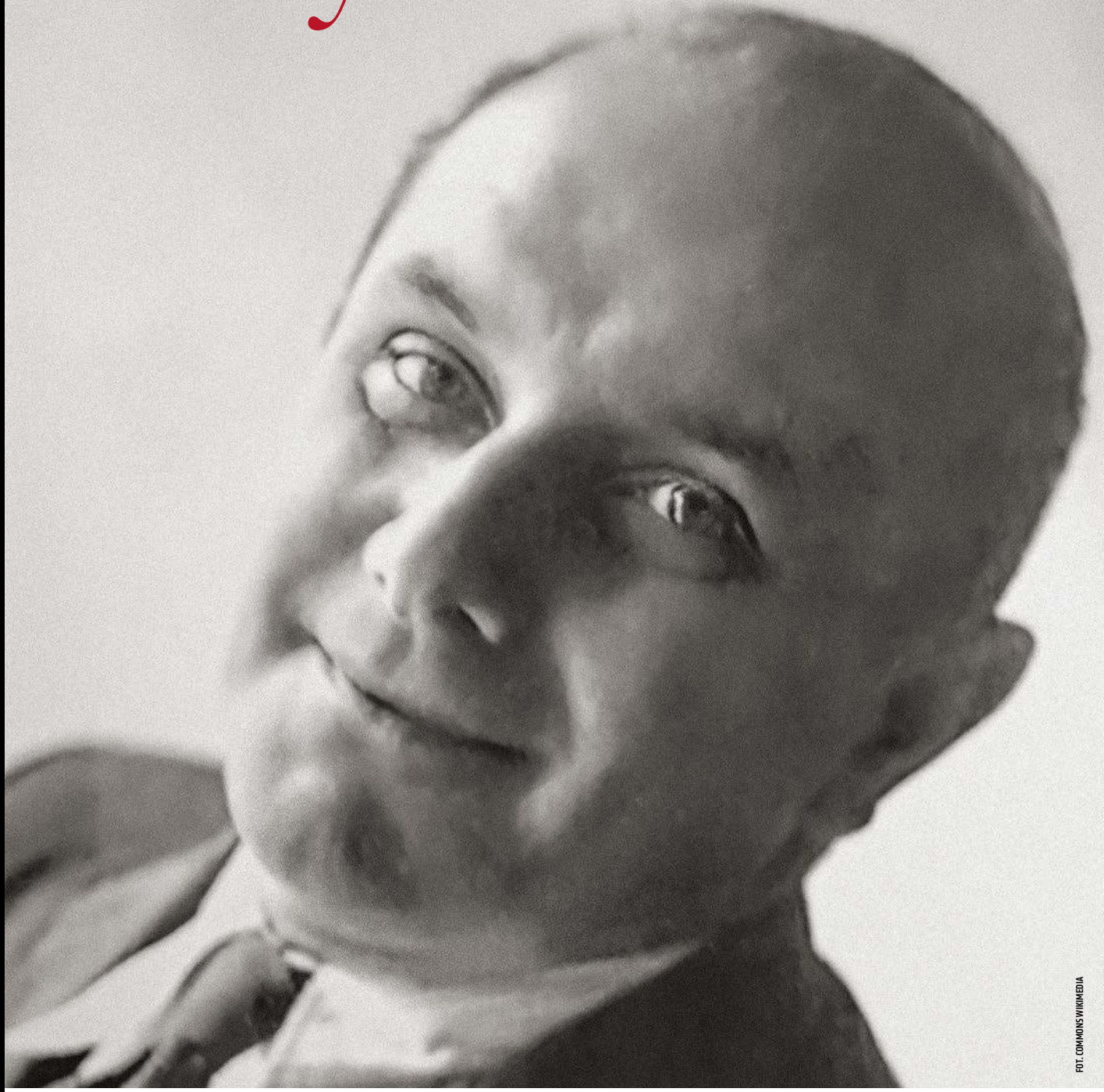
Cała historia mordu w Charterhouse Warren uzmysławia nam, że kanibalizm nie był tylko specjalnością dzikich żyjących głęboko w dżungli, ale na prymitywnym etapie życia występował na bardzo wielu obszarach świata i w wielu społecznościach. Europejczycy mieli to szczęście, że porzucili go wcześniej niż Papuasi. Kanibalizm kończył się, gdy jego miłośnicy dostrzegali, że ich zabiegi magiczne są nieskuteczne i nie wyjaśniają wszystkich tajemnic natury, a jeńców zamiast zjadać, lepiej pędzić do roboty. Tak narodziły się zorganizowana religia i państwo. Ci zaś, którzy tkwili przy dawnych upodobaniach, musieli czekać na przybycie Europejczyków, ewentualnie muzułmanów, którzy likwidowali kanibalizm dość skutecznie, a zarazem brutalnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2

1909–1966 / Stanisław Jerzy Lec

Słodycz i trucizna



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA

eprasa.pl afa6e80cf2



Krzysztof Masłoń

Zarówno jego aforyzmy, jak i fraszki czytać trzeba – rzekłbym – umiarkowanie. Smakować je, a nie pochłaniać bez umiaru. Wtedy ukazują całą swą głębię i humor, często przewrotny. Nie należy także zbytnio ufać dobrotliwości Leca, jego życzliwości dla ludzi i świata

Zdarzało mu się pisywać wiersze poważne, dramatyczne, tragiczne nawet. Z czasem poniechał ich i właściwie z tamtej jego twórczości przywołuje się dziś bodaj jedynie jakże osobisty utwór „Nagle":

Nagle otworzyłem oczy,
szedłem z piosnką na ustach
przez byłe Getto!

Miliony żywych, zabitych oczu patrzyło na mnie,
jedynie ja szedłem martwy
i tylko własna krew,
czerwona od wstydu,
biła mnie po twarzy.

Życiorys autor „Myśli nieuczesanych" – bo o nim mowa – miał pokrętny, że powtórzę zdanie Piotra Kuncewicza. Urodził się Stanisław Jerzy Lec 6 marca 1909 r. we Lwowie. Pochodził z uszlachetnionej rodziny żydowskiej. Jego ojcem był baron Benon de Tusch-Letz, a matką Adela z domu Safrin. Sławny aforysta dowodził, że ma pochodzenie hiszpańskie, żydowskie, ale arystokratyczne. A wyprowadzał genealogię rodu z sefardyjczyków, co podpierał panieńskim nazwiskiem matki. Swoje trójczłonowe nazwisko skrócił, przy okazji je spolszczając.

Do szkół chadzał we Lwowie i w Wiedniu, w 1927 r. podejmując studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza, najpierw na polonistyce, a następnie na prawie, które ukończył w roku 1933. Zadebiutował cztery lata wcześniej wierszem „Wiosna" na łamach krakowskiego „Kuriera Literacko-Naukowego". Jeszcze na studiach był jednym ze współzałożycieli miesięcznika „Tryby", zamkniętego przez władze już po ukazaniu się pierwszego numeru. Publikował w „Lewarze" i „Sygnałach". W Warszawie, gdzie zamieszkał w roku 1934, założył z Leonem Pasternakiem kabaret literacki Teatr Pętaków, także zamknięty, zanim na dobre zaistniał. Od 1936 r., pod pseudonimem Stach, drukował stały felieton w „Dzienniku Popularnym". Po zamknięciu tego komunistycznego pisma w obawie przed aresztowaniem wyjechał na krótko do Rumunii, a następnie przez jakiś czas pracował jako aplikant adwokacki w Czortkowie. Potem wrócił do Warszawy, wcześniej biorąc udział w Zjeździe Pracowników Kultury zorganizowanym we Lwowie przez Front Ludowy. Słowem: komunizował na całego, bez względu na swój rodowód, jak również na demonstrowany kult cesarza Franciszka Józefa.

Jeszcze przed wojną wydał pierwsze swoje książki: tom poetycki „Barwy", „Zoo. Wiersze satyryczne" i „Satyry patetyczne". A w latach 30. pisał takie fraszki jak np. „Środki ochronne" („Chcesz środków ochronnych, to zaufaj gumie. / Spytaj się policji, ona to rozumie") czy „Poświęcenie":

Poświęcenie tablicy, poświęcenie bocznicy,
Poświęcenie sikawki w Dolnym Kulikowie.
Prosimy o wyjawienie nam tej tajemnicy,
kiedy nastąpi poświęcenie
uwagi obywatelowi.

Powiew stalinowskiej wolności

Po wybuchu wojny przedostał się do Lwowa, gdzie po wejściu Armii Czerwonej znalazł się w zupełnie nowej sytuacji, do której bardzo szybko się przystosował. Był autorem bodaj pierwszego polskiego wiersza o Stalinie, napisanego jesienią 1939 r. Wkrótce znalazł cały legion naśladowców, ale palma pierwszeństwa należy się jego „Stalinowi":

Którą poeci wyśpiewali
ojczyzna, co to od Kamczatki
po szynach pędzi aż po San,
którą jak mleka pełny dzban
podają dzieciom czułe matki,
– to Stalin!



Stanisław Jerzy Lec, Aleksander Rymkiewicz, Zofia Bystrzycka

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl afa6e80cf2

Którą wykuło stu kowali
w pieśni i w czasie i w przestrzeni,
w węglu i w miedzi, w srebrze wód,
ojczyzna, której żaden knut
już swoim świstem nie ocieni
– to Stalin!

Wschód słońca, co się w piecach pali,
który zastyga w przęsłach mostów,
co się zaciska w groźbie kul,
ojczyzna, jak jesienny ul,
w pożodze wojny cichy ostrów,
– to Stalin!

I moja lira z nowej stali
i dumnie przemieniona muza,
obywateli jasny wzrok
i głos, i oddech, myśl i krok
i wolność, która nas odurza,
– to Stalin!

Odurzony stalinowską wolnością poeta wykazywał się w okupowanym Lwowie dużą aktywnością. Publikował w „Czerwonym Sztandarze", wszedł w skład redakcji „Almanachu Literackiego", współpracował z Państwowym Wydawnictwem Mniejszości Narodowych ZSRS. Podpisał deklarację „Polscy pisarze witają zjednoczenie Ukrainy", a w 1940 r. wstąpił do Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy. Drukował też w „Nowych Widnokręgach".

Pisał o wiele za dużo, i to wierszy, których jedynie można się wstydzić. Takich jak „Do ludu fińskiego", który Lec zrymował zaraz po napaści ZSRS na Finlandię:

Już wolne jest Kronsztadu gardło
niech płynie z flotą w morze pieśń
odwrócił już od Leningradu
działa zwrócone w miasta pierś.

Krwią się historię zmywa z brudu,
iskrami triumfu płonie Mars.
Słyszycie – oto armia ludu
Stolicę bierze – Helsingfors.

Ócz sześć milionem płonie Moskwa.
Podaj swą uskrzydloną dłoń,
o ludu fiński, bandę rozgrom!
Filio londyńskiej giełdy, płoń!

O ludu fiński, top w jeziorach
zdrajców ojczyzny, szpiegów zmóż!
Wbij rewolucjo, oto pora
W pierś burżuazji fiński nóż.

Nie bardzo przystaje do utworów tego rodzaju opinia Juliana Stryjkowskiego, który w „Ocalonym na Wschodzie" utrzymywał, że Lec – podobnie jak Ważyk i Wat – w sowieckim Lwowie „trzymali się w cieniu".

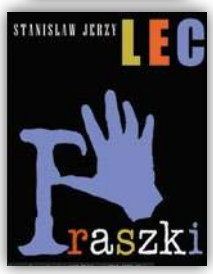
Silne poczucie historii

Po agresji niemieckiej osadzony został w Tarnopolu, skąd w przebraniu hitlerowskiego szeregowca zbiegł w przededniu likwidacji obozu w 1944 r. W Warszawie, dokąd przybył i gdzie mieszkanie i ochronę przed szmalcownikami zapewnił mu Marian Spychalski, zaangażował się w komunistyczną działalność konspiracyjną, najpierw w Gwardii Ludowej, a następnie w Armii Ludowej, m.in. współredagując organ GL „Żołnierz w Boju". W maju 1944 r. brał udział w walkach partyzanckich na Lubelszczyźnie, w tym w bitwie pod Rąblowem. Przez trzy miesiące był jednym z redaktorów podziemnego pisma PPR „Wolny Lud".

W lipcu 1944 r. wstąpił do Wojska Polskiego, w którym otrzymał stopień majora. Po wojnie w Łodzi razem z Jerzym Zarubą i Leonem Pasternakiem wznowili redagowali „Szpilki", wydał też dwie książki, w 1946 r.: „Notatnik polowy. Poezje" i „Spacer cynika. Satyry i fraszki". W tym samym roku wyjechał jako attaché prasowy Polskiej Misji Politycznej do Wiednia.

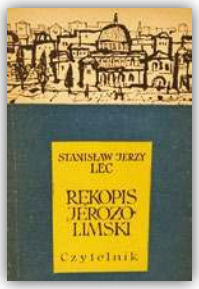
W 1950 r. środowisko literackie zelektryzowane zostało wiadomością, że Lec wyjechał do Izraela. Nazwane to zostało zdradą, jego utwory z dnia na dzień przestały istnieć, a Kazimierz Brandys napisał swoje sławne opowiadanie „Nim będzie zapomniany", w którym – jak twierdził po latach – zajął się nie tylko przypadkiem Miłosza, lecz także Andrzeja Panufnika i Romana Palestra oraz Leca właśnie.

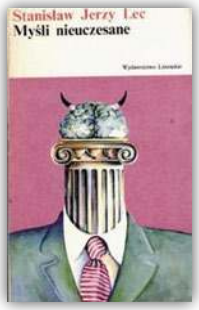












Ten ostatni tak jak nieoczekiwanie wyjechał, tak też po dwóch latach niespodziewanie powrócił. Stefan Kisielewski tak to zapamiętał: „Było bardzo śmiesznie, bo nie miał gdzie pójść, i poszedł do kawiarni literatów, z walizką, prosto z dworca, a tam akurat Minkiewicz siedział. Wszyscy, zobaczywszy Leca, zaczęli zwiewać, myśleli, że coś okropnego się dzieje, bo przecież wiadomo było, że on uciekł. Natomiast Minkiewicz podszedł do niego, przywitał się i powiedział: »No a kiedy Cześ wraca…?«. Chodziło o Miłosza oczywiście". Ciekawe, że jeszcze pewien czas po powrocie objęty był Lec zapisem cenzury.

Z relacji Jana Wyki wiadomo, że choć nie zwykł chwalić się swoimi czynami wojennymi, to tuż przed śmiercią opowiedział o tym, że w partyzantce utrzymywał kontakty z Bierutem. Bo i czym miał się szczycić? „Znajomością z renegatem, skazującym na odstrzał Pileckiego, Dekutowskiego i wielu innych niezłomnych synów ojczyzny? – pisał w książce »Historie pisane przez wojnę« Mariusz Solecki. – Chyba że potomek narodu wybranego luźno identyfikował się z polskością. Miłość do urzędowego zbrodniarza? Nie. Wdzięczność za ocalenie z epoki pieców. Za podarowane 21 lat. Trzymać się rękami i zębami, gdy uszło się z Szoah. Nie zrozumie tego nikt, kto nie wydeptał ścieżek II wojny światowej z piętnem żydostwa. Lec jasno wyartykułował tę kwestię w wierszu »Anno 1943«:

Kto szedł przez Polskę czasu rzezi,
a Żydem był, co z martwych powstał,

eprasa.pl afa6e80cf2

o śmierć mądrzejszy, którą przeżył, gorzeć już musi jak apostoł.

Dodajmy: apostoł ideologii, która wyrwała go z paszczy brunatnej przemocy. Cóż Lecowi po wolnej, międzywojennej Polsce – bezsilnej w ochronie obywateli przed hitlerowską dżumą? Cóż obchodzi go powojenny los kontynuatorów jej idei, skoro skompromitowała się klęską w godzinie próby sił?

Może jednak twórcą »Myśli nieuczesanych« nie powodowały pretensje do II RP, może była to kwestia pokory wobec walca dziejów, który – gdy raz przetoczy się po człowieku, urobi go na plastyczną miazgę: »W życiu codziennym był pogodny i niesłychanie wyrozumiały dla ludzi, dla ich przywar. Był wyrozumiały, bo miał silne poczucie historii i wiedzę o tym, jak historia urabia człowieka na swoją modłę« […], cytowany tu Seweryn Pollak, naturalnie bez intencji rzucenia cienia na Leca, dostarcza – dla mających słuch historyczny – glosę do kolaboracji lwowskiej pisarza, który przecież, o czym woli się nie przypominać, »[…] należał do najaktywniejszych apologetów zaboru i systemu sowieckiego« (Jacek Trznadel)".

Tysiąc ulistnionych gałązek

Aleksander Wat przedstawiając w grudniu 1939 r. sowieckim czytelnikom „Litieraturnoj Gaziety" polskich pisarzy, Leca określił krótko i węzłowato jako humorystę. Zważywszy na jego przedwojenną twórczość, nie było to stwierdzenie odległe od prawdy, zarazem jednak mocno uproszczone. No bo cóż to takiego fraszkopisarstwo, naturalnie z wyjątkiem zasłużenie czczonego Jana Kochanowskiego? Działalność użytkowa i tyle. Jeszcze przed wojną Jan Śpiewak zarzucał Lecowi, że zajmuje się błahostkami, zamiast drążyć sprawy „głębią poematu".

Lec jednak akurat fraszki kochał, a choć sławę zapewniły mu aforyzmy, to i fraszek napisał grubo ponad tysiąc, które całkiem niedawno ukazały się w jednym tomie (nie wszystkie, ale prawie) wydane nakładem Noir sur Blanc, oficyny dbającej o to, by twórczość Leca nie uległa zapomnieniu. Okoliczności

Aleksander Wat, przedstawiając w grudniu 1939 r. sowieckim czytelnikom „Litieraturnoj Gaziety" polskich pisarzy, Leca określił krótko i węzłowato jako humorystę. Zważywszy na jego przedwojenną twórczość, nie było to stwierdzenie odległe od prawdy, zarazem jednak mocno uproszczone

zresztą wybitnie tym utworom sprzyjają. Ot, weźmy taką fraszkę „Na konfiskatę »Gazety Polskiej«: „Tak gryzł długi prasę cenzor, / aż się w własny ugryzł jęzor". Że to chodziło o całkiem inną „Gazetę Polską? Tak, ale problem ten sam.

A fraszka – powiada Lidia Kośka w posłowiu do nowej edycji utworów Stanisława Jerzego Leca – „choć taka mała, jest bardzo ambitna: chce po swojemu garnąć sprawy świata. Jest wszędobylska i wszechstronna. Odnosi się do konkretnych zdarzeń, osób, aktualnych kwestii zaprzątających społeczeństwo; fraszka jest często mikronarracją. Julian Krzyżanowski pisząc, że fraszka »wyrasta na pniu życia«, tworzy metaforę subtelną i dobrze osadzoną. Bo frasca to »ulistniona gałązka«".

Lidia Kośka zwraca uwagę na to, że wszystkim swoim tomikom epigramatycznym dawał Lec tytuły z użyciem słowa „fraszka", „podczas gdy żadnego zbiorku aforyzmów nie nazywa aforyzmami. Co ciekawe, obserwujemy od czasu do czasu przesunięcia tytułu, którym opatrzył swe aforyzmy, z hapaks legomenon (jakim była również fraszka dla Kochanowskiego) w sferę określeń ogólnych. Czy myśli nieuczesane są aż tak swoiste, że wykraczają poza aforyzm?".

Swoje „Myśli nieuczesane", od 1955 r. zamieszczane w prasie, w formie książkowej wydał Lec po raz pierwszy w 1957 r. Dwa lata później zostały wznowione, już w poszerzonej wersji, a w 1964 r. ukazały się „Myśli nieuczesane nowe". Bardzo szybko zdobyły międzynarodową sławę. Po licznych tłumaczeniach na wiele języków. Szczególnie popularny stał się Lec w Niemczech, gdzie „Myśli…" w przekładzie Karla Dedeciusa osiągnęły łączny nakład ponad 2 mln egzemplarzy (!).

Pisarz Andrzej Nowicki uznał, że Lec „osiągnął ideał: potrafił jak najkrócej powiedzieć jak najwięcej". Z kolei pytany o genezę swoich fraszek – podaję za Lidią Kośką – „daje dwie odpowiedzi […]. Pierwszą w aforyzmie: »Dlaczego piszę te krótkie fraszki? Bo słów mi brak!«. Drugą – cytując ulubionego poetę:

Aus meinen grossen Schmerzen
mach ich die kleiner Lieder.

Z wielkiego bólu małe piosenki. To fragment »Lirycznego intermezza« Heinricha Heinego […]".

Zarówno jego aforyzmy, jak i fraszki czytać trzeba – rzekłbym – umiarkowanie. Smakować je, a nie pochłaniać bez umiaru, a wtedy ukazują całą swą głębię i humor, często przewrotny. Nie należy także zbytnio ufać dobrotliwości Leca, jego życzliwości dla ludzi i świata. Przyznawał się zresztą: „Podaję wam gorzkie pigułki w słodkim lukrze. Pigułki są nieszkodliwe, trucizna jest w tej słodyczy".

Trudno wymienić najznakomitsze z jego nieuczesanych (to jednak nie to samo, co rozczochranych) myśli. Przywołam kilka z tych przeze mnie najbardziej lubianych: „Analfabeci muszą dyktować", „Ceń słowa. Każde może być twoim ostatnim", „Historia się nie powtarza? Może. Ale się jąka", „Karłom trzeba się nisko kłaniać". I jeszcze jakże praktyczne rady: „Ludzie złotego serca! Sprzedawajcie je drogo", „Nie wzywaj nocą pomocy. Jeszcze zbudzisz sąsiadów" czy też w sumie optymistyczne stwierdzenie oczywistości: „Otyli żyją krócej. Ale jedzą dłużej".

Ten jeden z najsłynniejszych aforystów minionego stulecia, którego nazwisko wymienia się jednym tchem z Eliasem Canettim, Karlem Krausem i Emilem Cioranem, zmarł 7 maja 1966 r. Na jego grobie na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach widnieje wyryty jeszcze jeden aforyzm: „Niełatwo jest żyć po śmierci. Czasem trzeba na to stracić całe życie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2



Matka Boska z Jezusem w otoczeniu Jana I Komnena i jego żony Ireny. Mozaika ze świątyni Hagia Sophia FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MYRABELLA

Książka miesiąca / Cesarstwo Wschodniorzymskie

Niedoceniana potęga Bizancjum

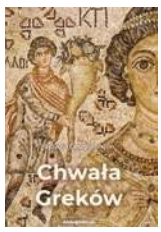
Cesarstwo Bizantyńskie było jednym z najwspanialszych tworów państwowych w dziejach świata, a może najwspanialszym z nich. Nie jest to wyłącznie opinia piszącej te słowa, lecz także autora opisywanej pracy, który stworzył książkę bardzo potrzebną, pokazując Bizancjum z perspektywy, która nie każdemu, nawet największemu miłośnikowi Nowego Rzymu, przyszłaby na myśl.

Cesarstwo Bizantyńskie istniało ponad tysiąc lat. Od 395 r. jako jedna ze składowych Cesarstwa Rzymskiego, a po obaleniu Romulusa Augustulusa – jako jedyny spadkobierca chwały dawnego Rzymu. Państwo ze stolicą w Konstantynopolu było jednak od początku czymś więcej niż kontynuatorem rzymskich tradycji. Nad czarnomorskimi cieśninami spotkały się wpływy kultur z całego basenu Morza Śródziemnego: Italii, Grecji, północnej Afryki, Bliskiego Wschodu. Bizancjum rozwijało się we własnym rytmie i tempie, zupełnie innym od tego, które panowało w zachodniej Europie. Podczas gdy na Zachodzie, po najazdach ludów barbarzyńskich i upadku Rzymu, nowe państwa dopiero zaczynały się kształtować, Bizancjum z roku na rok rozkwitało, choć i tam przecież ludzie nie byli wolni od wojennych trosk, ataków ludów ościennych, oblężeń czy przewrotów pałacowych. A jednak mimo to Nowy Rzym w niczym nie przypominał Zachodu, który dopiero wracał do swoich korzeni i przypominał sobie, kim jest.

I w tym właśnie pomogło mu, choć nie zawsze bezpośrednio, Cesarstwo Wschodniorzymskie. Czy bez Bizancjum cywilizacja zachodnia wyglądałaby tak, jak dziś ją widzimy? Autor książki jest przekonany, że nie byłoby to możliwe. Co jest główną tego przyczyną? Przede wszystkim to, że Bizantyńczycy przechowali dla nas dzieła i myśl starożytnej Grecji. To, co na Zachodzie uległoby zupełnemu zatraceniu, przetrwało właśnie tam. Nie jest więc jednocześnie prawdą (choć i to nie ulega wątpliwości), że dziedzictwo uczniów Sokratesa zachowało się tylko dzięki muzułmańskim uczonym, którzy tłumaczyli ich pisma z greki na język arabski. Zapomnianym, niedocenianym, a kluczowym „mostem", którym myśl greckich filozofów przywędrowała w końcu z powrotem do Europy, było właśnie Bizancjum. „Gdyby nie ogromny wkład bizantyńskich komentatorów i kopistów, niewiele byśmy dzisiaj wiedzieli o literaturze starożytnej Grecji" – pisał wybitny bizantynista Steven Runciman, którego słowa przytacza autor. Nieco dalej przypomina z kolei opinię Klausa Oehlera: „To właśnie tam [w Bizancjum], a nie na Zachodzie, wielkie dzieła starożytnych Greków były na nowo odczytywane, badane, komentowane i przepisywane. Nasz świat byłby dziś bardziej, z całą pewnością o wiele bardziej ubogi, gdyby Bizantyńczycy nie wyświadczyli Ludzkości tej przysługi".

Bizantyńczycy nazywali siebie Romaioi – Rzymianami. Czuli się jednak także Grekami. Byli spadkobiercami kultur, które uważamy dzisiaj za podwaliny naszego europejskiego dziedzictwa. Poczucie tożsamości Bizantyńczyków było więc zarazem „kołem zamachowym", które kształtowało całą ich kulturę – nie tylko materialną i artystyczną (chociaż na tej przede wszystkim skupia się autor), lecz także polityczną i religijną. Tym samym Bizantyńczycy, choć ich rytuały i obrzędy nacechowane były wpływami wschodnimi, w pełni należą do naszej zachodniej cywilizacji. ©℗

Anna Szczepańska



SYLVAIN GOUGENHEIM
„CHWAŁA GREKÓW"
ANDEGAVENUM

eprasa.pl afa6e80cf2

Bohaterowie wojny o wszystko

Konflikty zbrojne mają twarze najważniejszych polityków i dowódców. Ale to nie oni wygrywają wojny, lecz oficerowie i żołnierze. Pomijając generałów, z którymi oficerami kojarzy się nam wojna z bolszewicką Rosją w 1920 r.? Odpowiedź na to pytanie niemal każdego wprawi w kłopot. Historyk Marek Gałęzowski od lat pracuje nad tym, by wydobyć z niepamięci tych, którzy walczyli i polegli w walce o niepodległość Polski w latach 1914–1920. Uważa, że jesteśmy im to winni. Byli odznaczani Orderami Virtuti Militari i Krzyżami Walecznych za bohaterskie czyny, ale najważniejszą nagrodą dla nich powinno być to, by wciąż żyli w naszej świadomości.

W najnowszej książce autor przywołuje sylwetki 30 oficerów wywodzących się z Legionów Polskich, którzy polegli podczas wojny z bolszewicką Rosją. Była to – jak podkreśla autor – wojna o wszystko, o być albo nie być niepodległej Polski. Tytuł książki zaczerpnięty jest ze słów śmiertelnie rannego płk. Józefa Dunin-Borkowskiego: „Pilnujcie honoru sztandaru pułkowego".

Gałęzowski stwierdza, że jego książka jest opowieścią o ludziach, ich postawach i wyborach, a nie zwykłym słownikiem biograficznym. Ludzie ci rzucili swój życia los na stos, wstępując do Legionów. Tym samym zadeklarowali wolę walki o niepodległość. Zdobytą musieli bronić przed bolszewicką Rosją. Wśród bohaterów książki jest Aleksander Napiórkowski, poseł, który ochotniczo wstąpił do wojska, by – jak powiedział – „dyskutować z Budionnym o komunizmie szablą i bagnetem". Stefan Holinkowski brał udział w obronie Lwowa, zdobyciu Wilna, ofensywie na Kijów. Ciężko ranny podczas odwrotu, nie mogąc iść, a nie chcąc go utrudniać, rozerwał się granatem. Juliusz Merak, ciężko ranny podczas walk w Brześciu, „do ostatniej chwili wytrwał na stanowisku, dając tym samym żołnierzom najlepszy przykład poświęcenia". Tuż przed zawarciem rozejmu poległ Antoni Jabłoński, uczestnik patrolu Beliny. Marszałek Piłsudski napisał do jego matki: „Pani straciła syna, a ja następcę".

Tomasz Stańczyk



MAREK GAŁĘZOWSKI
„PILNUJCIE HONORU SZTANDARU PUŁKOWEGO. OFICEROWIE LEGIONÓW POLSKICH POLEGLI W WOJNIE POLSKO-BOLSZEWICKIEJ"
IPN

Skarbnica cywilizacji

Ta przepastna księga to istna skarbnica kultury zachodniej. Kultury tak dziś atakowanej, ustawianej pod pręgierzem, mającej się wstydzić swoich korzeni. Dostajemy do ręki wybór najwspanialszych, najbardziej klasycznych tekstów, które stały się fundamentem naszej cywilizacji. Do codziennej lektury mamy tu dzieła Homera, Ezopa, Owidiusza, a także Boecjusza i niesamowite pieśni krucjatowe. Przepięknie wydana księga będzie ozdobą każdej biblioteczki, przypominając, że absolutnie nie mamy się czego wstydzić, a wręcz przeciwnie! ©℗ ***(p.w.)***



WYBÓR I OPRACOWANIE: PAWEŁ MILCAREK
„BREVIARIUM KANONU KULTURY. DECORUM"
WYDAWNICTWO DĘBOGÓRA



MAREK STELLA-SAWICKI
„ARNHEM. DŁUG HAŃBY"
ZYSK I S-KA

SOSABOWSKI NIEWINNY

„Market Garden" to jedna z najważniejszych operacji II wojny światowej. W wyniku błędów najwyższych dowódców akcja aliantów zakończyła się klęską. Winą obarczono wyłącznie gen. Stanisława Sosabowskiego. Autor bada, dlaczego i w jaki sposób go oczerniano, oraz wyjaśnia, że nie on ponosi winę. Książka to hołd złożony 1. Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej. ©℗ ***(a.s.)***



GRZEGORZ KUCHARCZYK
„KŁOPOTY Z NIEMCAMI. KULTURKAMPF, OSTPOLITIK, MITTELEUROPA"
FRONDA

TRUDNE SĄSIEDZTWO

Od wieków Niemcy stoją w poprzek tego, co kulturowo reprezentuje sobą Europa Zachodnia jako „uboczny rezultat ewangelizacyjnej pracy Kościoła". Polska była (i jest) narażona na płynące z Niemiec, najczęściej ekspansjonistyczne, koncepcje. Czy idee kulturkampfu czy Ostpolitik na dobre zniknęły? Co Niemcy dzisiaj oferują Europie i swym sąsiadom? ©℗ ***(a.s.)***



MAGDALENA OGÓREK
„KRÓL OLCH"
ZONA ZERO

POTWORY I LUDZIE

Autorka pisze ponownie o Ottonie Wächterze – zbrodniarzu z SS, który m.in. był odpowiedzialny za grabież polskich dóbr kultury. Postawę bezwzględnego nazisty przeciwstawia autorka innej postaci – Wilma Hosenfelda. Ten oficer Wehrmachtu uratował Władysława Szpilmana i pomagał innym Żydom. To uniwersalny przekaz. Dobro rodzi się nawet w najmniej oczekiwanym miejscu. ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl afa6e80cf2



Rafał A. Ziemkiewicz

Nowa książka profesora Grzegorza Górskiego „Kampania wrześniowa" w normalnym kraju powinna wywołać rewolucję w historiografii. Za jednym zamachem obala bowiem dziesiątki mitów, które wyprodukowano na temat wojny obronnej 1939 r. Niestety, w naszym zapyziałym światku naukowym będzie raczej zignorowana – jak zignorowano znakomitą „Lodową ścianę" Świątka, jak latami ignorowano „Lech Wałęsa a SB" Cenckiewicza i Gontarczyka i jak zignorowano poprzednią książkę Górskiego: „Wrzesień 1939. Nowe Spojrzenie" (z roku 2014). Gdzie indziej, mawia się, najwyższym wyrazem uznania jest naśladownictwo – u nas jest nim milczenie, oznaczające, że argumentacja jest bez skazy i nie sposób jej podważyć, ośmieszyć ani zdyskredytować w inny sposób, można tylko udawać, że nic się nie stało, i nadal powtarzać swoje.

/ Felieton

Dwa kłamstwa Września

Tak się składa, że o najnowszej książce dowiedziałem się zaraz po tym, jak po raz kolejny przeczytałem poprzednią, poprawiając do wznowienia moje „Jakie piękne samobójstwo" (szczypta autoreklamy zawsze na propsie). We „Wrześniu..." Górski jako pierwszy i bodaj jedyny dotąd ułożył politykę Becka w logiczny ciąg, do którego pasują absolutnie wszystkie elementy układanki. Mówiąc najkrócej, nie szło o Gdańsk, którego Polska przecież nigdy nie miała, pierwotnie gotowa zgodzić się po wygaśnięciu mandatu Ligi Narodów w 1940 r. na włączenie go do Rzeszy, byle z uszanowaniem polskich interesów w Wolnym Mieście. Powodem, dla którego Polska dała Niemcom „zielone światło" do anszlusu Austrii i rozbioru Czechosłowacji, był zamiar położenia ręki na Słowacji, a następnie podzielenie jej z Węgrami, w czym sanacja widziała klucz do zbudowania „międzymorza", czyli polskiej mocarstwowości. Wolta w kwietniu 1939 r. i przejście do obozu antyniemieckiego były skutkiem złamania przez Hitlera umowy zawartej „na gębę" w styczniu 1938 r. w Berchtesgaden, Gdańsk zaś – pretekstem, słabo zresztą dla świata zrozumiałym.

> **Wszystko było we Wrześniu... inaczej, niż się przyjęło powtarzać w oparciu o „ufryzowane" narracje, stworzone post factum dla zracjonalizowania klęski**

Polska, świeżo odrodzona po 123 latach rozbiorów, planowała sama dokonać rozbiorów – najpierw wspólne z Hitlerem Czechosłowacji, a potem wspólnie z Horthym Słowacji. Nawet wściekle nienawidzący sanatorów Sikorski nie mógł dopuścić, by ta prawda wyszła na jaw – a że Beck, jak wszyscy piłsudczycy, nie zwykł pozostawiać po sobie śladów w dokumentach, zbudowano całą fałszywą opowieść o „honorze", który jest jedyną rzeczą bezcenną i wartą, by poświęcić dla niego państwowość.

Słowacja – to pierwsze wielkie kłamstwo Września... Drugim jest opowieść o samej wojnie, wyłgana po klęsce przez Stachiewicza – o „głównej pozycji obronnej", na którą miały „odpływać" armie znad granicy, i założeniu czekania na ofensywę na Zachodzie. Skrupulatna analiza ustawienia wojsk, zachowanych planów, rozkazów i przebiegu walk prowadzi profesora do wniosków naprawdę wstrząsających – ale nie odpartych.

Nie będę się zbyt obszernie nad nimi rozwodził. Mówiąc krótko: wszystko było we Wrześniu... inaczej, niż się przyjęło powtarzać w oparciu o „ufryzowane" narracje, stworzone post factum dla zracjonalizowania klęski. Polecam obie książki prof. Górskiego. Jest on kimś takim jak Wiktor Suworow, zresztą jego metoda analizy faktów wydaje się podobna. Niestety, skazuje ona na to, by, tak jak w wypadku Suworowa, przez lata być ignorowanym, a potem usłyszeć: no i co, przecież wszyscy to od dawna wiedzą. ©℗

eprasa.pl afa6e80cf2

/ Felieton



Piotr Semka

„Emigrancka swołocz”

W filmowej epopei „Iwan Groźny” Siergieja Eisensteina z 1944 r. w jednej ze scen rosyjski car słucha raportów szefów swych tajnych służb. Co charakterystyczne dla Rosji, robi to przy okazji modłów w moskiewskim soborze, przy trumnie swej zmarłej żony. „Iwan Michajłowicz Szujski ukrył się na Litwie” – informuje cara szeptem szef opryczników Maluta Skuratow. I dalej wylicza: „Iwan Wasilijewicz Szeremietiew pojmany przy próbie ucieczki za granicę. Bojar Tugaj Łuk Suzdalski zbiegł na ziemie liwońskie [dzisiejsza Łotwa – przyp. red.], Kniaź Michał Worotyński też uciekł z Rusi. Kniaź Iwan Iwanowicz Torontaj Pruński zawrócony z drogi za granicę”.

Dla Eisensteina było oczywiste, że sowiecki widz musi widzieć w uciekinierach zdrajców, ludzi niezasługujących na litość. To raczej car jest godzien współczucia. Ilustrować ma to biblijny Psalm 69 zacytowany w filmie przez metropolitę Moskwy: „Tych, którzy mnie nienawidzą bez powodu, jest więcej niż włosów na mojej głowie”.

Dziś w podobny kostium zdrajcy Polski ubierany jest przez zwolenników Platformy Marcin Romanowski, polityk PiS oskarżony o niewłaściwe zarządzanie Funduszem Sprawiedliwości, który zbiegł na Węgry. Romanowski ogłosił, że wobec braku gwarancji bezstronnego śledztwa wybiera azyl polityczny nad Dunajem.

„To prawda, że w Polsce nie ma świętych krów – wszystkie spier…iły za granicę” – rysunek z takim tekstem miał rozśmieszyć czytelników „Gazety Wyborczej”.

Poseł PO Dariusz Joński ogłosił tymczasem na portalu X: „Romanowski zdradził Polskę. Zdrajcom się nie wybacza”. Inny poseł Platformy Obywatelskiej, Krzysztof Brejza, pisze natomiast o „zbiegu Romanowskim – maskotce proputinowskiego Orbána”. A kolega Brejzy, poseł Michał Szczerba, pyta publicznie: „Kto tego PiS-owskiego zbiega utrzymuje? Przecież nie węgierski ośrodek dla imigrantów?”.

/ Skojarzenia z przypadkiem Romanowskiego rzucają się w oczy

Każdy imigrant w naturalny sposób wyrwany zostaje z dotychczasowego trybu życia, co dotyczy także źródeł utrzymania. Bardzo łatwo jest w tej sytuacji snuć pytania: Z czego uciekinier żyje na emigracji i czy przypadkiem nie są to „judaszowe srebrniki”?

Popularna sowiecka literatura sensacyjna z lat 20. i 30. powielała wizerunek zblazowanych, znarkotyzowanych rosyjskich emigrantów, którzy za sowite sumy służą angielskim lub niemieckim wywiadom w prowokacjach przeciw „młodemu państwu sowieckiemu”.

W PRL pytania o źródła dochodów stawiano paryskiej „Kulturze” i pracownikom polskiej sekcji Radia Wolna Europa.

W tym ostatnim przypadku zdemaskowaniu polskiej redakcji w Monachium i ukazaniu jej moralnej nędzy służyć miała specjalna misja szpiegowska Andrzeja Czechowicza, kapitana komunistycznej SB. Ten absolwent Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego wyjechał do RFN, gdzie otrzymał azyl jako uchodźca polityczny. Złe warunki bytowe skłoniły go w 1964 r. do nawiązania kontaktu z Polską Misją Wojskową w Berlinie Zachodnim. Na polecenie Warszawy zgłosił się do pracy w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, gdzie został zatrudniony w Wydziale Studiów i Analiz. W marcu 1971 r. wycofany został do Polski, gdzie w telewizji i na łamach gazet opowiadał o degrengoladzie polskiej kadry pracującej w monachijskiej rozgłośni.

Skojarzenia z przypadkiem Romanowskiego rzucają się w oczy, gdy dziś sam fakt ucieczki bywa uznawany za ostateczny dowód nieuczciwości zbiega.

Gdy w 1947 r. Stanisław Mikołajczyk, osaczany od miesięcy przez UB lider opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego, uciekł z Polski, komunistyczna propaganda przedstawiała to jako dowód jego agenturalnej służby dla Brytyjczyków i Amerykanów.

Tyle że już wtedy ludzie wiedzieli swoje. Dobrze uwiecznił to dowcip z lat 40. Po ucieczce Mikołajczyka zakładowy szef komórki PPR przychodzi publicznie wykpić pracownika znanego z sympatii do PSL. „No i co? Uciekł wasz Mikołajczyk!”. Zaczepiony odpowiada ze stoickim spokojem: „Nam? Chyba Wam”. ©℗

eprasa.pl afa6e80cf2

Luty–marzec 1945 r. / 80. rocznica bitwy o „wyspę siarki”

Dwie flagi z Iwo Jimy



Amerykańska flaga nad Iwo Jimą
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOE ROSENTHAL



Piotr Włoczyk

John Bradley, sanitariusz z Iwo Jimy, został zaangażowany przez prezydenta USA w wielką akcję mającą dać Waszyngtonowi miliardy niezbędne do kontynuowania wojny. Dopiero kilka lat temu okazało się, jak wiele było w tym przypadku

Nagle wszyscy marines dookoła mnie zaczynają krzyczeć z radości i strzelać w powietrze. Kiedy odwróciłem się w kierunku góry Suribachi, zobaczyłem nad nią powiewającą flagę. I zacząłem strzelać w powietrze jak reszta kolegów. Ależ to była radocha! – wspominał w rozmowie ze mną Hershel W. Williams (1923–2022), weteran Korpusu Piechoty Morskiej USA, który za swoje zasługi w bitwie o Iwo Jimę został odznaczony Medalem Honoru, najwyższym orderem wojskowym w Ameryce. – Nikt dookoła mnie nie został wtedy trafiony, ale zastanawiam się, czy gdzieś dalej ktoś nie zginął w głupi sposób podczas tego krótkiego wybuchu radości, kiedy zamiast strzelać do Japończyków, strzelaliśmy w niebo.

Flaga zatknięta wtedy przez marines na szczycie jedynej góry na wyspie błyskawicznie przeszła do historii. Zdjęcie, które cztery dni po lądowaniu na Iwo Jimie wykonał 33-letni fotograf Associated Press Joe Rosenthal, w ciągu 48 godzin trafiło na czołówki wszystkich gazet w USA. Cała Ameryka była wpatrzona w to niesamowite zdjęcie. Oto sześciu amerykańskich „chłopców” wspólnym wysiłkiem zatyka flagę USA na wyspie będącej pierwszym skrawkiem Japonii, na którym pojawili się marines (wszystkie inne zdobyte do tamtej pory przez Amerykanów wyspy były terytoriami okupowanymi przez Japończyków).

eprasa.pl afa6e80cf2



John Bradley FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US MARINE

Widok flagi powiewającej w najwyższym punkcie wyspy sprawił, że dziesiątki tysięcy marines wiwatowało, a nastrój ten udzielił się też marynarzom floty zgromadzonej u wybrzeży Iwo Jimy. Okręty i statki uruchomiły swoje syreny, sprawiając, że na chwilę, choć był to dopiero sam początek krwawych zmagań o wyspę, Amerykanie cieszyli się tym symbolicznym wyrazem triumfu. Ikoniczna scena, reprodukowana potem w nieskończoność, w USA nakręcała też patriotyczne uczucia Amerykanów i dała do myślenia ludziom w otoczeniu Franklina Delano Roosevelta. USA miały coraz większy problem z pożyczaniem pieniędzy na wojnę, społeczeństwo było nią zmęczone i mniej chętnie niż na początku sięgało do kieszeni, by kupić obligacje wojenne. A co, jeżeli to powszechnie uwielbiani „chłopcy" ze słynnego zdjęcia będą osobiście prosili swoich rodaków o wsparcie wysiłku wojennego?

Wskazany, wysłany

– Trzy tygodnie po zatknięciu flagi większość uczestników tamtego wydarzenia nie żyła lub była ranna. Mój ojciec był już wtedy w szpitalu na Hawajach, lecząc rany – mówi w rozmowie z „HDR" James Bradley, autor bestsellerowej książki „Sztandar chwały", która opisuje tę historię. Jego ojciec John, 21-letni wówczas sanitariusz z US Navy, ratował na Iwo Jimie rannych marines, aż sam został trafiony odłamkami. 23 lutego 1945 r. John Bradley był na szczycie Suribachi, gdy powstało ikoniczne zdjęcie Rosenthala. – Ktoś w szpitalu podszedł do niego i powiedział: „Jesteś w samym środku tego zdjęcia". To nie było tak, że mój ojciec sam się zidentyfikował na tym zdjęciu. Nic z tych rzeczy. Inni go wskazali jako człowieka wznoszącego flagę. A potem prezydent kazał jemu i dwóm jego kolegom jeździć po kraju i zbierać pieniądze.

Wraz Johnem Bradleyem w „tournée" po USA pojechali Ira Hayes i Rene Gagnon, dwaj marines, którzy zostali wskazani jako żołnierze ze zdjęcia. Trzech mężczyzn niemal każdego dnia przez dwa miesiące spotykało się z tłumami, opowiadając o Iwo Jimie i poświęceniu ich kolegów, którzy zginęli, zdobywając wyspę. Na koniec tych wieców „chłopcy ze zdjęcia" namawiali Amerykanów do kupowania obligacji wojennych. Była to już siódma z kolei akcja sprzedaży obligacji. Bardzo szybko okazało się, że zaangażowanie w nią zdobywców Iwo Jimy było strzałem w dziesiątkę.

– Udało się wtedy zebrać ok. 50 proc. całego budżetu federalnego na 1945 r.! Ci młodzi ludzie byli wtedy tak popularni, że w dwa miesiące zebrali połowę budżetu! Nic takiego nie miało miejsca w historii ani wcześniej, ani później – podkreśla James Bradley.

Co ciekawe, jego ojciec miał po wojnie duży problem z całą tą sytuacją. Bez wahania wykonał polecenie prezydenta i z zapałem wziął udział w akcji promującej obligacje wojenne, ale po powrocie do domu szalona popularność bardzo mu ciążyła. John Bradley bardzo mało mówił w rodzinnym gronie o wojnie, a w każdą okrągłą rocznicę zdobycia Iwo Jimy musiał się bronić przed wścibskimi dziennikarzami, każąc bliskim informować wszystkich, że wyjechał na ryby do Kanady...

Przez lata na jego adres przychodziły tysiące listów z gratulacjami i prośbami o uczestnictwo w przeróżnych uroczystościach. Bradley zawsze odmawiał. Raz tylko musiał się pojawić na wyjątkowo ważnej uroczystości odsłonięcia monumentalnego pomnika postawionego w 1954 r. w pobliżu Narodowego Cmentarza w Arlington (na Johnie Bradleyu wzorowana jest jedna z postaci wznoszących flagę).

Tutaj dochodzimy do kluczowego problemu w kwestii identyfikacji uczestników tego wydarzenia. Zdjęcie jest tak zrobione, że nie widać twarzy, a jedynie sylwetki. Sam Joe Rosenthal i Korpus Piechoty Morskiej USA zgodnie twierdzili, że fotografia w żadnym razie nie była „ustawiana", ale jednak od 1945 r. centrala US Marines kilka razy musiała przyznawać się do błędnej identyfikacji nazwisk mężczyzn ze zdjęcia. Gdy w 2006 r. w kinach ukazał się „Sztandar chwały" wyreżyserowany przez Clinta Eastwooda (na podstawie książki Jamesa Bradleya), nic nie wskazywało na to, że zamieszanie dotknie też głównego bohatera tej opowieści. Jednak dekadę później dociekliwi historycy stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że na fotografii Rosenthala nie ma Johna Bradleya. W ustaleniu stanu faktycznego kluczowa okazała się analiza szczegółów mundurów. Tego dnia zrobiono na górze Suribachi wiele innych zdjęć, a także filmów. Drobiazgowe porównanie poszczególnych ujęć po raz kolejny pozwoliło poprawić listę nazwisk pod słynną fotografią.

Co ciekawe, trzy lata później, w 2019 r., okazało się, że również Rene Gagnon, drugi z trzech bohaterów z Iwo Jimy, którzy jeździli po USA w obligacyjnym „tournée", również został niepoprawnie zidentyfikowany... Oznacza to, że z tego grona jedynie kpr. Ira Hayes, pochodzący z plemienia Indian Pima, rzeczywiście brał udział we wzniesieniu flagi. Nawiasem mówiąc, jego powojenne losy były

eprasa.pl afa6e80cf2

wyjątkowo tragiczne. Cierpiący najprawdopodobniej na zespół stresu pourazowego (PTSD) Hayes rozpił się i zmarł w 1955 r. w wieku 32 lat.

Dla samego Jamesa Bradleya korekta dotycząca jego ojca nie ma jednak większego znaczenia. Sanitariusz John Bradley pomagał zdobyć Iwo Jimę, ratował rannych, był wtedy na górze Suribachi i odegrał pozytywną rolę w zbiórce funduszy na kontynuowanie wojny – tych faktów z jego życia nie da się podważyć.

Flaga jak kawa

Choć do historii przeszło wzniesienie flagi uwiecznione przez Joe Rosenthala, to było to już drugie takie wydarzenie tamtego ranka na górze Suribachi. Chwilę wcześniej Amerykanie wznieśli mniejszy sztandar, który jednak postanowiono zamienić na większą flagę – lepiej widoczną z oddali. – Mój ojciec był w samym centrum pierwszej sytuacji, a przy drugiej okazji przymocował flagę do masztu – mówi James Bradley. Jak to się jednak stało, że uczestnicy wydarzenia, które przeszło do historii, mieli w tej sprawie wątpliwości?

– Nikt wtedy nie zwracał uwagi na takie szczegóły jak np. to, kto dokładnie wbijał maszt w grunt. Ci żołnierze byli w samym środku potwornej bitwy, w tamtym momencie ustawienie flagi było dla nich tylko kolejną czynnością – tłumaczy James Bradley. – Szczegóły nie były dla nikogo istotne. Można to porównać do sytuacji, gdy poszliśmy ze znajomymi na kawę. Po wszystkim nikt nie będzie dokładnie pamiętał, kto dostał pierwszy kawę, jak wyglądali kelnerzy i kto gdzie dokładnie siedział, tylko to, że byliśmy razem w kawiarni.

Podobnie ma się sprawa z Medalem Honoru dla wspomnianego na początku Hershela W. Williamsa. Jego bohaterska akcja z 23 lutego 1945 r. przeszła do legendy marines, Williams był fetowany przez kolejnych prezydentów, którzy podkreślali jego zasługi, natomiast on sam otwarcie przyznawał, że w pamięci nie ma całego obrazu.

„Flaga nad Suribachi została wzniesiona rano, a moja misja miała miejsce po południu. Niestety, nie pamiętam wszystkiego, co się wtedy działo. Ale to przypadłość wielu żołnierzy. Tak już bywa w ogniu walki. Być może mój mózg nie chciał zapamiętać wszystkich obrazów, które widziałem przez tamte piekielne cztery godziny, a może to wszystko było winą nieprawdopodobnie wielkiego stresu" – opowiadał mi Hershel W. Williams.

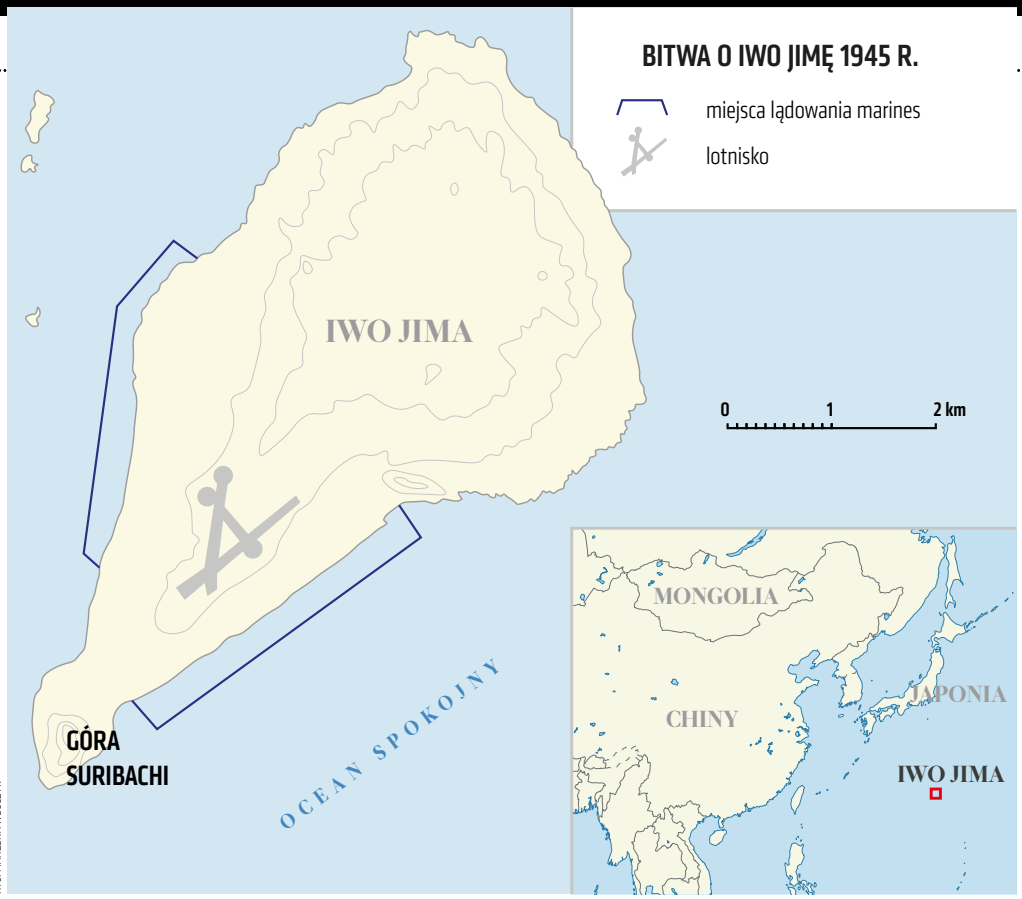
W końcowym raporcie, który został przygotowany przez Pentagon, zaliczono mu zniszczenie miotaczem ognia siedmiu bunkrów. W dokumencie tym można przeczytać, że Williams „śmiało wspiął się na bunkier, aby wsadzić końcówkę miotacza ognia do kanału wentylacyjnego, zabić załogę i uciszyć karabin maszynowy". On sam nie zajrzał jednak do środka tego bunkra, ale kolega, który to zrobił, powiedział mu później, że naliczył tam 17 ciał...

„W uzasadnieniu decyzji o przyznaniu mi Medalu Honoru mowa jest o tym, jak Japończycy wyskoczyli z bunkra i biegli na mnie z bagnetami. To akurat pamiętam doskonale, bo wyglądało to naprawdę groźnie. Leżałem na ziemi i miałem ich przed sobą. Byli coraz bliżej – opowiadał mi Williams. – Gdy dzieliło ich ode mnie dosłownie kilkanaście metrów, nacisnąłem spust miotacza ognia. Żołnierze zamienili się w kule ognia, ale biegli dalej, płonąc. Po chwili jednak zwolnili i w końcu upadli. Potworny smród, coś okropnego. Jak nam tłumaczono, płonący człowiek upada na ziemię nie tyle z powodu oparzeń ciała, ile tego, że brakuje mu tlenu – ogień pochłania wokół płonącego cały tlen – i wciąga do płuc płonące powietrze. Miotacz ognia to bardzo skuteczna broń, ale zadaje niezwykle bolesną śmierć.

Japończycy w wyspie

Dlaczego w ogóle Amerykanie zdecydowali się walczyć o Iwo Jimę, choć zdawali sobie sprawę z tego, że Japończycy będą zaciekle bronili wyspy? Czy nie można jej było po prostu ominąć?

– Iwo Jima leży w połowie drogi między Marianami a Ja-



RYS. MARZENA WŁOCZYK

eprasa.pl afa6e80cf2

ponią. Jest ona płaska i Japończycy umieścili tam lotnisko. Na Marianach pokonaliśmy Japończyków i zbudowaliśmy tam lotniska wykorzystywane przez nasze bombowce. Chodziło o to, by B-29, które paliły Japonię, nie były niepokojone przez japońskie samoloty z Iwo Jimy, a gdyby miały problemy techniczne, to żeby mogły tam lądować – tłumaczy James Bradley. – Obok Iwo Jimy leży wysepka Chichi-jima. Stacjonowało tam więcej japońskich żołnierzy niż na Iwo Jimie, ale nie musieliśmy robić tam desantu. Dlaczego? Ponieważ nie było tam lotniska.

Amerykańska marynarka wojenna i lotnictwo całymi dniami bombardowały Iwo Jimę. Wydawało się, że nic nie miało prawa przetrwać takiej nawały ogniowej. A jednak. Japoński garnizon liczący ponad 20 tys. żołnierzy doskonale się przygotował na taki scenariusz.

– Iwo Jima oznacza „wyspa siarki". W jej skałach łatwo można było wydrążyć tunele i bunkry. W zasadzie więc Japończycy nie byli na Iwo Jimie. Oni byli w Iwo Jimie – mówi James Bradley. – Amerykanie chodzili ponad głowami Japończyków. Lądując, nie mieli pojęcia, że w wyspie siedzą tysiące wrogów!

W przeciwieństwie do taktyki Niemców, którzy odpierali atak aliantów bezpośrednio na normandzkich plażach, Japończycy z „wyspy siarki" przyjęli inną metodę walki.

– Dowodzący obroną gen. Tadamichi Kuribayashi wiedział, że obrona plaż spowoduje szybszą przegraną. Dlatego Japończycy postanowili wycofać się w głąb wyspy i poczekać, aż Amerykanie wyładują ludzi i sprzęt na plaży – tłumaczy James Bradley. – W przeciwieństwie do Niemców z Normandii obrońcy nie mieli przecież za zadanie utrzymania wyspy. To było niemożliwe. Ich zadaniem było zabicie jak największej liczby marines, by Amerykanie dwa razy zastanowili się, nim zaatakują Wyspy Japońskie. Każdy japoński żołnierz dostał wówczas jasny rozkaz: przed śmiercią masz zabić co najmniej 10 Amerykanów.

Ostatecznie na wyspie zginął niemal cały japoński garnizon. Do niewoli dostało się tylko ok. tysiąca żołnierzy. Bardzo ciężkie straty ponieśli też atakujący. Spośród 70 tys. marines niemal 7 tys. zginęło, a 19 tys. odniosło rany.

Pierwszy B-29 lądował awaryjnie na Iwo Jimie jeszcze przed zakończeniem walk o wyspę, a w sumie między marcem a wrześniem 1945 r. amerykańskie bombowce lądowały awaryjnie na tej wyspie ponad 2,2 tys. razy. Na ich pokładach było prawie 25 tys. lotników.

– Jeżeli nasze bombowce zostały w czasie misji uszkodzone na skutek ostrzału albo przydarzył im się defekt mechaniczny, to czekało ich lądowanie na oceanie. A przecież załogę B-29 stanowiło 11 bardzo dobrze wyszkolonych lotników. Nie można więc było ominąć wyspy – mówił mi Hershel W. Williams. – I dlatego krew naszych żołnierzy nie poszła na marne.



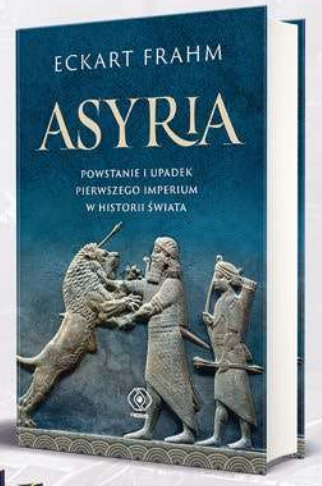
Znaczek poczty USA z 1945 r. upamiętniający zdobycie Iwo Jimy FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US POST OFFICE

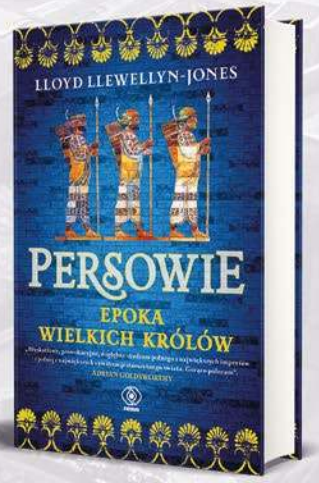
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

REBIS

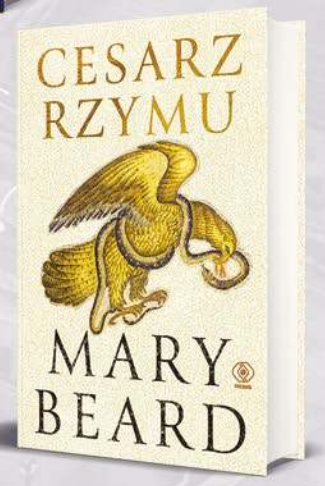
Powstanie i upadek pierwszego imperium w dziejach świata





Błyskotliwe studium jednej z największych cywilizacji starożytnego świata

Nowe spojrzenie na cesarstwo rzymskie



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

FB/DWREBIS www.rebis.com.pl

eprasa.pl afa6e80cf2



Renault FT FOT. ARCHIWUM AUTORA

Dorastanie czołgu



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Odkąd zadebiutował nad Sommą w 1916 r., czołg przeszedł imponującą ewolucję. Szczególnie dynamiczny rozwój przypadł na okres międzywojenny i lata 1939–1945

Czołg był jednym z wielu wynalazków mających przełamać impas wojny pozycyjnej. Każdy atak piechoty, nawet udany, kończył się zazwyczaj w miejscu, w którym pozbawieni wsparcia własnej artylerii nacierający ulegali kontratakowi odwodowych jednostek nieprzyjaciela. Problem dotyczył zresztą nie tylko dział, których szybki transport z wykorzystaniem konnych zaprzęgów był praktycznie niemożliwy na zrytym lejami i pokrytym siatką transzei błotnistym pobojowisku, lecz także ciężkich karabinów maszynowych. Dlatego armaty i cekaemy postanowiono okryć pancerzem i osadzić na samojezdnym gąsienicowym podwoziu umożliwiającym poruszanie się w trudnym terenie. Ucieleśnieniem tej koncepcji był np. francuski St. Chamond, będący niczym innym, jak samobieżną platformą dla szybkostrzelnej armaty 75 mm; jednak z powodu fatalnie zaprojektowanego przedziału bojowego i ogromnego kadłuba, znacznie wystającego przed gąsienice, jego właściwości trakcyjne były fatalne. Lepszą konstrukcją był angielski Mark I, którego projekt rozwijano do końca pierwszej wojny światowej. Wszystkie pojazdy zachowały kształt rombu z zaokrąglonymi kątami i gąsienicami obracającymi się dookoła ścian bocznych. Wozy występowały w dwóch wersjach – „męskiej" i „żeńskiej"; pierwsze miały jako główne uzbrojenie armaty kal. 57 mm. Mark V – ostatni z brytyjskich pojazdów użytych w walce na froncie zachodnim – ważył blisko 30 t.

Rewolucyjnym pojazdem okazał się francuski Renault FT, którego układ konstrukcyjny uznano za klasyczny. W porównaniu z przysadzistymi romboidalnymi angielskimi markami ważący niespełna 7 t Renault wyróżniał się zgrabną sylwetką, a jego uzbrojenie zamontowano w obrotowej wieży. Grubość pancerza sięgała 22 mm (na wieży), co zapewniało odporność na ostrzał broni strzeleckiej. Uzbrojenie stanowił karabin maszynowy lub działko kal. 37 mm. Gaźnikowy czterocylindrowy silnik chłodzony cieczą (o mocy 35 KM) znajdował się z tyłu, a przedział bojowy dla załogi – z przodu kadłuba. Zawieszenie było nowatorskie i składało się z czterech wózków jezdnych (po obu stronach) połączonych wzdłużną belką amortyzowaną piórowym resorem. Koła napędowe znajdowały się z tyłu, natomiast duże koła napinające umieszczono z przodu, co wpłynęło na lepsze właściwości trakcyjne w trudnym terenie.

Lekkie, średnie i ciężkie

Możliwości pierwszych czołgów były ograniczone. Mała prędkość i niewielki zasięg – Renault FT jeździł z szybkością 8 km/h, mając zasięg na jednym baku ledwie 35 km w terenie – powodowały, że sukcesów taktycznych nie można było przekuć w powodzenie operacyjne. Dodatkowymi przeszkodami były kiepska łączność oraz brak komponentu inżynieryjnego, umożliwiającego pokonywanie przeszkód wodnych.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej opracowano nowe czołgi – o różnym przeznaczeniu i odmiennych parametrach taktyczno-technicznych. We Francji kontynuowano koncepcję wozu bojowego do wsparcia piechoty. Wysłużonego FT zastąpił Renault R-35, najliczniej reprezentowany spośród czołgów użytych w kampanii 1940 r. Blisko 10-tonowy i stosunkowo dobrze opancerzony (płyty do 45 mm) poruszał się w terenie z prędkością niespełna 20 km/h, a jego zasięg wynosił 80 km. Uzbrojeniem była armata kal. 37 mm. Po-

eprasa.pl afa6e80cf2

jazdy te grupowano w batalionach przydzielanych do dywizji piechoty. Francuzi utworzyli także kilka lekkich dywizji zmechanizowanych oraz dywizje pancerne, które wyposażyli m.in. w czołgi średnie Somua S-35 (armata kal. 47 mm, pancerz 40 mm, prędkość 37 km/h, zasięg 110 km). Francuskie jednostki podporządkowano doktrynie obronnej i skierowano do ścisłego współdziałania z piechotą. Zupełnie inaczej rolę wojsk pancernych widziano w Wielkiej Brytanii. Tu istotą był manewr – dywizje pancerne miały dokonywać głębokich uderzeń w przestrzeń operacyjną i uniemożliwiać przeciwnikowi stabilizację obrony. Dlatego gros angielskich czołgów w początkowym okresie drugiej wojny światowej stanowiły lekkie Mark VI – słabo opancerzone i uzbrojone (14 mm pancerz, kaem kal. 12,7 lub 15 mm), ale o dobrych właściwościach manewrowych oraz dużej szybkości w terenie (40 km/h) i niezłym zasięgu działania (200 km na drodze). W przypadku czołgów przeznaczonych do współdziałania z piechotą postawiono jednak na odporność kosztem walorów manewrowych; angielska Matilda II (Infantry Tank Mk II) miała pancerz o grubości sięgającej 78 mm i doskonałą armatę 2-funtową (kal. 40 mm), ale poruszała się z prędkością zaledwie 12 km/h w terenie.

Angielska koncepcja nowoczesnej wojny została w pełni urzeczywistniona w Niemczech, gdzie wszystkie czołgi zmasowano w dywizjach lekkich oraz pancernych. Pojazdy nie imponowały parametrami bojowymi: podstawowy niemiecki pojazd w 1939 r. – Panzerkampfwagen I (PzKpfw I) – miał 13-mimimetrowy pancerz i uzbrojony był w zaledwie dwa karabiny maszynowe 7,92 mm. Ale istotą sukcesów Wehrmachtu była szybkość działania jednostek pancerno-motorowych połączona z bezpośrednim wsparciem lotnictwa szturmowego. Głębokie wdarcie się w przestrzeń operacyjną przeciwnika rozstrzygnęło o losach kampanii w Polsce, Europie Zachodniej i na Bałkanach. Punktem zwrotnym okazała się wojna na Wschodzie, która oznaczała także istotny postęp w konstrukcji czołgu.



Tygrys I FOT. ARCHIWUM AUTORA

Na froncie wschodnim

Gdy 22 czerwca 1941 r. Wehrmacht uderzył na ZSRS, jakość niemieckiej broni pancernej wyraźnie się poprawiła. Więcej było średnich PzKpfw III i ciężkich PzKpfw IV, uzbrojonych – odpowiednio – w 50- i 75-milimetrowe armaty. Wraz z rozbudową artylerii samobieżnej nastąpił dalszy rozwój wielkich jednostek pancernych, a bezpośrednie wsparcie dla nacierającej piechoty zapewniały działa szturmowe Sturmgeschütz III i IV.

Wraz z unicestwieniem kadrowej Armii Czerwonej rozbito w pył jej wojska pancerne – kilkanaście tysięcy czołgów zgrupowanych m.in. w monstrualnych korpusach zmechanizowanych. Większą część tego arsenału stanowiły lekkie T-26 i szybkobieżne czołgi z rodziny BT (bystrochodnyj tank). Wyróżniały się jednak przede wszystkim T-34 i KW. W T-34 płyty kadłuba i wieży były pochylone, co zwiększało odporność pancerza na uderzenia pocisków, a jego grubość sięgała 45 mm, zapewniając odporność na ogień większości pocisków przeciwpancernych. Armata kal. 76 mm pozwalała „trzyczwórce" eliminować pojazdy pancerne wroga na dystansach bezpiecznych dla siebie. Dobre właściwości trakcyjne w terenie i zdolność pokonywania przeszkód wynikały z korzystnego stosunku mocy do masy, a dodatkowym atutem były szerokie gąsienice (rozłożenie nacisku na grunt). Sowiecki czołg tworzono jednak w pośpiechu. Był niedopracowany, co w połączeniu z brakiem przeszkolonych załóg i niską kulturą techniczną sprawiło, że na początku nie odegrał większej roli. Modyfikacja pojazdu zajęła kilka lat i pod koniec wojny wersja z 85-milimetrową armatą należała już do najlepszych czołgów średnich.

Niemiecką odpowiedzią na sowieckie „monstra" był PzKpfw VI Aufs E, czyli Tygrys I. Miał imponujące uzbrojenie w postaci armaty 88 mm i 100-milimetrowy pancerz. Dwunastocylindrowy silnik Maybacha o mocy 700 KM zapewniał prędkość ok. 20 km/h w terenie. Pojazd ważył 57 t. Dwa lata później na polu walki pojawił się jego następca, czyli ważący blisko 70 t Tygrys Królewski (Königstiger). Znacznie lepszym czołgiem była Pantera (PzKpfw V), inspirowana T-34 i klasyfikowana jako czołg średni. Tu udało się zachować odpowiednią równowagę pomiędzy mocą silnika, systemem przeniesienia napędu, masą i uzbrojeniem. Czołg ważył ok. 46 t i w terenie poruszał się z prędkością 24 km/h; zasadniczym uzbrojeniem była doskonała armata kal. 75 mm, grubość pancerza sięgała 80 mm. Oba pojazdy, tzn. T-34 i Pantera, wydawały się optymalnie zaprojektowane i wyraźnie zmierzały w kierunku uniwersalności.

Jeden do wszystkiego

Ich odpowiednikiem u aliantów zachodnich był amerykański M4 Sherman, który zadebiutował w 1942 r. w Afryce. Do końca wojny powstało pięć podstawowych wersji i wiele wariantów różniących się m.in. jednostkami napędowymi (stosowano silniki benzynowe i diesle), kształtem pancerza, uzbrojeniem. Był to podstawowy czołg alianckich dywizji i brygad pancernych. Największymi zaletami czołgów z rodziny M4 była łatwość ich modernizacji oraz stosunkowo prosta, tania i solidna konstrukcja.

Pod koniec wojny pojawił się brytyjski Comet. Świetnie uzbrojony i dobrze opancerzony (armata 17-funtowa, pancerz 14–101 mm) odznaczał się znakomitymi właściwościami trakcyjnymi, przewyższając wartością bojową niemieckie czołgi ciężkie. Okazał się jednocześnie ostatnim ogniwem łączącym „czołgi do jednego zadania" z uniwersalnymi czołgami pola walki (ang. Main Battle Tank), które stały się podstawą pancernego arsenału po drugiej wojnie światowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2



Centrala telefoniczna w Montrealu, koniec XIX w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Od prehistorii do AI / Znikające miejsca pracy

Zawody dinozaury



Tymoteusz Pawłowski

Profesje wymierają w różnym tempie, z różnych powodów i na różne sposoby. Rozwój techniki sprawia, że zawody – wydawałoby się – niezbędne nagle potrafią stracić rację bytu

Możemy przypuszczać, że w prehistorii – czyli w okresie przed wynalezieniem pisma – liczba profesji była niewielka. Szczególnie że „profesja" czy też „zawód" z definicji stanowią źródło dochodów, a więc wszystko to, co robimy wokół naszych domów – sprzątamy, gotujemy, uprawiamy soczewicę, hodujemy kozy, polujemy na mamuty – nie jest zawodem dopóty, dopóki nie przyniesie nam zarobku. Stopniowo liczba profesji rosła: najpierw powoli, a później coraz gwałtowniej. Zdarzało się jednak, że zawody wymierały wraz z modą czy rozwojem technicznym. Taki był np. los producentów garum, popularnego w starożytnym Rzymie sosu ze sfermentowanych ryb, czy też płatnerzy wytwarzających zbroje.

Liczba zawodów skokowo wzrosła w czasie późnej rewolucji przemysłowej, czyli w XIX w. Pojawiło się wówczas mnóstwo nowych wynalazków, a wraz z nimi osoby potrafiące te wynalazki wytwarzać i obsługiwać. Chociażby telefony produkowali robotnicy, w centralach pracowały telefonistki ręcznie łączące abonentów, a korzystali z nich biznesmeni w celu ubijania interesów.

Świat ukształtowany rewolucją przemysłową był mechaniczny, a mechanizmy wymagały specjalistycznej obsługi. Później nadeszła epoka elektryczności i elektroniki, więc dziś wiele czynności wykonywanych przez specjalistów mogą wykonywać amatorzy. W ten sposób wymarły zawody windziarza czy hamulcowego. Ten drugi zajmował się obsługą hamulców w pociągu: niegdyś bowiem hamulce znajdowały się w lokomotywie oraz w kilku wagonach, w których siedzieli hamulcowi. W Europie hamulcowych już nie ma, zastąpił ich powietrzny hamulec zespolony, działający na wszystkie koła pociągu, opatentowany już w 1869 r. Natomiast w Stanach Zjednoczonych w zawodzie tym wciąż pracuje kilkanaście tysięcy ludzi, ponieważ tuż przed 1869 r. związek zawodowy amerykańskich hamulcowych wymusił ochronę swojej profesji, która trwa do dziś. Tak zwani „brakemani" są jednak obecnie hamulcowymi tylko z nazwy – w rzeczywistości pełnią funkcję pomocników konduktorów.

Przede wszystkim jednak postęp techniczny zlikwidował najpowszechniejszą w miastach profesję, czyli służących. Zastąpiły ich pralki, odkurzacze, zmywarki i pizza z dowozem do domu.

Kres felczerów

Niektóre zawody wymierają tylko pozornie, jak stało się z zajęciem proksenosa w starożytnej Grecji czy dragomana w świecie turecko-arabskim. W dzisiejszym świecie ich rolę pełnią dyplomaci i konsulowie. Swego czasu wydawało się, że w ten sposób wymrze zawód dentysty, ponieważ w latach 90. XX w. polskie uczelnie zaczęły kształcić stomatologów. Jednak w 2002 r. powrócono do starego nazewnictwa – ze względu na wejście do Unii Europejskiej i panującą tam nomenklaturę – i dziś to stomatologowie są wymierającym zawodem (przynajmniej formalnie).

Istnieje również odwrotne zjawisko, w którym nazwa zawodu pozostaje niezmienna w przeciwieństwie do jego treści. Lekarze przez całe wieki byli tak naprawdę kimś, kogo dziś nazwalibyśmy

eprasa.pl afa6e80cf2

znachorami, a dopiero od XIX w. zawód ten otrzymał podstawę naukową. Była ona jednak z początku dość wątła i istniało mnóstwo zawodów medycznych, które nie przetrwały rozwoju nauki. Jednym z nich jest felczer, czyli medyk po liceum, ale bez studiów: dziś jest ich już garstka (w III RP nie kształci się felczerów) i nie będzie nowych. Podobnymi przypadkami są pielęgniarki i położne – niegdyś profesje te wymagały jedynie matury, a dziś trzeba skończyć specjalne studia.

Pielęgniarze i położni oraz lekarki i felczerki mogą czuć się urażeni stereotypami płciowymi obecnymi w poprzednim akapicie, ale zawody mają swoją płeć. Oczywiście, że ze stereotypami można walczyć na niwie językowej za pomocą feminatywów – notabene w Polsce czyniono to już w XIX w., a pionierkami były przedstawicielki zawodów medycznych – ale nie zawsze się to udaje. Maszynista i maszynistka to dwa zupełnie różne zawody: maszynista prowadzi pociągi, a maszynistka przepisuje tekst na maszynie do pisania. A właściwie należałoby napisać: przepisywała tekst, ponieważ zawód maszynistki odszedł w niepamięć ćwierć wieku temu wraz z maszynami do pisania. Na naszych oczach następuje jednak zmiana i coraz częściej kobiety maszynistów określa się maszynistkami. Ich zawód zresztą nie do końca przestał istnieć, ponieważ kobiety go wykonujące (i mężczyźni) nie stracili pracy. Znad maszyn do pisania przeniosły się po prostu nad klawiatury komputerów.

Profesje mogą wymierać gwałtownie, nawet w ciągu kilku lat. Tak się stało całkiem niedawno, wraz z wprowadzeniem technologii DTP – Desktop Publishing, czyli komputerowym przygotowaniem publikacji – z zawodami drukarskimi takimi jak zecer czy metrampaż. Ten pierwszy z czcionek składał słowa i teksty, a drugi dopasowywał otrzymany od zecera materiał tak, aby dobrze wyglądał na wydrukowanej stronie. Wraz z zawodami giną również słowa: praca metrampaża polegała na „łamaniu" wierszy tekstu.

Profesje mogą ginąć powoli, tak jak dzieje się z wieloma zawodami rzemieślniczymi. Dla



Windziarka

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BAIN NEWS SERVICE/LIBRARY OF CONGRESS

zawodu zduna – budowniczego pieców – wyrok zapadł w połowie XIX w., gdy pojawiły się centralne ogrzewanie i kaloryfery. Zdunowie wciąż są wśród nas obecni, ale – tak jak pieców – jest ich coraz mniej. Na naszych oczach wymiera również zegarmistrzostwo: dziś większość ludzi sprawdza czas w telefonach komórkowych. Piece oraz zegarki są już dziś raczej ozdobą i biżuterią, więc zdunowie i zegarmistrzowie przetrwają zapewne w podobny sposób jak jubilerzy.

Słonie i AI

Zawody wymierają na wiele sposobów i z różnych, przynajmniej na pierwszy rzut oka, przyczyn. Rzymskie garum stało się niemodne, stomatologów zabiła biurokracja, dragomanów – zmiany językowe, felczerów – wymagania edukacyjne, a rzeźbiarzy w kości słoniowej nie ma wśród nas z powodów dbałości o środowisko. Tak naprawdę jednak wszystkie powody, dla których znikają zawody, są czysto techniczne i wynikają z rozwoju nauki.

Garum – pod inną nazwą – było spożywane dość długo, a ta „inna" nazwa to… keczup. Zamiast z wnętrzności ryb łatwiej było użyć do niego pomidorów, octu i cukru, masowo produkowanych od czasów rewolucji przemysłowej. Stomatolodzy wciąż są wśród nas pod inną nazwą, ujednoliconą na całym świecie dzięki rozwojowi komunikacji. Felczer mógł jeszcze w drugiej połowie XX w. nabyć potrzebne medykowi umiejętności w liceum felczerskim, ale rozwój medycyny jest tak gwałtowny, że do jej poznania ledwie wystarczają sześcioletnie studia. W kości słoniowej już się nie rzeźbi: przede wszystkim dlatego, że istnieją doskonałe tworzywa sztuczne (a poza tym rozwój środków transportu ułatwił podróże po Afryce i niemal skończył się dla słoni eksterminacją).

Jedną z wymarłych profesji jest frenologia, bardzo rozwinięta w XIX w., tłumacząca zachowanie ludzi budową mózgu, który jest jakoby podzielony na odrębne ośrodki, odpowiadające za akcje i reakcje, także emocjonalne. Gdy badania nad mózgiem wykazały bezzasadność tej teorii, frenologów zastąpili psychoanalitycy, tłumaczący ludzkie zachowanie nieuświadomionym życiem psychicznym, które trzeba przeanalizować i zrozumieć. Psychoanalityków jest coraz mniej, ponieważ zastąpili ich psychologowie, starający się całościowo badać „psyche", czyli… duszę. Medycyna i wiedza o człowieku rozwijają się jednak tak szybko, że wkrótce może się okazać, iż również psychologowie – a jest to bardzo liczna grupa zawodowa – stracą rację bytu.

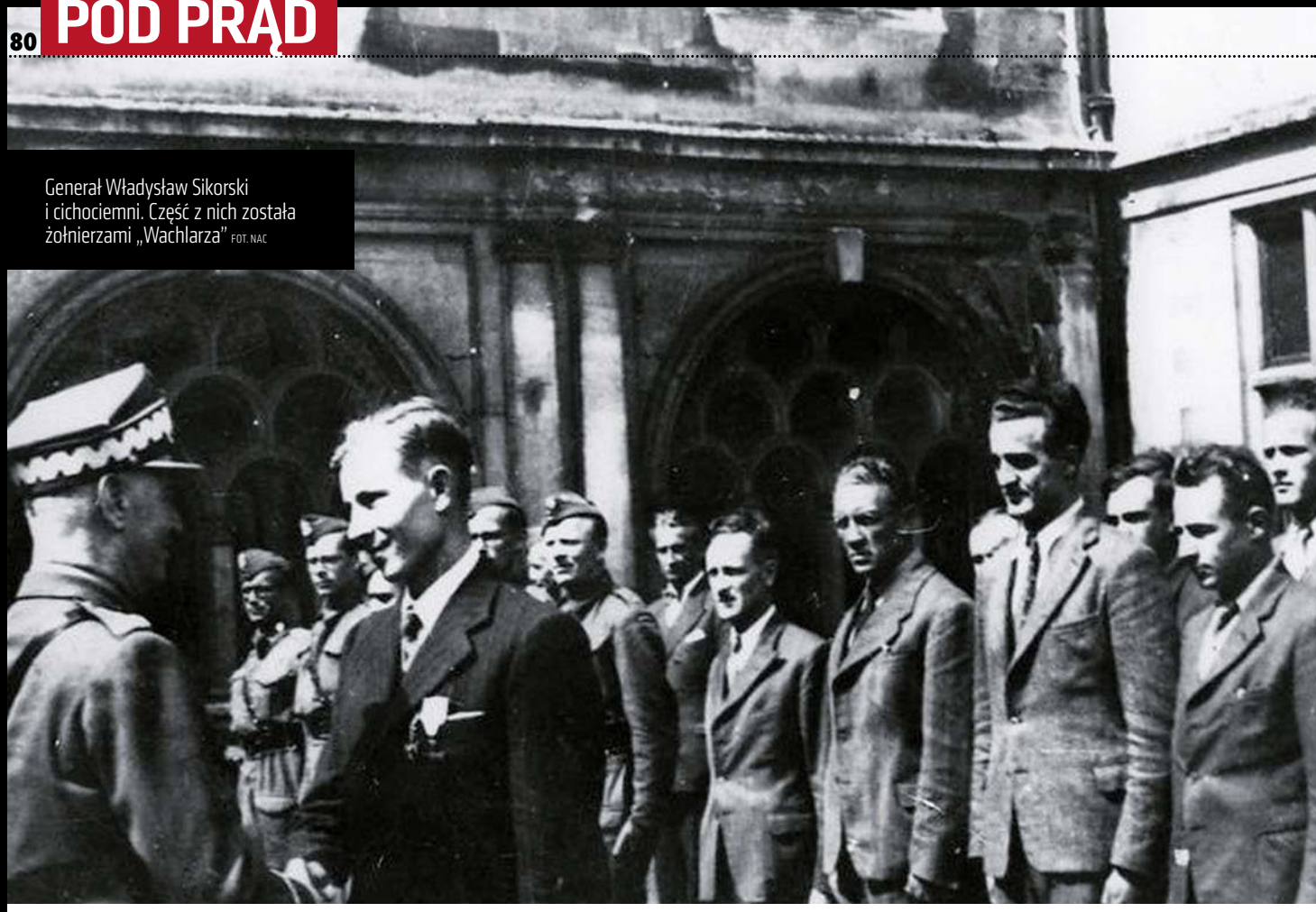
Zagrożeniem dla wielu zawodów może wydawać się dziś rozwój sztucznej inteligencji. Trzeba jednak pamiętać, że jest to tylko narzędzie, takie samo jak maszyna do pisania czy telefon. Niektóre znane nam dziś zawody pewnie znikną, ale w ich miejsce pojawią się inne, chociażby takie, które pozwolą okiełznać stale rosnący potencjał sztucznej inteligencji.



Zecer FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WILHELM BISCAIN/BUNDESARCHIV

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2



Generał Władysław Sikorski i cichociemni. Część z nich została żołnierzami „Wachlarza” FOT. NAC

1941–1942 / Wbrew polskiej racji stanu

Klęska „Wachlarza”



Piotr Zychowicz

ZWZ podjął wymierzone w Niemców działania dywersyjne na zapleczu frontu wschodniego. Płacili Brytyjczycy, ginęli Polacy. Po co?

Kierownictwo polityczno-wojskowe Wielkiej Brytanii zdawało sobie sprawę, że alianci zachodni prędko nie będą w stanie utworzyć drugiego frontu w Europie. A Stalin – od samego początku wojny niemiecko-sowieckiej – domagał się tego coraz bardziej natarczywie.

Dla Brytyjczyków sytuacja, w której główny ciężar walki z Wehrmachtem spoczywa na Związku Sowieckim, była oczywiście optymalna. Ginęły miliony sołdatów Armii Czerwonej, a armia Jego Królewskiej Mości oszczędzała krew swoich żołnierzy. Stalinowi trzeba było jednak rzucić jakąś kość.

Mężowie stanu w Londynie postanowili więc „podpalić Europę”. Czyli skłonić „ruchy oporu” na terenie okupowanego kontynentu do przeprowadzenia zmasowanej akcji dywersji i sabotażu na niemieckich tyłach. Brytyjczycy mieli dostarczyć środki, a sojusznicy – partyzantów. Misję polecono słynnej Special Operations Executive (SOE).

eprasa.pl afa6e80cf2

Kluczowa w tej koncepcji była oczywiście Polska, która stanowiła bezpośrednie zaplecze frontu wschodniego. Akcja polskiego podziemia mogła więc wyrządzić szczególne szkody Niemcom i odciążyć w ten sposób Sowietów. Ujmując sprawę brutalnie: Churchill zamierzał wypełnić swoje zobowiązania sojusznicze wobec bolszewików, przelewając krew Polaków. Generał Sikorski – niestety! – powiedział „tak".

SOE dostarczyła kilka milionów dolarów. A Polacy – aby wykonać zadanie – wykorzystali stworzoną w sierpniu 1941 r. organizację „Wachlarz". Była to siatka dywersyjna, która swoim zasięgiem miała objąć terytoria na zapleczu frontu wschodniego za wschodnią granicą II RP.

Pierwotnym zadaniem „Wachlarza" miała być osłona przyszłego polskiego powstania powszechnego przed niemieckimi jednostkami odpływającymi z frontu wschodniego lub depczącą im po piętach Armią Czerwoną. W tym drugim wariancie chodziło o danie czasu polskiej armii podziemnej na szybką mobilizację i przygotowanie obrony przed nowym okupantem.

Po podpisaniu układu sojuszniczego ze Stalinem (pakt Sikorski-Majski) Sikorski uznał jednak, że podobne antysowieckie zamierzenia są nieaktualne. Co sobie pomyśli o nas marszałek Stalin?! I przestawił „Wachlarz" na tryby prosowieckie.

Po spotkaniu z gen. Gieorgijem Żukowem, który zażądał od Polaków ataków na tyły armii niemieckiej, Sikorski 29 września 1941 r. wydał rozkaz „udzielenia Sowietom pomocy wojskowo-dywersyjnej", dodając, że „polska racja stanu wymaga od nas obecnie jak najpoważniejszego w tej dziedzinie wysiłku". Oczywiście Polska racja stanu wymagała czegoś dokładnie odwrotnego…

Wydany przez Naczelnego Wodza rozkaz był rozkazem samobójczym. Organizacja była w powijakach, nie stworzyła struktur, jej żołnierze nie mieli odpowiedniego przeszkolenia. Dlatego do „Wachlarza" skierowano… połowę wszystkich cichociemnych, którzy wówczas skoczyli do kraju. Anglicy dostarczyli sprzęt i materiały wybuchowe.

Rozkaz podjęcia akcji na rzecz Sowietów wywołał opór ze strony części oficerów i żołnierzy „Wachlarza". Charakterystycznym, ezopowym językiem epoki PRL tak pisał o tym badacz tej formacji, Cezary Chlebowski:



Jan Włodarkiewicz, pierwszy dowódca „Wachlarza" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

„Zarówno reperkusje historyczne, jak i przykre doświadczenia z lat 1939–1941 na terenach zabużańskich nie stwarzały wśród tamtejszej ludności polskiej zbyt przyjaznych odczuć na rzecz dywersji prowadzonej w interesie frontu wschodniego. A jednak wachlarzowcy, rekrutujący się w 80 procentach z kresowej ludności polskiej, tak postąpili. Trzeba więc było mieć ogromnie dużo samozaparcia, aby powiedzieć w pewnym momencie: »Milcz serce – idziemy wysadzać pociągi, aby pomóc walczącej Armii Czerwonej«. A jednak tak postąpili".



Upamiętnienie polskich uczestników akcji SOE w Audley End House, Essex
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DOREDOT

Postąpili tak, bo dostali takie rozkazy. Rozkazy – nawet absurdalne – uważali zaś za świętość. W sumie „Wachlarz" dokonał ok. 100 mniej lub bardziej dokuczliwych dla Niemców aktów sabotażu. Wobec ogromu niemieckich sił zgromadzonych na froncie wschodnim jego działania można przyrównać do ukłucia pszczoły w niedźwiedzi zad.

Pszczole wydawało się, że swym żądłem zabije niedźwiedzia, ale tylko go rozsierdziła. Wściekłe zwierzę rozerwało ją na strzępy.

Krótkie dzieje „Wachlarza" – na szczęście pod koniec 1942 r. organizacja została rozwiązana – to jedno wielkie pasmo szafotów i plutonów egzekucyjnych. Licząca blisko 500 stron monografia „Wachlarza" pióra Cezarego Chlebowskiego to dla Polaka lektura rozdzierająca.

Środek nocy. Akcja. Następuje eksplozja, wykoleja się pociąg z żywnością lub amunicją. Niemcy zarządzają obławę i ścigają sprawców. Kogoś łapią, ktoś na skutek bestialskiego bicia pęka w śledztwie. Następują kolejne aresztowania.

Potem znowu to samo. Bestialskie tortury, kolejne nazwiska. Wreszcie czarna opaska na oczy. „Niech żyje Polska!" i zbiorowa mogiła. A przy okazji pacyfikacja dwóch, trzech pobliskich wiosek.

W sumie spośród liczącego ok. 600 żołnierzy elitarnego oddziału zginęło ok. 130 osób. Straty sięgnęły więc ponad 20 proc. „Wachlarz" został dwukrotnie zdziesiątkowany. Do tego należy dodać trudne do oszacowania straty ludności cywilnej, które były wywołane akcjami odwetowymi podejmowanymi przez Niemców.

„»Wachlarz« była to akcja finansowana bezpośrednio przez władze angielskie, której zadaniem było odciążenie frontu sowieckiego – pisał polski historyk emigracyjny Zbigniew S. Siemaszko. – Pomimo że akcja ta miała niewiele wspólnego z polskimi interesami, władze polskie zaangażowały do niej najlepszych, najdzielniejszych żołnierzy. Akcja ta przyniosła minimalne skutki, natomiast spowodowała poważne straty".

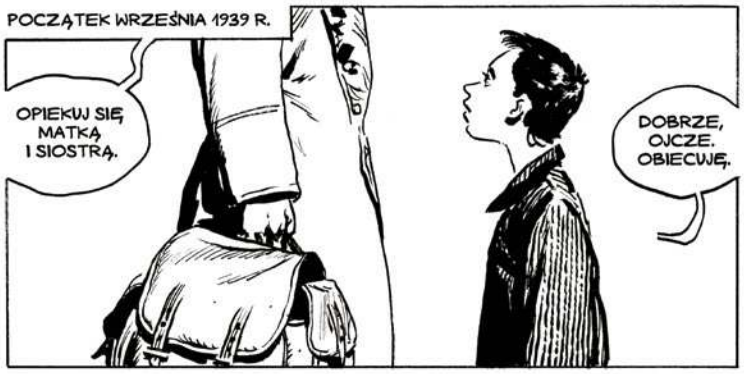
Według Siemaszki kulisy sprawy były po wojnie „wstydliwie przemilczane" w oficjalnych publikacjach środowisk AK. Milczy się o nich do dziś.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl afa6e80cf2

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

WYBITNY POLSKI AKTOR WIESŁAW GOŁAS URODZIŁ SIĘ W 1930 ROKU W KIELCACH. W DZIECIŃSTWIE CHCIAŁ ZOSTAĆ ŻOŁNIERZEM, PODOBNIE JAK JEGO OJCIEC TEOFIL, KTÓRY SŁUŻYŁ W STOPNIU OGNIOMISTRZA W 2 PUŁKU ARTYLERII LEKKIEJ LEGIONÓW.



W TRAKCIE KAMPANII WRZEŚNIOWEJ TEOFIL GOŁAS DOSTAŁ SIĘ DO NIEWOLI, ZDOŁAŁ JEDNAK ZBIEC. PO POWROCIE DO KIELC ZAANGAŻOWAŁ SIĘ WRAZ Z ŻONĄ W DZIAŁALNOŚĆ PODZIEMNĄ. ZOSTAŁ JEDNAK ARESZTOWANY I ZGINĄŁ W OBOZIE NA MAJDANKU. NATOMIAST MAŁY WIESŁAW W 1942 ROKU WSTĄPIŁ DO SZARYCH SZEREGÓW.

W RAMACH MAŁEGO SABOTAŻU ZAJMOWAŁ SIĘ KOLPORTAŻEM PRASY, DOSTARCZANIEM WIADOMOŚCI, A TAKŻE...



SZCZEGÓLNIE NIEBEZPIECZNE BYŁO PRZENOSZENIE BRONI...





POSTANOWIŁ PRZECZEKAĆ ULEWĘ W KATEDRZE, JEDNAK NA PROWADZĄCYCH DO NIEJ SCHODACH POTKNĄŁ SIĘ TUŻ OBOK NIEMIECKIEGO PATROLU.



WTEDY MIAŁ SZCZĘŚCIE, JEDNAK ZABRAKŁO GO JESIENIĄ 1944 ROKU, GDY KRADŁ AMUNICJĘ Z NIEMIECKIEGO SAMOCHODU.

TRAFIŁ W RĘCE GESTAPO I BYŁ PODDAWANY RÓŻNYM TORTUROM ABY UJAWNIŁ NAZWISKA. NIE ZDRADZIŁ JEDNAK. W STYCZNIU 1945 ROKU, GDY ZBLIŻAŁA SIĘ DO KIELC LINIA FRONTU, ZOSTAŁ WYPUSZCZONY RAZEM Z INNYMI WIĘŹNIAMI.

PO UKOŃCZENIU W 1954 ROKU PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY TEATRALNEJ, WIESŁAW GOŁAS ZWIĄZAŁ SIĘ Z TEATREM DRAMATYCZNYM W WARSZAWIE. STWORZYŁ WIELE NIEZAPOMNIANYCH RÓL FILMOWYCH. WYSTĄPIŁ MIĘDZY INNYMI W SERIALACH: ,,CZTEREJ PANCERNI I PIES'', ,,KAPITAN SOWA NA TROPIE'', ,,DROGA'', ,,ALTERNATYWY 4'' I FILMACH TAKICH, JAK: ,,ŻONA DLA AUSTRALIJCZYKA'', ,,BRUNET WIECZOROWĄ PORĄ'' CZY ,,OGNIOMISTRZ KALEŃ''.



eprasa.pl afa6e80cf2

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

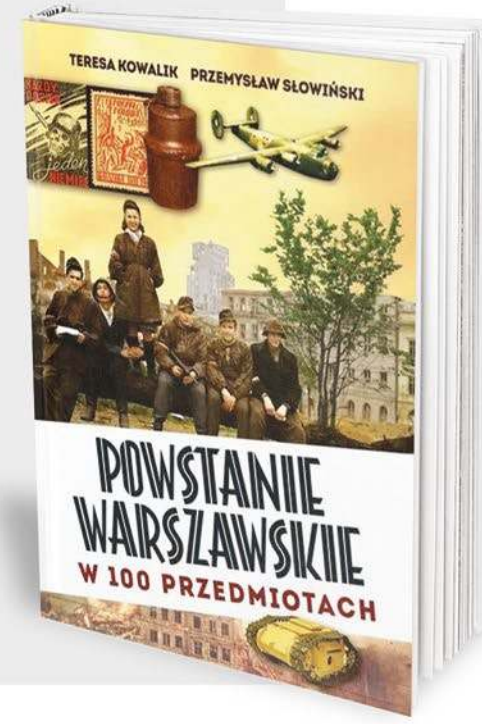
PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA TERESA KOWALIK, PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI: „POWSTANIE WARSZAWSKIE W 100 PRZEDMIOTACH"

„Powstanie Warszawskie w 100 przedmiotach" nie jest zwykłym albumem ze zdjęciami.

To nowy sposób opowiedzenia dziejów społecznych, politycznych,wojskowych, technicznych i kulturalnych Powstania.
Każdy z pokazanych przedmiotów opowiada historię, którą trudno zrozumieć bez właściwego kontekstu. Przedmioty czasem zwyczajne awansowały na świadków wielkiej historii.

Powstanie Warszawskie do dziś wywołuje gorące emocje, często w poprzek tradycyjnych podziałów politycznych. Jedni twierdzą, że przyniosło tylko zniszczenie Warszawy i hekatombę cywilnych ofiar – inni utrzymują, że powstrzymało sowietyzację Polski. Nasza książka nie wnosi do tego sporu żadnego nowego komentarza politycznego czy historycznego. Przybliża za to czas próby i honoru poprzez przedmioty, rzeczy, którymi posługiwali się powstańcy, żołnierze ruszający na pomoc Warszawie i zwykli mieszkańcy.



166 zł

oszczędność 71 zł

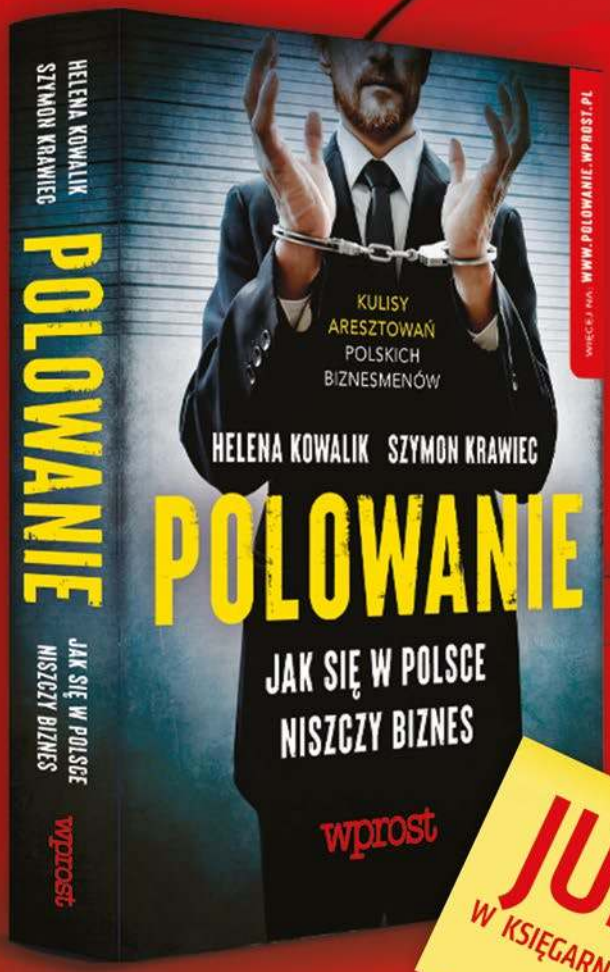
JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl afa6e80cf2

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631 , +48 508 040 664



PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomysł o Przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl ata6e80cf2